

Walter Scott

# Waverley

czyli sześćdziesiąt lat temu

Przekład Teresa Świdorska

Krajowa Agencja Wydawnicza Warszawa 1984

Niniejsza książka została wydana na podstawie wydania czwartego

I.W. „Nasza Księgarnia”

## ROZDZIAŁ I

### Przedwstępny

Nagłówek tego dzieła nie został wybrany bez poważnego i gruntownego namysłu, jaki przezorność zaleca w sprawach doniosłych.

Już sam główny tytuł wymagał niemałych trudów badawczych i krytycznych; mogłem wprawdzie za przykładem moich poprzedników upatrzeć któreś z najdźwięczniejszych i najpiękniej brzmiących imion zaczerpniętych z historii lub topografii<sup>1</sup> Anglii i uczynić zeń bez długich wahań tytuł mego dzieła i nazwisko jego bohatera.

Ale niestety, czegoż czytelnicy moi mogliby się spodziewać po rycerskich imionach, jak Howard, Mordaunt, Mortimer albo Stanley<sup>2</sup>, czy też łagodniej i sentymentalniej brzmiących, jak Belmour, Belville, Belfield lub Belgrave<sup>3</sup> jeśli nie stronic równie jałowych, jak treść utworów, które w ten sam sposób nazywano od pół wieku? Muszę skromnie wyznać, że nie dość ufam własnym zdolnościom, bym miał niepotrzebnie przeciwstawiać je dawniej ustalonym skojarzeniom; przeto, niby pierwszy raz w szranki wstępujący rycerz o białej tarczy<sup>4</sup>, obrałem dla bohatera mojego obojętnie brzmiące nazwisko Waverley, nie nasuwające żadnych dodatnich ni ujemnych cech prócz tych, w które je później wyposaży sam czytelnik.

Jednakże wybór drugiego dodatkowego tytułu sprawił mi znacznie więcej kłopotu, gdyż jakkolwiek krótki, zdaje się on zobowiązywać autora do pewnego określonego układu tła oraz szczególnego sposobu kreślenia postaci i przygód. Gdybym na przykład zapowiedział w tytule: Waverley, opowiadanie z dawnych czasów - czyżby każdy czytelnik powieści nie oczekiwał z góry czegoś w rodzaju zamku Udolpho<sup>5</sup> o wschodnim skrzydle od dawna nie zamieszkanym, którego klucze bądź to zaginęły, bądź też powierzone zostały pieczy starego lokaja lub gospodyni, których chwiejne kroki gdzieś około połowy drugiego tomu miałyby prowadzić bohatera czy bohaterkę w głąb rozsypującego się w gruzy wnętrza? Czyżby sowa nie hukała, a świerszcz nie ćwierkał już w samej mojej tytułowej karcie? I czyżbym mógł

---

<sup>1</sup> topografia - opis lub rysunek terenu, uwzględniając) charakterystyczne szczegóły powierzchni: rzeki, jeziora, wzgórza, lasy itd.

<sup>2</sup> Howard, Mordaunt, Mortimer albo Stanley - często spotykane w powieściach ang. rzeczywiste nazwiska wygasłych rodów szlacheckich.

<sup>3</sup> Belmour, Belville, Belfield lub Belgrave - nazwisko zmyślone przez autora.

<sup>4</sup> rycerz o białej tarczy - nie mający jeszcze herbu na tarczy. Według ceremoniału średniowiecznego prawo do herbu na tarczy rycerz otrzymywał po wykazaniu swej dzielności w boju lub zręczności w zapasach rycerskich.

<sup>5</sup> zamek Udolpho - nazwa wzięta z tzw. „powieści grozy” pt. *Tajemnice zamku Udolpho* ang. autorki Anny Radcliffe (1764-1823). Powieść grozy zapoczątkowana w 1764 r. przez Henryka Walpole’a zawierała treść tajemniczą i ponurą, przeważnie fantastyczną z udziałem duchów i upiórów, czasem pełną tajemniczych zjawisk, które w końcu jednak zostawały w sposób naturalny wyjaśniane: np. przez użycie mało wówczas jeszcze znanego działania siły elektrycznej.

wtedy zachowując poczucie umiaru, wprowadzić jakikolwiek żywszy wątek niż rubaszość głupawego, choć wiernego sługi lub gadatliwość pokojówki, powtarzającej bohaterce historie pełne krwi i grozy, zasłyszane w izbie czeladnej?

Gdybym zaś raczej zechciał nazwać swoje dzieło powieścią sentymentalną, czyżby to nie zapowiadało bohaterki o bujnych, kasztanowatych włosach, z harfą, słodką pocieszycielką jej samotnych godzin, którą umie ona zawsze przenieść szczęśliwie z zamku do chaty, chociaż narażają to niejednokrotnie na skoki z okna drugiego piętra lub samotne piesze wędrówki po bezdrożach - bez innego przewodnika niż ogorzała, wiejska dziewoja posługująca się mało zrozumiałą gwara?

Gdybym znów nazwał mojego Waverleya opowiadaniem współczesnym, czyżbyś ty, miły czytelniku, nie zażądał ode mnie świetnego wizerunku modnego świata i kilku poufnych a gorszących anegdot z lekka przesłoniętych, lecz tym chętniej witanych, jeśli odmalowano je ponętnie? Czybyś nie spodziewał się bohaterki z Grosvenor Square<sup>6</sup>, a bohatera z klubu Barouche albo Czwórki<sup>7</sup> z dodatkiem drugorzędnych postaci, dobranych spomiędzy elegantek z ulicy Królowej Anny<sup>8</sup> we wschodniej dzielnicy i dziarskich zuchów z urzędu na ulicy Łukowej<sup>9</sup>?

Mógłbym w dalszym ciągu udowadniać wielkie znaczenie karty tytułowej, a zarazem roztaczać mą głęboką znajomość składników potrzebnych do tworzenia najrozmaitszego rodzaju romansów i powieści, lecz dość tego! Nie chcę dłużej dręczyć niecierpliwego czytelnika, który niewątpliwie rad by już poznać wybór autora, tak wszechstronnie wtajemniczonego w różnorakie arkana swej sztuki.

Oznaczając tedy datę mojego opowiadania na sześćdziesiąt lat wstecz, licząc od obecnego listopada 1805 roku, chciałbym uprzedzić mych czytelników, że w dziele tym nie znajdą ani romansu rycerskiego, ani też współczesnej powieści obyczajowej, że bohater mój nie będzie dźwigał żelaza ani na ramionach, jak niegdyś bywało, ani na obcasach u butów, jak to nakazuje dzisiejsza moda na Bond Street<sup>10</sup>; oraz że damy moje ani nie będą się stroić w „purpurę i płaszcz gronostajowy”, niby lady Alice ze starej ballady, ani też nie przerzucają się do pierwotnej nagości, jak to czynią dzisiejsze modnisie na raucie.

Z tego, iż tę epokę właśnie obrałem, wnikliwy krytyk może dalej wnosić, że za zadanie wzięłem sobie raczej opisywanie ludzi niżli obyczajów. Powieść obyczajowa, aby

---

<sup>6</sup> Grosvenor Square - nazwa arystokratycznej dzielnicy Londynu

<sup>7</sup> klub Barouche albo Czwórki - wymienione kluby były w czasach Waltera Scotta klubami arystokracji.

<sup>8</sup> Ulica Królowej Anny - ulica we wschodniej części Londynu zamieszkała przez ludność najbiedniejszą

<sup>9</sup> Ulica Łukowa (*Bow Street*) - ulica w Londynie, na której mieścił się główny urząd policyjny.

<sup>10</sup> Bond Street - ulica w Londynie znana z magazynów wytwornej garderoby.

być zajmującą, musi albo odnosić się do starożytności tak odległej, że aż tchnącej czcigodnością, albo też powinna być żywym odbiciem tych scen, które codziennie przesuwają nam się przed oczami, zaciekawiając swoją nowością. I tak zarówno kolczuga naszych przodków, jak i potrójny futrzany płaszcz naszych dzisiejszych elegantów mogą, chociaż z odmiennych zgoła powodów, nadawać się do przystrojenia fikcyjnej postaci; ale któż, chcąc korzystnie odziać swego bohatera, przybierze go z własnej woli w dworski strój z czasów Jerzego II<sup>11</sup>, w strój bez kołnierza, o szerokich rękawach i nisko umieszczonych kieszeniach?

To samo da się zastosować do gotyckiej świetlicy, która w powieściowym opisie znakomite sprawia wrażenie swymi przyćmionymi barwionymi oknami, wysokim, mrocznym pułapem, oraz masywnym stołem dębowym, zastawionym łbami dzików z rozmarynem lub rzadkim ptactwem, jak bażanty, pawie, żurawie i łabędzie. Niemniej wspaniale wypaść może żywy opis jednej z tych nowoczesnych uroczystości, o których donosi nam codziennie szpalta dziennika, zwana: „Zwierciadłem Mody” - jeśli zestawimy wspomniane widowiska, lub którekolwiek z nich oddzielnie, ze sztywnym przepychem przyjęcia wyprawionego sześćdziesiąt lat temu; widać stąd jasno, jak wielką ma przewagę malarz staroświeckich lub modnych obyczajów nad tym, kto opisać usiłuje życie ostatniego z pokoleń poprzedzających nasze czasy.

Rozważenie słabych stron, nierozłącznie związanych z omówioną dziedziną mojego tematu, wyjaśnia dostatecznie, dlaczego postanowiłem unikać ich w miarę możliwości, przerzucając główny nacisk w moim opowiadaniu na charaktery i namiętności osób działających, na te namiętności, wspólne ludziom na wszelkich szczeblach społecznych, które nieodmiennie poruszają serce ludzkie, bez względu na to, czy okrywa je stalowy pancerz piętnastego wieku, strój z brokatu osiemnastego stulecia, czy też granatowy frak i biała pikowa kamizelka dzisiejszych czasów. Jest rzeczą niewątpliwą, że namiętnościom tym właściwy dla danej epoki stan obyczajów i praw nadaje odpowiednie zabarwienie; jednakże godło - by użyć gwary heraldycznej - pozostaje to samo, chociaż barwa może być nie tylko różna, ale wprost biegunowo przeciwna.

Gniew przodków naszych, na przykład, miał zabarwienie czerwone; wybuchał on czynami otwartego krwawego gwałtu wobec przedmiotów swej wściekłości. Nasze złośliwe uczucia, zmuszone szukać zadowolenia na mniej bezpośredniej drodze i podkopywać przeszkody, których otwarcie znieść nie mogą, można by raczej określić jako zabarwione czarno. Jednakże w obu przypadkach rządzi nurt ten sam; dumny magnat, mogący dziś

---

<sup>11</sup> Jerzy II - król angielski panujący w okresie opisywanym w powieści. (Patrz objaśnienia do rozdz. II: Hanowerska dynastia)

zniszczyć swego sąsiada jedynie na drodze prawnej przez nieskończone procesy, jest nieodrodnym potomkiem barona, który zamek współzawodnika oddawał na łup płomieni, a jego samego zarąbywał, gdy tamten ratował się z pożaru.

Podjąłem tedy próbę odczytania ogółowi jednego rozdziału z tej wielkiej księgi Natury, która trwa zawsze ta sama poprzez tysiące wydań, od czasu ręcznych starodruków aż po epokę prasy mechanicznej tłoczącej pod parą. Pewnych korzystnych sposobności kontrastu dostarczył mi stan społeczeństwa w północnej części naszej wyspy w okresie objętym moim opowiadaniem, co może posłużyć do urozmaicenia i zarazem zilustrowania nauk moralnych, które rad bym uważać za najważniejszą część mojego zamierzenia; rozumiem wszelako, że chybią one celu, jeżeli nie potrafię zaprawić ich elementem rozrywki, a wobec krytycznych skłonności obecnego pokolenia, zadanie to nie jest już dziś bynajmniej tak łatwe, jakim było „sześćdziesiąt lat temu”.

## ROZDZIAŁ II

### **Waverley-Honour. Rzut oka wstecz**

Tak tedy sześćdziesiąt lat temu, Edward Waverley, bohater tego opowiadania, żegnał rodzinę swoją udając się do pułku dragonów, w którym ostatnio otrzymał szarżę. Smutny to był dzień w Waverley-Honour, gdy młody oficer żegnał się z sir Everardem, kochającym go starym stryjem, po którym tytuł i dobra miał prawdopodobnie dziedziczyć.

Różnica opinii politycznych wcześniej odsunęła baroneta<sup>12</sup> od młodszego jego brata Ryszarda, ojca naszego bohatera. Sir Everard odziedziczył po przodkach cały zasób torysowskich i kościelno-episkopalnych sympatii<sup>13</sup> i uprzedzeń, które cechowały dom Waverleyów od czasów Wielkiej Wojny Domowej<sup>14</sup>. Ryszard natomiast, którego dzieliła od Everarda różnica dziesięciu lat wieku, rozumiał, że przypadł mu los młodszego brata, i nie przewidywał ani godności, ani materialnych korzyści z podtrzymywania tradycji Willa Wimble'a<sup>15</sup>. Zdał on sobie wcześniej sprawę z tego, i że chcąc mieć powodzenie w wyścigu życiowym należy dźwigać jak najmniej ciężaru.

Jednakże rozum nie byłby prawdopodobnie zdołał zwyciężyć i usunąć dziedzicznych uprzedzeń, gdyby Ryszard mógł przewidzieć, że starszy brat jego, sir Everard, wzięwszy do serca zawód doznany w młodości, dotrwa w stanie kawalerskim do wieku lat siedemdziesięciu dwóch. Widoki spadku, chociaż dalekie, może byłyby w tym wypadku skłoniły go do znoszenia przez większą część życia roli „panicza Ryszarda z Dworu, brata baroneta” w nadziei, że u schyłku życia doczeka się dostojęństw jako sir Ryszard Waverley-

---

<sup>12</sup> baronet-najniższy z angielskich tytułów arystokratycznych, uprawniający do dodawania przy nazwisku wyrazu *sir*. W Anglii tytuł i majątek rodowy dziedziczy prawnie najstarszy syn, a w razie braku męskiego potomka, najbliższy krewny po mieczu.

<sup>13</sup> torysowskie i kościelno-episkopalne sympatie...- Kościół episkopalny, czyli anglikański został wprowadzony w Anglii w 1534 r. za panowania Henryka VIII Tudora. Kościół ten nic podlega papieżowi i duchowieństwo składa przysięgę na wierność królowi. Konflikt pomiędzy królem i magnaterią angielską a Kościołem katolickim powstał na tle ekonomicznym, rząd pragnął odebrać ogromne majątki, będące w rękach kleru, a obejmujące około 1/5 ziemi obszarnej. Konfiskata ta wzbogaciła wielkich posiadaczy ziemskich i nowo mianowanych przez króla dygnitarzy kościelnych. W XVII wieku przeciwko tym wielkim feudałom i anglikańskiemu Kościołowi (torysom) wystąpili prezbiteriańscy republikanie (wigowie).

Prezbiterianizm (angielski protestantyzm) był wyznaniem mieszczaństwa dążącego do zniesienia przywilejów magnatów i reformy feudalnej organizacji Kościoła anglikańskiego. W epoce tej, gdy partii politycznych w pełnym tego słowa znaczeniu jeszcze nie było, ugrupowania religijne spełniały w pewnym stopniu rolę partii w walce społecznej. Stronnictwo wigów-republikanów - domagało się ograniczenia władzy królewskiej przez Parlament

<sup>14</sup> Wielka Wojna Domowa - rozpoczęta w 1642 r. pomiędzy stronnikami króla Karola I Stuarta a jego przeciwnikami. zwolennikami ustroju republikańskiego. Po straceniu na szafocie w 1649 r. Karola I, w Anglii została ustanowiona republika pod protektoratem wodza republikanów Olivera Cromwella, która trwała do 1660.

<sup>15</sup> Will Wimble - postać z pisma literackiego Spectator (Widz), założonego przez ang. pisarza Josepha Addisona (1672-1719). Will Wimble przedstawia typ młodzieńca, który, jako młodszy syn, nie dziedziczy majątku, a nie wyuczwszy się żadnego zawodu prowadzi próżniacze, pasożytnicze życie w majątku starszego brata.

Honour, dziedzic książęcych włości i szerokich politycznych wpływów, należnych najwybitniejszej osobistości w całym hrabstwie.

Takiego jednakże obrotu rzeczy nie można się było spodziewać wtedy, gdy Ryszard wstępował w życie, a sir Everard znajdował się w kwiecie wieku i był pożądanym konkurentem nieledwie w każdej rodzinie, bez względu na to, czy szukałby bogactwa, czy też piękności - i gdy plotki o bliskim już jego małżeństwie wzbudzały co rok zainteresowanie w całej okolicy. Młodszy jego brat nie widział innego sposobu zdobycia niezależności niż przez poleganie na własnych wysiłkach i przyjęcie politycznych przekonań zgodniejszych z rozumem i z własnym interesem niż dziedziczna wiara sir Everarda w Kościół episkopalny i w dom Stuartów. Toteż wyrzekł się rodzinnej tradycji u progu swej kariery i wszedł w życie jako zdecydowany wig i stronnik hanowerskiej dynastii<sup>16</sup>.

Rząd za czasów Jerzego I przezornie dbał o zmniejszenie rzeszy opozycjonistów. Torysowska szlachta, czerpiąca blask swój z promieniującego słońca dworu, od pewnego czasu zaczynała stopniowo godzić się z nową dynastią. Jednakże bogate ziemiaństwo Anglii, przechowujące obok zamiłowania starego obyczaju i pierwotnego nieposzlakowania również i wiele upartych i nieustępliwych uprzedzeń, trzymało się z dala w dumnej i posepnej opozycji, śląc pełne żalu i nadziei spojrzenie w stronę Bois-le-Duc, Awinionu i Włoch<sup>17</sup>. Pozyskanie sobie bliskiego krewniaka jednego z tych stałych i niezłomnych oponentów uważano za środek przyciągnięcia większej liczby nawróconych i dlatego też Ryszardowi Waverleyowi przypadło w udziale więcej rządowej łaski, niżby wynikało z jego zdolności i znaczenia politycznego.

Odkryto wszelako, że wykazuje on dużą zręczność w załatwianiu spraw publicznych, i po pierwszym przyjęciu u ministra powodzenie jego poczęło szybko wzrastać. Sir Everard dowiedział się z gazety najpierw, że Ryszard Waverley, *esquire*<sup>18</sup>, został obrany posłem z królewskiego grodu Barterfaith<sup>19</sup>, następnie, że urodzony Ryszard Waverley wziął wybitny udział po stronie rządu w rozprawie nad ustawą o akcyzie, a wreszcie, że urodzony Ryszard

---

<sup>16</sup> hanowerska dynastia - reprezentuje ją w powieści „Waverley” król Jerzy II (1727-1760). Panująca obecnie w Anglii pod przyjętą w 1914 r. nazwą Windsor dynastia Brunszwik-Hanover objęła tron ang. w 1714 r. w osobie Jerzego I.

<sup>17</sup> Bois-le-Duc, Awinion, Włochy - dwory w Niderlandach, południowej Francji i we Włoszech, które utrzymywał Jakub III, syn zdetronizowanego króla Jakuba II. Jakub III pretendujący do tronu angielskiego zwany był Starym Pretendentem lub Kawalerem de Saint-Georges.

<sup>18</sup> *esquire* - termin wyrażając uszanowanie, używany w aktach urzędowych i w korespondencji tuż po nazwisku adresata

<sup>19</sup> został obrany posłem z królewskiego grodu Barterfaith - Ryszard Waverley wybór swój zawdzięczał temu, że w owym czasie ministrowie mianowani przez króla mieli prawo wyznaczania kandydatów na posłów do Parlamentu w niektórych okręgach, np. na terenach będących własnością królewską. Słowo *barterfaith* (ang.) oznacza: handel wiarą

Waverley został zaszczycony stanowiskiem w jednej z tych komisji, gdzie przyjemność służenia krajowi idzie w parze z innymi ważnymi korzyściami, które tym milej są widziane, iż powtarzają się stale co kwartał.

Chociaż wszystkie te wydarzenia następowały po sobie tak szybko, że bystrość redaktora nowoczesnej gazety byłaby przepowiedziała dwa ostatnie już w chwili ogłoszenia pierwszego, do sir Everarda dochodziły one stopniowo, precedzane jakby kropla po kropli przez chłodny i powolny alembik<sup>20</sup> „Tygodnika Dyera”<sup>21</sup>. Poczta raz na tydzień w owych czasach przywoziła do Waverley-Honour tygodnik z wiadomościami, który, zaspokoiwszy ciekawość sir Everarda, jego siostry i wiekowego kamerdynera, szedł regularnie z dworu na plebanie, z plebanii do imć pana Stubbsa na folwark, stamtąd do rządcy baroneta mieszkającego w schludnym, białym domku na wrzosowisku, od rządcy do ekonoma, by w końcu uszczęśliwić liczne grono zacnych kumów i kumoszek; w ich twardych i zgrubiałych rękach rozpadał się zwykle na strzępy mniej więcej miesiąc po nadejściu.

Taka opieszałość w napływie wiadomości okazała się w danym wypadku korzystna dla Ryszarda Waverleya; gdyby bowiem wieść o wszystkich jego potwornych wybrykach doszła uszu sir Everarda od razu, nowy urzędnik nie miałby z pewnością powodu cieszyć się z powodzenia swojej polityki. Baronet, chociaż najłagodniejszy z ludzi, miał w swoim charakterze pewne punkty drażliwe; postępowanie brata zraniło je głęboko; dobra Waverley nie były skrepowane żadną klauzulą spadkową (nigdy bowiem nie powstało w głowie żadnego z dawnych właścicieli, by którykolwiek z ich potomków mógł stać się winnym zbrodni, o jakie „Tygodnik Dyera” pomawiał Ryszarda) a gdyby nawet były, małżeństwo właściciela mogło stać się zgubnym dla spadkobiercy z bocznej linii. Tego rodzaju rozważania snuły się po głowie sir Everarda, nie przybierając jednak formy konkretnej decyzji.

Sir Everard rozejrzał się w swoim drzewie genealogicznym, które, zdobne wieloma symbolicznymi godłami honoru i walecznych czynów, wisiało na pięknie polerowanej boazerii jego hallu. Najbliższymi potomkami sir Hildebranda Waverleya, nie licząc potomstwa najstarszego jego syna Wilfreda, spośród którego pozostali przy życiu jedynie sir Everard i jego brat - byli wedle tego czcigodnego wykazu (o czym zresztą sam dobrze wiedział) Waverleyowie z Highley Park w gminie Hants, z którymi główny konar rodu, a

---

<sup>20</sup> alembik - przyrząd do destylacji. Tu: przenośnia użyta w stosunku do „Tygodnika Dyera”. Gazeta ta ukazująca się do 1715 r. już nie w rękopisach, lecz w druku, nastrojona opozycyjnie wobec wigów, zawierała mnóstwo wieści nieprawdziwych lub odpowiednio zmienionych (oczyszczonych jak woda w alembiku).

<sup>21</sup> Przez długi czas „Tygodnik Dyera” (*Dyer's Weekly Letlers*) był wyrocznią dla szlachty ziemiańskiej z arystokratycznego stronnictwa torysów. Pierwotne „Nowiny” (*News-Letters*) wydawane były w rękopisach, przepisywanych przez kopistów i adresowanych do abonentów. Dziennikarz-polityk zbierał wiadomości w kawiarniach i często występował o dodatkowe zapłaty ze względu na specjalne wydatki związane z



raczej sam jego pień, zerwał wszelkie stosunki od czasu wielkiego procesu z roku 1670.

Gdyby prawnik Clippurse<sup>22</sup>, po którego sir Everard pospiesznie wysłał chłopca stajennego, przybył o godzinę wcześniej, byłoby mu pewnie dane spisać nowe rozporządzenie, dotyczące tytułu i zamku Waverley-Honour z wszystkimi przyległościami. Jednakże godzina chłodnego namysłu wiele znaczyć może, jeśli jej się użyje na zestawienie porównawcze ujemnych stron dwóch postąpień, z których w gruncie rzeczy żadne nam się nie podoba. Prawniki Clippurse zastał patrona swego pogrążonego w głębokiej zadumie, której przez uszanowanie nie ośmielił się zakłócić poza wydobyciem papieru i skórzanego kałamarza, czym zaznaczał gotowość do zaprotokołowania życzeń jego dostojności.

Już te drobne nawet zabiegi wprowadziły w zakłopotanie sir Everarda, który odczuł w nich jakby wyrzut za swój brak decyzji. Spojrzał na prawnika, pragnąc wreszcie wydać jakiś wyrok, gdy nagle słońce, wypłynąwszy spoza chmury, rzuciło potok tęczowego światła przez barwione szyby - posępnego gabinetu, w którym siedzieli. Oko baroneta, gdy podniósł je ku tej jasności, padło wprost na środkową tarczę herbową, zdobną tym samym godłem, które miał nosić praszczur jego na polu bitwy pod Hastings<sup>23</sup>: trzy srebrne gronostaje w biegu na błękitnym polu z zasłużonym zawołaniem *Sans tache*<sup>24</sup>. „Niech raczej imię nasze przepadnie - zawołał sir Everard - niżby ten odwieczny znak wierności miał zostać splugawiony obrzydłymi godłami okrągłogłowego<sup>25</sup> zdrajcy!”

Wszystko to było skutkiem błysku promienia słonecznego, przy którego świetle pan Clippurse ledwie zdołał zaostrzyć swe pióro. Uczynił to na próżno. Odprawiono go z poleceniem, by gotów był na każde wezwanie.

Ukazanie się prawnika Clippurse w zamku dało pole do szerokich domysłów w tej części świata, której Waverley-Honour służyło za ośrodek. Jednakże bystrzejsi politycy w tym małym światku wysnuwali gorsze jeszcze dla Ryszarda Waverleya wnioski z faktu, który zaszedł niebawem po jego odstępstwie. Zdarzyło się mianowicie, że baronet wybrał się w poszóstnej karocy, z czworgiem służby w bogatej liberii, na dłuższe odwiedziny do

---

uczęszczaniem do tak wytwornych lokali. (*Przypis autora*).

<sup>22</sup> Clippurse - nazwisko charakteryzujące nosiciela: krętacz.

<sup>23</sup> bitwa pod Hastings - mowa tu o bitwie w 1066 r., która oddała Anglię w ręce normandzkiej dynastii Wilhelma Zdobywcy. Ambicjom szlachty angielskiej odpowiadało wyprowadzanie swoich rodowodów od rycerzy towarzyszących Wilhelmowi Zdobywcy.

<sup>24</sup> *Sans tache* (franc.) - bez skazy.

<sup>25</sup> okrągłogłowi - pogardliwa nazwa nadana przez stronnictwo królewskie zwolennikom republiki. Nazwa ta pochodziła stąd, że republikanie byli przeważnie purytanami i jako tacy zachowywali zwyczaj noszenia włosów strzyżonych; rojaliści zaś mieli długie loki lub najczęściej peruki z lokami. Określenie „okrągłogłowy zdrajca” przez sir Everarda stanowi aluzję do spowinowacenia się bocznej linii Waverleyów z potomkiem Jana Bradshave, przewodniczącego sądu nad Karolem I Stuartem.

szlachetnego para<sup>26</sup> na pograniczu hrabstwa, szczyłącego się nieposzlakowanym rodem i stałymi torysowskimi zasadami, a będącego szczęśliwym ojcem sześciu niezamężnych, pięknie ułożonych córek.

W rodzinie tej przyjęto sir Everarda, jak to sobie łatwo wyobrazić można, nader przychylnie; spomiędzy jednak sześciu pańien wybór jego niestety padł na najmłodszą, Emilię, która starania jego przyjmowała z zakłopotaniem świadczącym jawnie, że choć nie śmie ich odrzucać, nie sprawiają jej one najmniejszej uciechy.

Honor i wielkoduszność były dziedzicznymi cechami rodu Waverleyów. Z wdziękiem i umiarem, godnym bohatera romansu, Everard zrzekł się pretensji do ręki Emilii. Potrafił nawet, przed wyjazdem z Blandeville Castle, zrzęcznie wymóc na jej ojcu pozwolenie na związek jej z wybrańcem serca. Jakich argumentów użył w tym celu, nie wiadomo dokładnie, gdyż nigdy nie przypisywano sir Everardowi wybitnych zdolności do przekonywania bliźnich; tyle tylko jest pewne, że bezpośrednio po tym zdarzeniu młody oficer zaczął czynić w karierze wojskowej tak szybkie postępy, jakie nie bywają udziałem ludzi nie mających na swe poparcie niczego poza własną zawodową wartością; na pozór jednak jedynie osobista zasługa mogła za nim przemawiać.

Cios, który przy tej sposobności spotkał sir Everarda, choć złagodzony świadomością uczciwego i szlachetnego czynu, odbił się jednak na dalszym jego życiu. Wspomnienie tej nieszczęśliwej miłości stało się dla sir Everarda, jak dla wielu innych ludzi podobnego usposobienia, zarazem nieśmiały, dumny, wrażliwy i bierny, przestroga przeciw narażaniu się w przyszłości na podobny zawód, ból i bezowocny wysiłek. Żył przeto dalej w Waverley-Honour na wzór angielskiego szlachcica starożytnego rodu i wielkiej fortuny. Siostra jego, panna Rachel Waverley, przydowała przy jego stole; tak więc stali się stopniowo - on starym kawalerem, ona leciwą, niezamężną damą - dwojgiem najmilszych i najdobrotliwszych wyznawców celibatu.

Gwałtowność oburzenia sir Everarda na brata nie trwała długo; jednakże niechęć do wigów i sług rządu, chociaż nie była zdolna pobudzić go do podjęcia na nowo jakichkolwiek kroków na szkodę praw Ryszarda do rodowego dziedzictwa, podtrzymywała w dalszym ciągu między nimi oziębłość. Ryszard dostatecznie znał świat i usposobienie brata, by rozumieć, że jakimiś nierozważnymi albo przedwczesnymi krokami pojednawczymi mógłby zamienić bierną niechęć na żywsze nieprzyjazne uczucie. Toteż przypadek dopiero wywołał po dłuższym czasie odnowienie ich stosunków. Ryszard pojął za żonę pannę ze znacznego rodu,

---

<sup>26</sup> par - tytuł członków Izby Wyższej w Parlamencie angielskim.

a dzięki jej stosunkom i majątkowi miał nadzieję osiągnąć wyższy szczebel kariery. W jej imieniu wszedł w posiadanie dość okazałych dóbr w odległości paru mil od Waverley-Honour.

Mały Edward, bohater naszego opowiadania, wtedy piąty rok liczący, był ich jedynym dzieckiem. Zdarzyło się, że chłopiec ze swoją niańką zawędrował pewnego ranka na odległość mili od wjazdowej alei w Brere-wood Lodge, siedziby jego ojca. Uwagę ich zwrócił powóz zaprzężony w sześć wspaniałych karych koni o długich ogonach, a zdobny tyłu rzeźbami i złoceniami, że nie powstydziliby się go sam lord-major<sup>27</sup>. Czekał on na swego właściciela, który nie opodal oglądał budujący się dom dla dzierżawcy. Nie wiem, czy piastunka chłopca była Walijką czy Szkotką ani jaką drogą powiązał on tarczę herbową z trzema gronostajami z pojęciem osobistej własności; dość że zaledwie ujrzał godło rodzinne, zdecydował stanowczo dochodzić swych praw do wspaniałego pojazdu, na którym ono błyszczało.

Baronet nadszedł w chwili, gdy niańka chłopczyka daremnie siliła się powstrzymać go od objęcia w posiadanie złoconej poszóstnej karocy. Spotkanie to zdarzyło się w pomyślnym dla małego Edwarda momencie, gdyż stryj jego właśnie przed chwilą przyglądał się w zadumie i jak gdyby z zazdrością pyzaty malcom grubego dzierżawcy, dla którego budowano dom pod jego kierunkiem. W osobie stojącego przed nim aniołka o różowej budzi, mającego jego oczy i noszącego jego nazwisko, a upominającego się o dziedziczne prawo do pokrewieństwa z nim, przywiązania i opieki mocą węzła równie świętego dla sir Everarda, jak Order Podwiązki<sup>28</sup> lub Błękitny Płaszcz<sup>29</sup>, opatrność zdawała się mu zsyłać przedmiot najodpowiedniejszy do zapełnienia pustki w jego nadziejach i sercu. Sir Everard powrócił do Waverley-Honour konno, na wierzchowcu, który dlań przyprowadzono na wszelki wypadek, dziecko zaś i niańkę odesłano karetą do Brere-wood Lodge z pismem, które otworzyło Ryszardowi Waverleyowi drogę do pojednania się ze starszym bratem.

Stosunki ich jednak, choć tym sposobem znowu nawiązane, pozostały nadal raczej sztywnie uprzejme niż tchnące braterską serdecznością; odpowiadało to jednak życzeniom obu stron. W częstym obcowaniu ze swym małym bratankiem sir Everard znalazł coś, na czym dziedziczna jego duma mogła opierać miłe nadzieje przedłużenia rodu, a co

---

<sup>27</sup> lord-major - burmistrz Londynu.

<sup>28</sup> Order Podwiązki - order ufundowany przez Edwarda III ok. 1348 r. jest najwyższym orderem angielskim, nadawanym bardzo nielicznym i tylko noszącym tytuł lorda. Hasło (dewiza) orderu brzmi: „Honni soit, qui mal y pense” (franc.)” „Hańba temu, kto źle o tym myśli” - wiąże się z legendarną opowieścią o powstaniu tego orderu.

<sup>29</sup> Błękitny Płaszcz - strój urzędowy jednego z członków „kolegium heraldycznego”, opiekującego się herbami. Jest to jednocześnie tytuł z urzędem tym związany Edukacja.

jednocześnie pozwalało w pełni rozkwitnąć jego dobrotliwym i serdecznym uczuciom. Co do Ryszarda Waverleya, ten w rosnącym wzajemnym przywiązaniu stryja i synowca widział możliwość zapewnienia w przyszłości jeśli już nie sobie, to synowi dziedzictwa dóbr rodowych; czuł zaś wyraźnie, że rachub tych nie tylko by nie wzmocnił, lecz raczej naraziłby je na szwank, gdyby sam usiłował wejść w bliższą zażyłość z człowiekiem o takich zwyczajach i przekonaniach, jakim hołdował sir Everard.

Tak tedy, jakby w myśl milczącej ugody, wolno było małemu Edwardowi spędzać większą część roku we dworze w Waverley-Honour; dziecko równie serdecznie odnosiło się do obu rodzin, chociaż ich wzajemne stosunki ograniczały się skądinąd do chłodnych listów i jeszcze chłodniejszych odwiedzin. Wykształceniem chłopca kierowały na zmianę upodobania i przekonania to stryja, to ojca. O tym jednak będzie już mowa w następnym rozdziale.

## ROZDZIAŁ III

### Edukacja

Kształcenie naszego bohatera, Edwarda Waverleya, odbywało się w sposób nieco dorywczy. W dzieciństwie zdrowie jego nie znosiło, a przynajmniej sądzono, że nie znosi (co na jedno wychodzi) klimatu Londynu. Ilekroć więc obowiązki urzędowe, sesje Parlamentu albo przeprowadzanie jakichś planów, dotyczących własnych interesów czy ambicji, wzywały ojca do miasta, w którym zazwyczaj spędzał osiem miesięcy na rok, mały Edward przenosił się do Waverley-Honour, podlegając zupełnej zmianie nie tylko miejsca pobytu, lecz również wykładowców i toku nauki. Można byłoby temu zapobiec, gdyby ojciec jego zdał nadzór nad nim stałemu nauczycielowi. Uważał on jednak, że nauczyciel przez niego wybrany byłby prawdopodobnie nie do przyjęcia w Eaverley-Honour, a znów wybór, jaki by uczynił sir Everard, obciążałby go niemiłym domownikiem lub nawet szpiegiem politycznym w rodzinie. Wymógł przeto na swoim osobistym sekretarzu, młodzieńcu przyzwoitym i wykształconym, by poświęcił godzinę lub dwie na uczenie Edwarda podczas pobytu w Brerewood Lodge, stryjowi zaś pozostawił odpowiedzialność za kształcenie chłopca w literaturze, gdy ten przebywał u niego.

Układ ten został dość zadowalająco dotrzymany. Kapelan sir Everarda, dawny wychowanek Oksfordu<sup>30</sup>, który musiał przerwać studia wskutek odmowy złożenia przysięgi<sup>31</sup> na wierność przy wstąpieniu na tron Jerzego I, był nie tylko znakomitym klasykiem, ale i niezłym znawcą nauk ścisłych - obok gruntownej znajomości wielu języków nowożytnych. Był on jednak stary i pobłażliwy, a stale powtarzające się okresy bezkrólewia, podczas którego Edwarda zwalniano od wszelkiego rygoru, tak dalece osłabiły powagę wychowawcy, że chłopakowi wolno było na ogół uczyć się, jak mu się podobało, tego, co mu się podobało, i wtedy, kiedy mu się podobało. Pojętność chłopca tak była wielka, że przybierała wieszczą niemal postać, wobec czego rola nauczyciela ograniczała się jedynie do troski o to, by nabywanie wiedzy nie odbywało się w sposób zbyt powierzchowny, płytki i przypadkowy. Edward zabierał się z zapałem do każdego z klasycznych autorów, którego czytanie zalecał mu nauczyciel, opanowywał jego styl o tyle, żeby rozumieć fabułę, a jeśli ta zachwycała go lub zaciekawiała, doczytywał dzieło do końca. Ale daremne były starania, by przykuć jego uwagę do krytycznych rozróżnień filologicznych, odrębności stylu, piękna szczęśliwych

---

<sup>30</sup> Oksford - siedziba najstarszego angielskiego uniwersytetu.

<sup>31</sup> przysięga na wierność Jerzemu I - Jerzy I był pierwszym królem z dynastii hanowerskiej (1714). Część duchowieństwa anglikańskiego nastawiona torysowsko nie uznawała jego praw do tronu, popierając stronnictwo Stuartów.

zwrotów, lub wyszukanego doboru składni. Dla naszego bohatera, któremu wolno było szukać wiedzy wedle własnego upodobania i który, rzecz prosta, uzupełniał ją tylko dopóty, dopóki go to bawiło, pobłażliwość nauczycieli ściągnąć musiała złe następstwa, które przez długi czas wywierały wpływ na jego charakter i szczęście.

Żywa wyobraźnia Edwarda i jego gorące zamiłowanie do literatury nie tylko nie zapobiegły temu szczególnemu niebezpieczeństwu, ale jeszcze podniecały i zwiększały jego gwałtowność. Biblioteka w Waverley-Honour, obszerna gotycka komnata o podwójnych łukach i galerii, zawierała tak różnorodny i obfity zbiór tomów, jaki w ciągu dwustu lat zebrała rodzina, zawsze bogata i tym samym skłonna do zaopatrywania bibliotecznych półek dla większej okazałości w całą bieżącą literaturę dnia bez wielkiej staranności wyboru. W tym obszernym państwie wolno było Edwardowi gospodarować do woli. Nauczyciel jego oddawał się własnym studiom; chociaż zaś polityka kościelna, kontrowersje<sup>32</sup> religijne i zamiłowanie do wygody w uczonej pracy nie odciągały w określonych godzinach uwagi jego od postępów przypuszczalnego spadkobiercy patrona, skłaniały go one jednak do chętnego chwytania lada wymówki mogącej zwolnić go od roztaczania ścisłego i systematycznego nadzoru nad ogólnymi studiami Edwarda. Sir Everard sam nigdy nie pracował naukowo i wraz z siostrą, miss Rachelą Waverley, podzielał pospolite zdanie, że lenistwo nie znosi żadnego czytania, a samo już śledzenie wzrokiem liter jest użytecznym i pełnym wartości zadaniem, nie wymagającym wnikania w to, jakie myśli lub teorie pod znakami tymi się kryją. Jedynie więc z chęci rozrywki, która przy lepszej opiece mogła się być łatwo przerodzić w istotne pragnienie wiedzy, młody Waverley żeglował po morzu książek niby okręt pozbawiony sternika i steru. Nic tak nie rozwija przyzwyczajenia do dorywczego, pobieżnego czytania, jak pobłażliwość, zwłaszcza przy tak wyjątkowo sprzyjających okolicznościach. Sądzę, że jedną z przyczyn, dla których tak częste spotykamy przykłady erudycji wśród niższych sfer, jest fakt, że przy równych zdolnościach biedny czytelnik ma tak małe możliwości zdobycia pożądanej literatury, iż z konieczności opanowuje gruntowniej te nieliczne książki, które udało mu się posiadać. Edward natomiast - jak ów epikurejczyk<sup>33</sup>, który raczył odgryźć jeden tylko kąsek brzoskwini od strony najbardziej dojrzałej - nie czytał nigdy dzieła do końca, jeśli przestało go ono zaciekawiać; nic dziwnego więc, że zwyczaj szukania tylko tego rodzaju przyjemności z każdym dniem czynił ją trudniejszą do osiągnięcia, aż namiętność czytania, tak jak i inne silne pożądania, doszła wreszcie do pewnego rodzaju przesytu.

---

<sup>32</sup> kontrowersje - sprzeciwy, spory.

<sup>33</sup> epikurejczyk.- zwolennik epikureizmu - doktryny filozofa greckiego Epikura (341-270 p.n.e.) zalecającej rozumne dążenie człowieka do szczęścia, wyzwolenie się z religijnego zabobonu i lęku przed śmiercią; w przenośni: człowiek umiejący używać wszelkich radości życia.

Jednakże Edward, zanim doszedł do tej obojętności, przeczytał i nagromadził w niezwykle pojemnej pamięci wiele ciekawych, choć nie uporządkowanych i przedstawiających nierówną wartość, wiadomości. Z angielskiej literatury opanował Szekspira i Milтона<sup>34</sup>, wcześniejszych autorów dramatycznych, wiele barwnych i interesujących ustępów starych historycznych kronik, a szczególnie dobrze znał Spensera<sup>35</sup>, Draytona<sup>36</sup> i innych poetów, którzy uprawiali powieść romantyczną - ten dział najbardziej pociągający dla wyobraźni młodzieńczej, póki nie obudzą się namiętności i nie zapragną poezji o bardziej uczuciowym nastawieniu. W tej dziedzinie znajomość języka włoskiego otworzyła mu jeszcze szersze horyzonty. Przeczytał wiele romantycznych poematów, które od czasów Pulciego<sup>37</sup> stały się ulubionym dla umysłowości włoskiej rodzajem literackim, i znajdował też przyjemność w licznych zbiorach nowel, które geniusz tego wytwornego, aczkolwiek rozpustnego narodu tworzył na wzór Dekameronu<sup>38</sup>. W klasycznej literaturze Waverley poczynił zwykle postępy, poznając najczęściej czytanych autorów. Francuska literatura dostarczyła mu prawie niewyczerpanej kolekcji pamiętników, niewiele wierniejszych od romansów, oraz romansów tak dobrze pisanych, że trudno je było odróżnić od pamiętników. Świetne stronice Froissarta<sup>39</sup> z wzruszającymi i olśniewającymi opisami wojen i turniejów należały do jego ulubionych dzieł, z prac zaś Brantome'a<sup>40</sup> de la Noue<sup>41</sup> nauczył się porównywać dziki i rozpuszczony, a jednocześnie zabobonny charakter szlachty z Ligi<sup>42</sup> z surowym, twardym, a niekiedy burzliwym usposobieniem partii hugonotów<sup>43</sup>. Hiszpania uzupełniła zapas jego wiadomości z zakresu literatury rycerskiej i romantycznej. Mimo to jednak, wiedząc wiele z tego, co dostępne bywa nielicznym, Edward Waverley mógł słusznie być uważany za nieuka, ponieważ mało obeznany był z tym, co człowiekowi dodaje godności i uprawnia go do zajęcia zaszczytnie wysokiego stanowiska w społeczeństwie.

---

<sup>34</sup> Milton John (1608-1674)-wielki poeta ang. sekretarz Olivera Cromwella, autor słynnego poematu epickiego pt. Raj utracony (Paradise Lost).

<sup>35</sup> Spenser Edmond (1-552-1599)- poeta angielski, autor poematu fantastycznego pt. The Fairy Queen (Królowa Elfów).

<sup>36</sup> Drayton Michael (1563-1631)-autor poematu historycznego pt. Wojna baronów.

<sup>37</sup> Pulci Luigi (1434-1484)-włoski pisarz, autor bohatersko-komicznego eposu pt. Morganie Maggiore.

<sup>38</sup> Dekameron - słynny utwór poety włoskiego epoki Odrodzenia, Giovanniego Boccaccio (1313-1375).

<sup>39</sup> Froissart Jean (ok. 1338 - zmarł po 1404)- kronikarz francuski, który przebywał przez jakiś czas na dworze angielskim. Kronika jego obejmuje okres 1325-1400.

<sup>40</sup> Brantome Pierre (1515-1674)- francuski-kronikarz obyczajowy za czasów Henryka III i Henryka IV. W pismach swoich nakreślił obraz walki stronnictw religijno-politycznych swojej epoki.

<sup>41</sup> de La Noue Francois (1531-1591) - jeden z przywódców hugonockich, zwany „żelazną ręką” autor rozprawy polityczno-wojskowej.

<sup>42</sup> Liga - szlacheckie stronnictwo katolickie we Francji walczące z hugonotami.

<sup>43</sup> hugonoci - zwolennicy reformy religijnej Kalwina (1509-1564) we Francji. Kalwinizm był wyznaniem odpowiadającym ideologii najbardziej wówczas postępowej części mieszczaństwa. W Anglii i Szkocji przyjął się w postaci prezbiterianizmu i jego odmiany: purytanizmu.

Gdyby rodzice jego zwracali na to od czasu do czasu uwagę, byłiby może potrafili zapobiec rozproszeniu myśli wynikłemu z tak dorywczej lektury. Jednakże matka jego umarła w siódmym roku po pojednaniu się braci, a Ryszard Waverley, który po śmierci żony przebywał prawie stale w Londynie, nazbyt był przejęty gonitwą za majątkiem i celami swej ambicji, by u Edwarda zauważyć coś więcej ponad to, że jest bardzo „książkowo” usposobiony i że prawdopodobnie sądzono mu zostać biskupem. Gdyby był mógł przeniknąć i zanalizować marzenia swego syna doszedłby niechybnie do innego zgoła wniosku.



## ROZDZIAŁ IV

### Zamki na lodzie

Wspomniałem już, że wykwintny, wybredny, przesadnie wydelikacowany gust, nabyty przez nadmiar niedbałego czytania, nie tylko uczynił bohatera naszego niezdolnym do poważnej, trzeźwej, naukowej pracy, ale obrzydził mu w pewnym stopniu te studia, które dotychczas uprawiał.

Miał rok szesnasty, gdy oderwanie od rzeczywistości i poszukiwanie samotności tak się w nim zaznaczyły, że aż wzbudziło to niejake obawy u życzliwego sir Everarda. Starając się przeciwdziałać tym skłonnościom, zachęcał bratanka do polowania, które za lat młodych sir Everarda stanowiło główną jego przyjemność. Lecz chociaż Edward gorliwie dźwigał strzelbę przez jeden sezon, skoro tylko dzięki ćwiczeniom nabrał pewnej wprawy, rozrywka ta przestała go bawić.

Towarzystwo i przykłady, które silniej niż inne czynniki zwykły wyznaczać kierunek namiętnościom ludzkim, mogły oddziaływać korzystnie na młodocianego marzyciela. Jednakże sąsiedztwo nie było gęsto zamieszkane, a domorośli młodzi ziemianie, jakich ono dostarczało, nie stanowili towarzystwa odpowiedniego dla Edwarda i nie mogli go pobudzić do współzawodnictwa w uprawianiu tych zajęć, które oni uważali za najważniejsze.

Było tam kilku innych młodzieńców, o wyższym wykształceniu i nie tak ciasnych horyzontach, ale i z ich towarzystwa bohater nasz został poniekąd wykluczony. Sir Everard po śmierci królowej Anny<sup>44</sup> wystąpił z Parlamentu, w miarę zaś jak się posuwał w lata, a koło jego rówieśników wciąż malało, wycofał się też stopniowo z towarzyskiego życia; gdy zatem Edwardowi zdarzyło się znaleźć w gronie wytwornej i wykształconej młodzieży z jego sfery i o podobnych życiowych możliwościach, odczuwał w tym towarzystwie pewną niższość, nie iżby mu nie dostawało wiadomości, ale że nie posiadał zręczności opanowania i uporządkowania zasobu własnych umiejętności. Głęboka i coraz to wzmagająca się wrażliwość odstręczała go tym bardziej od towarzystwa.

Godziny spędzane ze stryjem i z ciotką schodziły na słuchaniu gawęd, które starzy ludzie tak lubią powtarzać. Ale nawet i wtedy wyobraźnia jego, najsilniejsza władza jego duszy, często znajdowała podniecie. Chociaż tedy Edward Waverley ziewał niekiedy nad suchym wywodzeniem szeregu przodków z ich częstymi małżeństwami w rodzinie i w duszy burzył się przeciw nielitościwej a przewlekłej dokładności, z jaką czcigodny sir Everard

---

<sup>44</sup> królowa Anna - Anna Stuart (1665-1714)-córka zdetronizowanego Jakuba II, która po bezpotomnej śmierci króla Wilhelma Orańskiego objęła tron angielski (1702).

powtarzał różne stopnie spowinowacenia pomiędzy domem Waverleyów a dzielnymi baronami, rycerzami i szlachtą wiejską, z którymi był skoligacony, zdarzały się chwile, gdy te opowiadania zajmowały jego wyobraźnię i wynagradzały poświęcaną im uwagę.

Czyny Wiliberta z Waverley w Ziemi Świątej, długa jego nieobecność i niebezpieczne przygody, rzekoma śmierć i powrót pewnego wieczora w chwili, gdy umiłowana jego narzeczona poślubić miała bohatera, który podczas jego nieobecności bronił jej od zniewag i ucisku; wspaniałomyślność, z jaką krzyżowiec zrzekł się swoich praw i w sąsiednim klasztorze znalazł spokój, który nie przemija - takich i podobnych opowieści słuchał, aż serce w nim gorzało i oczy zapalały się blaskiem. Nie mniej go wzruszało, gdy ciotka Rachela opisywała cierpienia i męstwo lady Alicji Waverley podczas Wielkiej Wojny Domowej. Łagodna twarz czcigodnej starej panny nabierała uroczystego wyrazu, gdy opowiadała, jak to po bitwie pod Worcester<sup>45</sup> Karol na jeden dzień znalazł przytułek w Waverley-Honour, a gdy oddział kawalerii nadchodził, by przeszukać zamek, lady Alicja wysłała swego najmłodszego syna z garstką domowników, polecając im choćby za cenę życia uzyskać godzinę zwłoki, która dałaby królowi sposobność do ucieczki.

- I Boże jej dopomóż! - mówiła dalej panna Rachela wznosząc oczy ku portretowi bohaterki - drogo zapłaciła za ocalenie swego pana, bo utratą własnego ukochanego dziecka. Wnieśli go tutaj, jako jeńca, śmiertelnie ranionego: możesz rozpoznać krople jego krwi wiodące od drzwi wielkiego hallu poprzez małą galerię aż do salonu, gdzie go złożono u stóp matki, by tam życia dokonał. Ale doznali jeszcze wzajemnej pociechy, gdyż wyczytał z oczu matki, że cel jego rozpaczliwej obrony został osiągnięty.

Nasłuchawszy się takich legend bohater nasz wymykał się, by puścić wodze marzeniom, które one budziły. W kącie obszernej, ciemnej biblioteki, oświetlonej jedynie blaskiem główni dopalających się w wielkim i wspaniałym kominku, poddawał się on działaniu tej czarodziejskiej wewnętrznej mocy, która zdarzeniom minionym lub urojonym nadaje w oczach marzyciela kształt widomy. Wtedy ożywała przed nim w długim i barwnym korowodzie wspaniała uroczystość ślubna w zamku Waverleyów; wysoka, koścista postać rzeczywistego pana, który w pielgrzymiej włosiennicy przyglądał się nie zauważony weselu domniemanego swego następcy i własnej narzeczonej. To znowu zmieniał scenę i wyobraźnia przedstawiała mu skwapliwie tragedię z opowieści ciotki Racheli. Widział lady Waverley, siedzącą w swej altanie, z uchem wytyżonym na najlżejszy szmer, z sercem bijącym podwójną męką, nasłuchującą ginącego echa kopyt królewskiego konia, a gdy te umilkły,

---

<sup>45</sup> bitwa pod Worcester - w 1651 r., w której armia Cromwella pokonała pretendenta do tronu Karola Stuarta, późniejszego Karola II, panującego od 1660 do 1685 r.

doszukującą się w każdym powiewie wiatru, wstrząsającym drzewami parku, zgiełku odległej potyczki. Z daleka słysząc odgłos, jak szum wezbranej rzeki; zbliża się on, a Edward wyraźnie już odróżnia cwał koni, krzyki i nawoływania ludzi, a pośród tego wystrzały z pistoletów.

Przebywanie w urojonym świecie stawało się coraz miłsze naszemu bohaterowi, tym przykrzej tedy odczuwał, gdy mu je przerywano. Rozległy szmat ziemi, otaczający dwór, rozmiarami o wiele obszerniejszy od parku, a zwany zazwyczaj Waverley-Chase; był niegdyś terenem leśnym i dotąd, choć poprzerwany licznymi polankami, na których młode jelenie wyprawiały swe harce, zachował swój pierwotny, dziki charakter. Przerzynały go szerokie drogi, w wielu miejscach na pół zarosłe krzakami, gdzie piękne damy dni minionych lubiły obierać stanowiska, by widzieć jelenia ściganego przez ogary lub nawet zmierzać się doń z kuszy. W jednym miejscu, oznaczonym gotyckim, omszałym pomniczkiem, a zwanym dotąd Stanowiskiem Królowej, Elżbieta we własnej osobie miała przeszyć strzałami siedem kozłów. Było to ulubione schronienie Edwarda. Kiedy indziej znów, ze strzelbą i wyżłem, co służyło za pozór dla innych, i z książką w kieszeni, co może dawało mu wymówkę przed sobą samym, zapuszczał się w jedną z tych długich alei, która, ciągnąc się pod górę jakieś cztery mile, stopniowo zwężała się w dziką i wąską ścieżkę biegnącą przez skalisty, zalesiony wąwóz, zwany Ciemnym Jarem, i wyprowadzała nagle na głębokie, ocienione jeziorko, noszące z tejże przyczyny miano Ciemnego Ługu. Stała tam dawnymi czasy samotna wieża na skale, prawie zupełnie otoczona wodą, a nazywana Twierdzą Waverley, ponieważ w niebezpiecznych chwilach służyła często za schronisko rodzinie. Stamtąd to w czasie wojny Yorków z Lancasterami ostatni zwolennicy Czerwonej Róży<sup>46</sup>, którzy odważali się podtrzymywać jej sprawę, prowadzili dokuczliwe i łupieżcze wyprawy, dopóki twierdzy nie zniósł sławny Ryszard Gloucester<sup>47</sup>. Tutaj też oddział konnicy trzymał się długo pod Nigelem Waverleyem, starszym bratem owego Williama, którego losy wspominała ciotka Rachel. W takim to otoczeniu lubił Edward „przeżuwać kęsy słodkiej i gorzkiej fantazji”<sup>48</sup> i, jak dziecko otoczone zabawkami, wybierał i układał spomiędzy wspaniałych a bezużytecznych obrazów i znaków, zapelniających mu wyobraźnię, wizje równie świetne i równie szybko gasnące, jak barwy na wieczornym niebie. Jaki był wpływ tych nawyków na usposobienie jego i charakter, pokaże się w następnym rozdziale.

---

<sup>46</sup> wojna Czerwonej i Białej Róży - wojna domowa o tron angielski (1455-1485) pomiędzy dwiema gałęziami linii dynastycznej Plantagenetów: Lancaster (czerwona róża w herbie) i York (biała róża w herbie), zakończona zwycięstwem Lancasterów w osobie Henryka VII Tudora.

<sup>47</sup> Gloucester Ryszard - ostatni król z dynastii York panujący jako Ryszard III (1483-1485).

<sup>48</sup> „przeżuwać kęsy słodkiej i gorzkiej fantazji” - słowa z komedii Szekspira pt. Jak wam się podoba.

## ROZDZIAŁ V

### Wybór zawodu

Sądząc po drobiazgowości, z jaką opisałem zajęcia Waverleya, i po kierunku, jakie one nadały jego wyobraźni, czytelnik mógłby zapewne przypuszczać, że zamierzyłem w tej opowieści naśladować romanse Cervantesa<sup>49</sup>. Tym przypuszczeniem jednak wyrządziłby krzywdę mej rozwadze. Nie mam zamiaru iść śladem tego niezrównanego autora, opisując tak zupełnie otumanienie umysłu, że aż doprowadzające do przekształcenia przedmiotów rzeczywiście podpadających pod zmysły; chcę natomiast przedstawić to zwyklesze zбочzenie od zdrowego sądu, które widzi fakty w ich istotnej postaci, ale przesycę je swoistym romantycznym tonem i kolorytem. Edward Waverley tak dalece nie spodziewał się dla swych marzeń oddźwięku u kogokolwiek ani nie przypuszczał, by obecny stan rzeczy mógł odtworzyć w rzeczywistości te wizje, w których się lubował, że niczego nie lękał się więcej niż odsłonięcia uczuć, jakie rojenia te w nim wywoływały. Ani nie miał, ani nie pragnął mieć powiernika, z którym by dzielić mógł swe marzenia; a tak był czuły na śmieszność do nich przywiązaną, że gdyby miał wybierać pomiędzy jakąkolwiek karą z wyjątkiem hańby a koniecznością zdania spokojnie i na chłodno sprawy z idealnego świata, w którym większą część życia przepędzał, sądzę, iż niechybnie wolałby poddać się pierwszemu nieszczęściu. Tajemniczość ta stała się podwójnie cenną, gdy zaczął odczuwać, wkraczając w dojrzałe lata, wpływ budzących się namiętności. Niewieście postaci niezrównanego wdzięku i urody jeły wplątywać się w jego myślowe przygody, niebawem też zaczął się oglądać dokoła i porównywać twory własnej wyobraźni z kobietami rzeczywistymi.

Grono piękności, roztaczających co tydzień swe wdzięki w parafialnym kościele w Waverley, nie było ani liczne, ani wyborowe. Bez porównania lepiej od innych prezentowała się panna Sissly lub - jak sama wolała, by ją nazywano - Cecylia, córka imć pana Stubbsa z folwarku. Nie wiem, czy stało się to „najprostszym przypadkiem w świecie”, który to frazes w ustach kobiety nie zawsze wyklucza rozmyślną przebiegłość, czy też wynikało raczej z jednakowych upodobań, dosyć że panna Cecylia niejednokrotnie spotykała Edwarda w czasie jego ulubionych przechadzek po Waverley-Chase. Edward nie zdobył się jeszcze na odwagę, by ją przy takiej sposobności zaczepić, ale spotkania te nie mijały bez wrażenia. Romantyczny kochanek bywa dziwnym bałwochwalcą, który nie pyta, z jakiego drzewa wystruga sobie bożyszcze; w każdym zaś razie, jeśli natura obdarzyła daną osobę znośną

---

<sup>49</sup> Cervantes de Saavedra Miguel (1547-1616) - pisarz hiszpański, autor słynnego Don Kichota oraz szeregu nowel i dramatów.

miarą osobistego powabu, potrafi z zapasów własnej wyobraźni zaopatrzyć ją bogato w nadziemską piękność i wszelkie duchowe skarby..

Zanim jednak wdzięki panny Cecylii Stubbs zdążyły ją podnieść w pełni do roli bogini, a przynajmniej do poziomu świętej jej patronki, panna Rachela Waverley zdobyła jakieś poszlaki, które skłoniły ją do przeciwdziałania grożącej apoteozie. Nawet najprostsze i najmniej podejrzliwe z kobiet posiadają instynktowną bystrość wzroku w tych sprawach - co niekiedy każe im dopatrywać się skłonności nie istniejących, ale rzadko zawodzi je w odkrywaniu zbliżeń zawiązujących się istotnie w polu ich widzenia. Panna Rachela zabrała się bardzo przezornie nie do zwalczania, ale do uchylenia grożącego niebezpieczeństwa i nasunęła bratu myśl, że spadkobierca jego powinien poznać trochę więcej świata, niż go widzi przesiadując stale w Waverley-Honour.

Sir Everard nie chciał początkowo słyszeć o projekcie zmierzającym do rozłączenia go z synowcem. Przyznawał, że Edward był po trosze mołem książkowym, ale słyszał zawsze, że młodość jest od tego, żeby się uczyć; toteż bez wątpienia, gdy ochłonie w swej namiętności do nauk, a głowę ostatecznie nabije wiadomościami, Edward zabierze się do konnej jazdy, polowania i gospodarstwa wiejskiego.

Jednakże obawy ciotki Racheli dodawały jej zręczności w przeprowadzeniu powziętego zamiaru. Każdy przedstawiciel ich rodu zwiedzał obce kraje albo też służył krajowi w wojsku, zanim osiadł na całe życie w Waverley-Honour; prawdę tę potwierdzał długi szereg przodków, a powadze takiego argumentu sir Everard nigdy by się nie sprzeciwił. W końcu zaproponowano panu Ryszardowi Waverleyowi, by syn jego puścił się w podróż pod opieką obecnego swego nauczyciela pana Pembroke z odpowiednią sumą dostarczoną w tym celu z hojności baroneta. Sam ojciec nie miał nic przeciwko temu projektowi; gdy jednakże przypadkiem wspomniał o tym przy stole ministra, wielki ten człowiek zrobił poważną minę. Przyczynę wytłumaczył następnie poufnie. Niefortunne nastawienie polityczne sir Everarda - zauważył minister - prowadzi do rzeczy wysoce niepożądaney, aby młodzieniec, rokujący tak wielkie nadzieje, podróżował po kontynencie z opiekunem niewątpliwie wybranym przez stryja i wedle jego wskazówek kierującym jego krokami. W jakim towarzystwie mógłby się pan Edward Waverley znaleźć w Paryżu albo w Rzymie, gdzie Pretendent i jego synowie zastawiali sieci wszelkiego rodzaju - nad tym powinien się pan Waverley dobrze zastanowić. On sam zaś może mu oznajmić, że jego królewska mość tak sprawiedliwie ocenia zasługi pana Ryszarda Waverleya, iż gdyby syn jego zechciał na kilka lat wstąpić do wojska, mógłby liczyć na szwadron w jednym z pułków dragonów ściągniętych ostatnio z Flandrii.

Nie można było bezkarnie puścić mimo uszu wskazówki udzielonej z takim naciskiem, toteż Ryszard Waverley, choć lękał się wielce urażenia uczuć braterskich, uważał za niemożliwe odrzucić szarżę ofiarowaną mu w ten sposób dla syna. Prawdę mówiąc liczył, i słusznie, na wielkie przywiązanie sir Everarda do Edwarda, któremu stryj nie może mieć za złe uległości wobec rodzicielskiej władzy.

Dwa równoczesne pisma doniosły o tym postanowieniu baronetowi i jego synowcowi. List do tego ostatniego, krótko powiadamiał o samym fakcie i wspominał o koniecznych przygotowaniach przed wstąpieniem do pułku. Do brata napisał Ryszard obszernie i oględnie. Zgadzał się w sposób nader pochlebny z jego zdaniem, że jest rzeczą właściwą, ażeby syn jego poznał trochę świata, i pokornie nawet wyrażał wdzięczność za ofiarowaną pomoc; żałował jednak głęboko, że Edward nie może w obecnej chwili zastosować się ściśle do planu, jaki dla niego nakreślił najlepszy jego przyjaciel i dobroczyńca. On sam z przykrością myślał o beczynności chłopca w wieku, w którym wszyscy przodkowie jego już nosili oręż; nawet sam król raczył się dopytywać, czy młody Waverley nie przebywa teraz we Flandrii, będąc w wieku, w którym dziadek jego już krew przelewał za swego króla w Wielkiej Wojnie Domowej. Słowem tym towarzyszyło ofiarowanie szwadronu kawalerii. Cóż mógł uczynić? Nie było czasu na zasięgnięcie opinii brata, nawet gdyby dopuścił myśl, że brat mógłby nie pochwałać obrania przez młodzieńca zaszczytnej kariery przodków. Kończył donosząc, że Edward zostaje (przeskoczywszy bez trudu stopnie korneta<sup>50</sup> i porucznika) kapitanem Waverleyem w pułku dragonów Gardinera<sup>51</sup>, w którego kwaterze w Dundee<sup>52</sup> w Szkocji - ma się stawić w ciągu miesiąca.

Sir Everard Waverley przyjął tę wiadomość z mieszanym uczuciem. W chwili wstąpienia na tron dynastii hanowerskiej usunął się z Parlamentu, a postępowanie jego w pamiętnym roku 1715<sup>53</sup> było nieco podejrzanym. Krążyły pogłoski o tajnych ćwiczeniach dzierżawców z końmi na Waverley-Chase w noc księżycowe i o skrzyniach z karabinami i pistoletami, zakupywanych w Holandii i adresowanych do baroneta, ale przejętych dzięki czujności konnego oficera straży skarbowej. Nie dość na tym, mówiono nawet, że podczas aresztowania sir Williama Wyndhama<sup>54</sup>, przywódcy torysowskiej partii, znaleziono list od sir Everarda w kieszeni jego szlafroka. Brakło jednak wyraźnego faktu, na którym by można

---

<sup>50</sup> kornet - najniższa ranga oficerska w ówczesnej konnicy angielskiej

<sup>51</sup> Gardiner James - postać historyczna.

<sup>52</sup> Dundee - port u ujścia rzeki Tay we wschodniej Szkocji.

<sup>53</sup> pamiętny rok 1715 - data powstania szkockiego w obronie zdetronizowanego Jakuba II Stuarta - stąd nazwy: powstanie jakobickie, jakobici.

<sup>54</sup> Wyndham William - przywódca stronnictwa Jakuba Stuarta, uwięziony natychmiast po wybuchu powstania jakobickiego w 1715 r.

oprzeć nakaz uwięzienia, a rząd, rad ze stłumienia powstania w roku 1715, czuł, że nie byłoby rzeczą przezorną ani bezpieczną posuwać zemstę dalej poza krąg tych nieszczęsnych obywateli, którzy w dosłownym znaczeniu chwycili za broń.

Jednakże osobiste obawy sir Everarda o następstwa nie zgadzały się zbytnio z wieściami, jakie o nim krążyły wśród okolicznych wigów. Dobrze było wiadomo, że zasilił pieniędzmi kilku nieszczęśliwych obywateli z Northumberland i Szkocji, którzy wzięci do niewoli pod Preston<sup>55</sup> uwięzieni zostali w Newgate i Marshalsea<sup>56</sup>, i że jego to adwokat i prawny doradca prowadził w czasie przewodu sądowego obronę kilku z tych nieszczęśników. Przypuszczano jednak ogólnie, że gdyby rząd miał jakiś namacalny dowód przystąpienia sir Everarda do powstania, nie odważyłby się on nigdy przeciwstawiać w ten sposób istniejącym władzom albo przynajmniej nie byłoby mu to uszło bezkarnie.

Uczucia, które wówczas kierowały jego postępowaniem, żywił on w młodym wieku i w burzliwej epoce dziejowej. Od tej pory jakobityzm sir Everarda stopniowo słabł jak ogień wygasający z braku paliwa. Swoje torysowskie i kościelne zasady podkreślał od czasu do czasu przy sposobności wyborów i zjazdów kwartalnych, ale dynastyczne jego uprzedzenia przeszły niejako w stan bierny. Pomimo to uczucia jego doznały silnego wstrząsu na myśl, że synowiec służyć ma w wojsku pod dynastią brunszwicką, zwłaszcza że niezależnie od jego wysokiego i sumiennego pojmowania ojcowskiego autorytetu, uważał sprzeciwienie się tej decyzji za niemożliwe, a co najmniej za wielce nieostrożne.

Stłumiona irytacja wywołała ze strony zacnego baroneta wiele stękań i mruceń, składanych na karb zaczynającego się ataku podagry, aż wreszcie sprowadziwszy sobie wykaz oficerów pocieszył się obliczeniem potomków rodów niezachwianie lojalnych: Mordauntów, Granville'ów i Stanleyów, których imiona znalazł w tym spisie. W końcu, w imię poszanowania dostojności rodu i wojennej sławy, doszedł do przekonania, z logiką przypominającą Falstaffa<sup>57</sup>, że wobec groźby wojny - choć bez wstydu wolno było służyć jednej tylko, jedynej stronie - to jednak bezczynność byłaby większą jeszcze hańbą niż opowiedzenie się po stronie gorszej, choćby napiętnowanej plamą ciemniejszą nad czerń uzurpacji. Co do ciotki Racheli, to choć plany jej nie zakończyły się ściśle zgodnie z jej życzeniem, musiała poddać się konieczności; przykrość tę złagodziła jednak potrzeba zajęcia się wyekwipowaniem bratanka na tę wyprawę, a także wielce ją pocieszała nadzieja zobaczenia go w blasku pełnego umundurowania.

---

<sup>55</sup> Preston - miasto w Szkocji, miejsce klęski jakobitów w 1715 roku.

<sup>56</sup> Newgate i Marshalsea - więzienia w Londynie.

<sup>57</sup> Falstaff - postać opoja, obzartucha i hulaki, występująca w sztukach Szekspira: Henryk IV, Wesole kumoszki z Windsoru.

Dla samego Edwarda Waverleya nagła ta wiadomość była niespodzianką, którą przyjął z ożywieniem i nieokreślonym zdziwieniem. Było to, jak się pięknie stary poemat wyraża, coś: „Jak ogień rzucony na wrzosowisko”, który otula samotny wzgórek kłębam dymu, a równocześnie oświeca go mętnym płomieniem. Jego nauczyciel albo raczej mr Pembroke - bo nie używał on miana nauczyciela - znalazł w pokoju swego wychowanka jakieś urywki wierszy, które Edward widocznie ułożył pod wpływem uczuć miotających nim wobec tak nagle obróconej karty w księdze jego żywota. Zaczyna uczonego, mającego uznanie dla wszelkich poezji skomponowanych przez przyjaciół, a wypisanych pięknym pismem w prostych wierszach, zaczynających się zawsze od wielkiej litery, zaniósł ten skarb ciotce Racheli - ta zaś, przyćmiwszy łzami okulary, schowała go do swego raptularza<sup>58</sup> pomiędzy wyborowe przepisy kulinarne, recepty na leki, ulubione urywki, fragmenty nabożeństw kościelnych oraz kilka piosenek miłosnych i jakobickich, które sama nieraz śpiewała za swoich młodych lat; stamtąd to poetyckie próbki jej synowca zostały dobyte, gdy cenna ta księga wraz z innymi autentycznymi dokumentami rodziny Waverleyów została oddana do przejrzania niegodnemu redaktorowi niniejszej opowieści. Jeżeli czytelnikowi większej przyjemności nie sprawią, posłużą przynajmniej, lepiej niż wszelkie opowiadania, do zaznajomienia go z niespokojnym i nieujarzmionym duchem naszego bohatera.

Mrok zapadł wczesny jesienną porą  
Nad romantyczne moje jezioro,  
Schowane w mrocznym, lesistym jarze -  
I złoty zachód, i chmury w żarze  
Odbiły wtedy jeziora fale.  
Lecz bledsze, czystsze w wodnym kryształe.  
Brzegi i wzgórza, skata wybrzeża  
Barwiona deszczem i stara wieża.  
Płacząca brzoza, każdy kwiat świeży  
W głębiach zwierciadła wodnego leży  
Jak świat bez troski, świat jasny, czysty.  
Piękniejszy niżli świat rzeczywisty.  
Lecz przyszła z dala gdzieś zawierucha  
I poruszyła jeziora ducha.

---

<sup>58</sup> raptularz - notatnik służący do zapisywania różnych wiadomości.



Słyszał, że stęka już dąb sękaty.  
Więc przywdział zaraz swe ciemne szaty  
Jak wój, gdy krzyk go wzywa na boje.  
Od razu wdziewa bitewną zbroję.  
A kiedy wicher szedł niewstrzymany.  
Potrzęsnał hełmem, swą grzywą z piany.  
Lica swe groźby pokrył całunem  
I kazał fali mówić piorunem.  
Rozbity w szczątki wirów i piany.  
Zginął świat piękny, świat ukochany  
I dzika fala wściekłością rwąca.  
Krainę szczęścia o brzeg roztrąca.  
Ale z rozkoszą dotąd nie znaną  
W duchu się ową cieszyłem zmianą.  
Gdy z lasem, falą walczyła burza.  
Stałem u starych ruin podnóża  
I serce mocniej bito mi w tonie.  
W miarę jak silniej zawrzały tonie:  
Żal po spokojnych marzeń krainie  
W ryku żywiołów z mej piersi ginie.  
Płocze marzenia, snute we wiośnie  
Prysną, gdy prawda zagrzmie rozgłośnie  
I piękne wizje sprzed oczu zgoni.  
Jak widok jasny z jeziora toni -  
Tak piękny, lecz tak wiotki, niestały.  
Jak ten, co wiatry jesienne zwiały.  
Niechaj na zawsze te wizje zgasną.  
Co tak płonęły wesoło, jasno!  
Nie wdzięk kobiety i sen miłości.  
Lecz cześć i dzielność w mym sercu gości!

Wyrażając trzeźwą prozą myśl, którą te wiersze może nie dość stanowczo wypowiedziały, można stwierdzić, że przelotne wrażenie panny Cecylii Stubbs zatarło się w sercu kapitana Waverleya wśród zamętu spowodowanego nagłą zmianą w jego losie. Panna

Cecylia istotnie ukazała się w całej świetności w niedzielę w ławce swojego ojca, gdy Edward po raz ostatni słuchał nabożeństwa w starym parafialnym kościele. Przy tej sposobności dał się nakłonić (bez wielkiego oporu co prawda) prośbom stryja i ciotki Racheli, by wystąpić w pełnym umundurowaniu.

Nie ma lepszego lekarstwa na nazbyt wygórowane pojęcie o drugich, jak równoczesne dobre wyobrażenie o sobie samym. Panna Stubbs użyła wszelkiej pomocy sztuki ku podniesieniu swej urody; ale niestety! i stalki, i muszki, i fryzowane loki, i nowy płaszczyk z prawdziwego francuskiego jedwabiu, wszystko to nie robiło wrażenia na młodym oficerze dragonów, który po raz pierwszy miał na sobie kapelusz lamowany złotem, wysokie buty z cholery wami i szeroką szablą. Nie wiem, czy było z nim jak z owym rycerzem ze starej ballady, w którym:

Serce honorem żyje,<sup>59</sup>  
Miłość pogardą darzy,  
Żadna w nim moc piękności  
Uczucia nie rozżarzy,

czy też pozłociste hafty, osłaniające mu pierś, odpierały artyleryjski ogień oczu Cecylii, dość że wszelkie pociski ciskane weń były na próżno.

Ale widziałem, gdzie trafiła strzała<sup>59</sup>,  
Którą wypuścił Kupidyna łuk -  
Nie drobny kwiatek wszak raziała ona,  
Lecz zucha, co był wśród młodych jak kwiat,  
Jonasza Cuibertfield, zarządcy syna.

Przepraszając za moje szumne zwroty (których w pewnych wypadkach nie potrafię się wyrzec), dodać muszę ze smętkiem, iż opowiadanie moje musi się tutaj pożegnać z nadobną Cecylią; jak wiele innych cór Ewy, po wyjeździe Edwarda i rozwianiu się pewnych daremnych marzeń, spokojnie zadowolili się skromniejszym losem i oddała, po upływie pół roku, rękę swą wyżej wspomnianemu Jonaszowi, synowi rządcy baroneta i spadkobiercy (wcale niezłe widoki!) majątku tegoż rządcy, z miłymi przy tym nadziejami na objęcie w

---

<sup>59</sup> ale widziałem, gdzie trafiła strzała... itd.- urywek ze sztuki Szekspira Sen nocy letniej, przy końcu odpowiednio do okoliczności zmieniony.

przyszłości posady po ojcu. Wszystkie te korzystne względy skłoniły imć pana Stubbsa - działając nań podobnie, jak czerstwe oblicze i męska, dziarska postać konkurenta podziały na córkę - do spuszczenia nieco z tonu i przymknięcia oczu na brak szlacheckiego urodzenia młodzieńca: tak więc związek ten został zawarty.

Nikogo może tak to nie cieszyło jak ciotkę Rachełę, która dotychczas trochę krzywo patrzyła na zarozumiałą pannę, ale teraz, za pierwszym ukazaniem się nowo zaślubionej pary w kościele, zaszczyliła młodą kobietę uśmiechem i głębokim ukłonem w obecności proboszcza, wikarego, kościelnego i całego zgromadzenia połączonych parafii Waverley *cum* Beverley.

Muszę przeprosić raz na zawsze tych czytelników, którzy powieść czytają dla rozrywki, że dręczę ich tak długo starodawną polityką, wigami, torysami, hanowerczykami i jakobitami. Zaiste jednak nie sądzę, by powieść ta bez takiego wstępu mogła być zrozumiała, a cóż dopiero prawdopodobna. Plan mój wymaga, bym wytłumaczył pobudki, z których jej akcja wypływa; te zaś pobudki miały swe źródło w uczuciach, uprzedzeniach i poglądach politycznych owych czasów.

Nie zapraszam moich pięknych czytelniczek, których niecierpliwość daje im największe prawo do uskarżania się na te warunki, do lotnego rydwanu zaprzęzonego w hipogryfy<sup>60</sup> albo poruszanego czarami. Moim pojazdem jest skromny angielski dyliżans, toczący się na czterech kołach i trzymający się królewskiego gościńca. Komu ten wehikuł nie dogadza, może wysiąść na najbliższym postoju i zaczekać na dywan księcia Husseina albo na latającą budkę wartowniczą Maleka tkacza<sup>61</sup>. Ci, którzy wolą pozostać ze mną, będą chwilami narażeni na nudę nieodłączną od złych dróg, stromych zboczy, kałuż i innych przeszkód terenowych; jednakże, mając do rozporządzenia znośne konie, uprzejmego woźnicę (jak to zapowiadają ogłoszenia), obiecuję przenieść ich możliwie rychło w bardziej malowniczą i romantyczną okolicę, jeżeli pasażerowie moi zdobędą się na odrobinę cierpliwości podczas pierwszych etapów<sup>62</sup> podróży.

---

<sup>60</sup> hipogryf - w mitologii greckiej skrzydlaty koń (pół orła, pół konia)

<sup>61</sup> księżę Husscin, Malek tkacz - postacie z Tysiąca i jednej nocy, fantastycznych opowieści wschodnich.

<sup>62</sup> Te wstępne rozdziały były krytykowane jako nudne i niepotrzebne. Si] jednak okoliczności w nich opowiedziane, dla których autor nie mógł się zdecydować na ich skreślenie. {Przypis autora).

## ROZDZIAŁ VI

### Pożegnanie Waverleya

Owej to pamiętnej niedzieli wieczorem sir Everard wszedł do biblioteki, gdzie o mało nie schwycił naszego młodego bohatera na składaniu się mieczem, do czego użył odwiecznego oręża starego sir Hildebranda; miecz ten, zachowany jako spuścizna pamiątkowa, wisiał zazwyczaj nad kominkiem pod konnym portretem rycerza, na którym rysy jego kryły się prawie zupełnie pod obfitością kręconych loków, a Bucefał<sup>63</sup>, którego dosiadał, ginął niemal pod obfitą szatą Orderu Łażni<sup>64</sup>. Sir Everard wszedł i rzuciwszy jedno spojrzenie na portret, a drugie na swego bratanka, zaczął małą mówkę, wnet jednak przyszedł do naturalnej prostoty codziennego swego tonu ożywionego w danej chwili niezwykłym uczuciem.

- Bratanku - zaczął, po czym, jak gdyby poprawiając się, ciągnął dalej: - Mój kochany Edwardzie, z woli bożej, a także na życzenie twojego ojca, któremu po Bogu winienesz posłuszeństwo, masz oto nas opuścić i podjąć zawód żołnierski, w którym tyłu twoich przodków odznaczyło się zaszczytnie. Poczyniłem odpowiednie kroki, ażebyś mógł ich godnie naśladować, jako ich potomek i przypuszczalny dziedzic domu Waverleyów; na polu bitwy zaś musisz pamiętać, mój panie, o nazwisku, jakie nosisz. Ale, Edwardzie, drogi mój chłopcze, pamiętaj także, że jesteś ostatnim z tego rodu i że jedyna nadzieja jego odnowienia na tobie spoczywa; przeto, jeśli obowiązek i honor na to pozwolą, unikaj niebezpieczeństwa - mam tu na myśli niepotrzebne narażanie się - i nie zadawaj się z rozpustnikami, graczami i wigami, których, jak tego się obawiam, aż za wielu znajdziesz w służbie, do której wstępujesz.

Nie sadząc się na dalsze oracje zabrał bratanka do stajni w celu obejrzenia koni przeznaczonych na wyprawę. Dwa z nich, karę (dostosowane maścią do barw pułku), były wspaniałymi rumakami bojowymi; trzy pozostałe, żwawe i tęgie, choć pospolite wierzchowce, przeznaczone były do podróży albo dla jego sług, z których dwóch miało mu towarzyszyć z dworu; dodatkowego pachołka mógł sobie w razie potrzeby dobrać w Szkocji.

- Wyruszasz z małym tylko poczem - rzekł baronet - w porównaniu do sir Hildebranda, który wyprowadził przed bramę dworu większy oddział konnicy niż cały twój pułk. Rad bym widział, żeby tych dwudziestu chłopaków z moich dóbr, którzy zaciągnęli się

---

<sup>63</sup> Bucefał - koń Aleksandra Wielkiego (356-323 przed n. e.), króla macedońskiego.

<sup>64</sup> Order Łażni (Order of Bali) - stanowi najwyższe angielskie odznaczenie wojskowe. Odznaczeni tym orderem tzw. „Rycerze Łażni” przechodzą przez ceremoniał pasowania na rycerza związany z tradycjami średniowiecznymi.

do twego szwadronu, mogło puścić się wraz z tobą w podróż do Szkocji. Wyglądałoby to przyzwoiciej; ale powiadają mi, że byłoby to czymś nie praktykowanym w dzisiejszych czasach, kiedy wprowadza się coraz to nowe, niedorzeczne zwyczaje dążące do zniesienia zależności ludu do panów.

Sir Everard zrobił ze swej strony, co tylko mógł by sprostować ów przewrotny kierunek ducha czasu; ożywił bowiem więź łączącą rekrutów z ich młodym kapitanem, nie tylko częstując ich obficie na pożegnanie wołowiną i piwem, ale też obdarowując każdego z osobna datkiem pieniężnym tak hojnym, że mogło to raczej podnieść hulaszczność niż dyscyplinę ich marszu. Po obejrzeniu koni sir Everard odprowadził bratanka do biblioteki i tam wręczył mu list starannie złożony, otoczony wedle dawnej mody jedwabną wstążeczką i zapieczętowany dokładnym odciskiem herbu Waverleyów. List był zaadresowany bardzo uroczyście: „Do Cosmo Comyne Bradwardine, pana na Bradwardine, w głównej rezydencji jego Tully-Veolan, w Perthshire, Północna Brytania. Oddano na ręce kapitana Edwarda Waverleya, bratanka Sir Everarda Waverleya z Waverley-Honour, baroneta”.

Pan, do którego orędzie to było wystosowane, a o którym w dalszym ciągu powiemy więcej, walczył za wygnaną rodzinę Stuartów w roku 1715 i został wzięty do niewoli pod Preston w Lancashire. Pochodził z bardzo starożytnego rodu o nieco zaszarganej fortunie; uczony na sposób szkocki, rozporządzał wiedzą nie tyle dokładną, ile rozproszoną i uznany mógł być raczej za pilnego czytelnika niż za znawcę języka. Swojego zapału do klasycznych autorów miał podobno kiedyś dowieść w sposób niezwykły. Na drodze między Preston i Londynem wymknął się swojej straży; gdy go jednakże później znaleziono kręcącego się w pobliżu miejsca ostatniego noclegu, został poznany i uwięziony z powrotem. Zarówno towarzysze jego, jak nawet strażnicy dziwili się tej niezrozumiałej opieszałości i dopytywali, dlaczego - raz będąc wolnym - nie uciekał jak najdalej i nie szukał schronienia w bezpiecznym miejscu; na to odpowiedział, że zamierzał to uczynić, ale powrócił w tym wyłącznie celu, by odszukać swego Liwiusza<sup>65</sup>, którego w pośpiechu ucieczki zapomniał<sup>66</sup>.

Wymowa tej anegdoty zrobiła wrażenie na adwokacie, który, jak już wpiery zauważyliśmy, przeprowadził na koszt sir Everarda obronę niektórych z tych nieszczęśliwych i kilku jeszcze innych osób ze stronnictwa. Był on zresztą również szczególnym wielbicielem

---

<sup>65</sup> Liwiusz - Titus Livius, historyk rzymski, urodzony w Patavium (Padwa) w 59 r. przed n.e.; umarł tamże w 17 r. n.e.

<sup>66</sup> Powiadają, że pewien nieszczęsny jakobita, żyjący w owej fatalnej epoce, okazał istotne przywiązanie do owego klasyka w niezwykły, opisany tu sposób. Umknął on z więzienia, w którym przebywał oczekując mającego wkrótce nastąpić niewątpliwego wyroku skazującego, lecz został ponownie ujęty, gdy krążył w pobliżu miejsca uwięzienia, co tłumaczył nadzieją odzyskania swego ukochanego Tytusa Liwiusza. Przykro mi dodać, że rozbijająca ta naiwność nie zdołała oczyścić go z zarzutu przystąpienia do buntu, gdyż

padewskiego dziejopisa, a chociaż prawdopodobnie w zapale swoim nie byłby się sam aż tak daleko posunął nawet dla odzyskania wydania Sweynheima i Pannartza<sup>67</sup> (które uchodzi za pierwotne), to jednak ocenił pietyzm północnego Brytyjczyka i w następstwie dołożył tak wielkich wysiłków celem usunięcia i złagodzenia dowodów, odkrycia usterek prawnych itp., że osiągnął w końcu niewinność i uwolnienie Cosmo Comyne Bradwardine od pewnych wielce niemiłych skutków skargi wniesionej przed Królewski Sąd w Westminster<sup>68</sup>.

Skoro tylko baron Bradwardine (który pod tym imieniem znany był w Szkocji, chociaż najbliżsi zwykli go od miana jego siedziby przezywać Tully-Veolan lub jeszcze poufałej Tully<sup>69</sup>) został oczyszczony z zarzutów, podążył on na południe, by w Waverley-Honour złożyć uszanowanie swoje i winną podziękę. Wspólna namiętność łowiecka i zgodność politycznych przekonań zadzierzgnęły przyjaźń między nim a sir Everardem, pomimo różnic w pozostałych przyzwyczajeniach i zamiłowaniach; toteż spędziwszy kilka tygodni w Waverley-Honour, baron odjechał żegnając ich serdecznie i nalegając gorąco na baroneta, by mu oddał wizytę i wziął udział w przyszłym sezonie w polowaniach na jarząbki na torfowiskach jego w Perthshire.

Wkrótce potem Mr Bradwardine odesłał ze Szkocji sumę stanowiącą zwrot kosztów poniesionych w Królewskim Sądzie Najwyższym w Westminster.

Baron był rad, że zwrócił godnemu swemu przyjacielowi sir Everardowi Waverleyowi z Waverley-Honour sumę wyłożoną na rachunek domu Bradwardine. Od owego czasu utarł się zwyczaj corocznej wymiany krótkiego listu i kosza albo paru baryłek pomiędzy Waverley-Honour a Tully-Veolan - przy czym z Anglii wysyłano tęgie sery, cięższe jeszcze piwa oraz bażanty i grubą zwierzynę, ze Szkocji zaś - jarząbki, zające bielaki, marynowanego łososia i starkę. Wszystko to ofiarowywano i przyjmowano w dowód stałej przyjaźni i życzliwości łączącej dwa wybitne domy. Wynikało stąd oczywiście, że spadkobierca *in spe*<sup>70</sup> Waverley-Honour musiał, udając się do Szkocji, być zaopatrzony w list uwierzytelniający do barona Bradwardine.

Gdy sprawa ta została należycie omówiona i zakończona, Mr Pembroke wyraził życzenie pożegnania swego drogiego ucznia specjalnie i na osobności. Nauki, jakimi pocziwiec obdarzył Edwarda upominając go, aby wiódł życie nieskazitelnie moralne, by

---

został on skazany i stracony. (*Przypis autora: „Tytus Liwiusz”*).

<sup>67</sup> Sweynheim i Pannartz - drukarze niemieccy w Rzymie. Wydali w 1469r: tom Liwiusza.

<sup>68</sup> Westminster - dawne opactwo koło Londynu: dziś zachodnia dzielnica miasta. W pobliżu opactwa znajduje się Parlament angielski.

<sup>69</sup> Tully - Veolan. Tully - w potocznej angielszczyźnie zdrobnienie imienia Tullius. Imię to nosił słynny rzymski mówca Ciceron (106-43 przed n. e.). Barona Bradwardine nazywano „Tully”, korzystając z nazwy jego posiadłości, jednocześnie wyśmiewając jego gadatliwość i zamiłowanie do pisarzy starożytnych.

trwał silnie w zasadach chrześcijańskiej wiary i unikał cyników i wolnomyślicieli, od których roi się w wojsku -nie były też pozbawione przymieszki jego politycznych uprzedzeń. Poczował się do obowiązku umocnić swego drogiego ucznia, aby umiał się oprzeć niegodnym i szkodliwym doktrynom kościelnym czy państwowym, które z pewnością obiją się nieraz mimo woli o jego uszy.

Tu wydobyl, dwa olbrzymie, złożone pakiety, z których każdy, jak się okazało, zawierał całą ryzę gęsto zapisanego rękopisu. Był to owoc całozyciowych trudów zacnego człowieka; i może nigdy praca i gorliwość tak niedorzecznie nie poszły na marne. Swojego czasu pojechał był do, Londynu z zamiarem ogłoszenia światu swego dzieła za pośrednictwem pewnego księgarza w Little Britain<sup>71</sup>, o którym wiadano, że tego rodzaju sprawami się zajmuje, i którego - jak go pouczono - miał powitać umówionym zwrotem i znakiem, co widocznie było wtedy w użyciu wśród wtajemniczonych jakobitów. Z chwilą gdy pan Pembroke z odpowiednim gestem wymówił hasło, księgarz uczcił go, mimo gorących sprzeciwów, tytułem doktora.

Pan Pembroke z pewną trudnością przerwał potok pytań, wyrzucanych wśród znaków, kiwnięć i mrugnięć, a przekonawszy w końcu księgarza, że ten czyni mu zbyt wielki zaszczyt biorąc go za wysłannika królewskiego wygnańca, wyłuszczył swoją sprawę.

Księgarz w spokojniejszym już znaczenie nastroju zaczął przeglądać rękopisy. Tytuł pierwszego brzmiał: „Odstępstwo od odstępców, czyli zaniechanie pobażania, wykazujące niemożliwość wszelkiego porozumienia pomiędzy Kościołem a purytanami, prezbiterianami i sekciarzami wszelkiego rodzaju”. Dzieło to księgarz stanowczo odrzucił.

- Intencja dobra - rzekł - i wiedzy wiele, bez wątpienia, ale czas po temu minął. Drobnym drukiem wyniesie to z osiemset stron i nigdy się nie opłaci. Proszę mi więc darować... Kościół prawdziwy kocham i szanuję z duszy; gdyby to było kazanie o męczeństwie albo inny jaki drobiazg, za dwanaście pensów... czemu nie? zaryzykowałbym coś dla samej godności duchownego stanu... Ale zobaczymy to drugie: „Przywrócenie mocy prawom dziedziczenia”. Ha! W tym coś jest. Hm... hm... hm... wypadnie stronic tyle, za papier tyle, za druk... Ach doktorze, trzeba by jednak usunąć trochę tej łaciny i greki: ciężkie to, doktorze, diabelnie ciężkie... (bardzo przepraszam) i gdyby tak dorzucić parę ziarn pieprzu... No cóż, muszę pokazać ten rękopis Tomkowi Alibi, adwokatowi, który prowadzi moje prawne sprawy - muszę zważać, skąd wiatr wieje - tłum był dla mnie bardzo

---

<sup>70</sup> in spe (łac.) - spodziewany w przyszłości, wg wszelkiego prawdopodobieństwa.

<sup>71</sup> Little Britain - dzielnica wschodniej części Londynu zamieszkaana przez ludność najbiedniejszą.

niegrzeczny, gdy ostatnio wystąpił na Old Palace Yard<sup>72</sup>, sami wigowie i okrągłogłowcy, jeden w drugiego williamici i szczury hanowerskie.

Nazajutrz pan Pembroke znowu zaszedł do księgarza, ale okazało się, że ten za radą Toma Alibi zdecydował się nic podejmować wydawnictwa. Toteż uczony, może i szczęśliwie dla siebie, zmuszony był powrócić do Waverley-Honour z traktatem swoim w obronie podstawowych zasad Kościoła i państwa, bezpiecznie zapakowanym w podróŜnych jukach.

Skoro tedy publiczność miała być prawdopodobnie pozbawiona dobrodziejstwa korzystania z płodów jego ducha z winy samolubnego tchórzostwa wydawców, pan Pembroke postanowił skopiować oba okazałe rękopisy na użytek swego ucznia. Czuł, że jako nauczyciel nie był dość gorliwy, a przy tym sumienie wyrzucało mu, że zastosował się do prośby Ryszarda Waverleya, by nie wywierać na Edwarda wpływu niezgodnego z obecnie ustanowionym porządkiem rzeczy w Kościele i w państwie. „Teraz jednakże - myślał - wolno mi już, nie łamiąc słowa, ponieważ przestał podlegać mej opiece, dać młodzieńcowi możność wyrobienia sobie samodzielnego sądu, co najwyżej, mogę obawiać się jego wymówek, że tak długo ukrywałem światło, które przy czytaniu duszę mu rozjaśni”. Gdy w ten sposób puszczał wodze marzeniom autora i męża stanu, ukochany jego uczeń nie widząc nic zachęcającego w tytułach traktatów, a przestraszony ich grubością i gęstym zapisaniem, złożył je spokojnie w kącie podróŜnego kufra.

Pożegnanie z ciotką Rachelą było krótkie i serdeczne. Przestrzegała tylko kochanego swego Edwarda, którego widocznie posądzała o nadmierną pobudliwość, żeby się nie dał usidlić szkockim pięknościom. Przyznawała, że północna część kraju posiada kilka staroŜytnych rodzin, ale wszystko to wigowie i prezbiterianie, wyjąwszy górali; co do tych ostatnich, to zauwaŜyć należy, że damy nie mogą być zbyt wytworne tam, gdzie zwykły ubiór męŜczyzny, jak ją zapewniano, jest, najłagodniej się wyrażając, bardzo dziwny, a daleki od przyzwoitości. Zakończyła pożegnanie dobrotliwym i wzruszającym błogosławieństwem, przy czym ofiarowała młodemu oficerowi na pamiątkę cenny brylantowy pierścień (w owym czasie często noszoną przez męŜczyzn ozdobę) i sakiewkę pełną duŜych sztuk złota, o które łatwiej teŜ było „sześćdziesiąt lat temu” niŜ w ostatnich czasach.

---

<sup>72</sup> Old Parlace Yard - Dziedziniec Starego Pałacu - dziś nie istniejący już plac w Londynie. Na placu tym, zgodnie z przyjętym w Anglii zwyczajem, wygłaszano przemówienia publiczne, kazania sekt religijnych itp. Kwaterna kawalerii w Szkocji.



## ROZDZIAŁ VII

### **Kwaterny kawalerii w Szkocji**

Następnego ranka, miotany różnymi uczuciami, wśród których przeważało niepokojące, a zarazem i uroczyste poczucie, że teraz w znacznej mierze zdany jest sam na siebie, wyruszył, Edward Waverley z rodzinnego dworu. Zatrzymawszy się krótko w Londynie, pojechał dalej konno, jak to naówczas było w ogólnym zwyczaju do Edynburga, stamtąd zaś do Dundee, portu morskiego na wschodnim wybrzeżu hrabstwa Angus, gdzie pułk jego był zakwaterowany.

Wszedł teraz w nowy świat, gdzie przez czas pewien wszystko było piękne dzięki swej nowości. Sam pułkownik Gardiner, dowódca pułku, wzbudzić mógł zainteresowanie romantycznego a równocześnie ciekawego młodzieńca. Był on wysoki, przystojny i ruchliwy, choć już nieco posunięty w latach. W zaraniu swego życia był, jak się to łagodnie określa, bardzo wesołym młodzieńcem, dziwne zaś opowiadania krążyły o nagłym jego nawróceniu i przejściu ze stanu wątpienia czy też niewiary do poważnego, a nawet pełnego zapалу uduchowienia. Szeptano, że coś w rodzaju nadprzyrodzonego objawienia spowodowało tę cudowną przemianę; a choć niektórzy nazywali żarliwego wyznawcę entuzjastą, nikt nie zarzucił mu nigdy obłudy. Ta szczególna, mistyczna okoliczność okryła pułkownika Gardinera dziwnym i wzniosłym urokiem w oczach młodego żołnierza. Można sobie łatwo wyobrazić, że oficerowie pułku, którego komendantem była tak szanowana osobistość, tworzy li stateczniejsze i bardziej uporządkowane towarzystwo, niż to zdarza się zazwyczaj w wojskowej kompanii; Waverley uniknął tym sposobem wielu pokus na jakie inaczej byłby niechybnie narażony.

Tymczasem wojskowe jego wykształcenie czyniło postępy. Służba oficera dla niedoświadczonych oczu tak pociągająca ze względu na zewnętrzny blichtr i ceremoniał, jest w gruncie rzeczy bardzo suchym i abstrakcyjnym zadaniem, polegającym głównie na kombinacjach rachunkowych, których wprowadzenie w czyn wymaga pilnej uwagi i trzeźwo rozumującej głowy. Bohater nasz podlegał napadom roztargnienia, a popełniane wtedy błędy wywoływały wesołość i ściągały nań trochę nagany. Ta okoliczność budziła w nim przykre uczucie własnej niższości w dziedzinie tych zalet, które zdawały się być najcenniejsze w jego nowym zawodzie.

Waverley był z natury skromny i dlatego nie popełnił tego rażącego, a tak częstego błędu, by czuć się wyższym nad zbyt drobiazgowo reguły służby wojskowej lub chępliwie wmawiać w siebie, że urodził się na generała, skoro jest nietęgim podwładnym. Rzec

polegała na tym że pobieżny a niezbyt gruntowny sposób czytania, jaki zawsze uprawiał, działając na usposobienie z natury zamknięte w sobie i oderwane od życia, wyrobił w nim ten chwiejny i mało skupiony stan umysłu, nie znoszący przede wszystkim wysiłku i skoncentrowania uwagi.

Czas tymczasem mocno mu się dłużył. Szlachta okoliczna była obojętna i mało gościnna w stosunku do wojskowych; mieszczaństwo zaś zajmujące się głównie handlem nie stanowiło towarzystwa, ku któremu Waverley pragnąłby się zbliżyć. Nadejście lata i chęć poznania Szkocji trochę lepiej, niż to było możliwe w czasie konnej przejażdżki w okolicy kwatery, skłoniły go do złożenia prośby o parotygodniowy urlop. Postanowił przede wszystkim odwiedzić dawnego przyjaciela i korespondenta swego stryja na czas dłuższy lub krótszy, zależnie od okoliczności. Podróżował oczywiście konno, z jednym tylko służącym, pierwszą zaś noc spędził w nędznej oberży, gdzie gospodyni była bosa, a gospodarz, noszący się po szlachecku, niezbyt uprzejmie potraktował gościa, który nie uznał za właściwe zaprosić go do swego stołu<sup>73</sup>. Następnego dnia, jadąc przez kraj otwarty i rozłożysty, zbliżał się Edward stopniowo ku górcom Perthshire, które zrazu zaznaczały się na horyzoncie błękitnym zarysem, lecz wnet rozrosły się w olbrzymie skaliste wały, chmurnie a wyzywająco spoglądające na nizinę u swych stóp.

Tuż u podnóża tej potężnej przegrody, ale jeszcze w „Nizinach”<sup>74</sup> mieszkał Cosmo Comyne Bradwardine, pan na Bradwardine; jeśli zaś dać wiarę echem zamierzchłej przeszłości, tu również mieszkali wszyscy jego przodkowie i wszyscy ich następcy od czasów dobrotliwego króla Duncana<sup>75</sup>.

---

<sup>73</sup> Jeszcze w młodości autora przyjęte było w Szkocji, że podróżny zwykł był zapraszać właściciela gospody do dzielenia z nim posiłku, a przynajmniej napojów, bez względu na to, jaki trunek zamawiał. Gospodarz natomiast odwzajemniał się nowinkami z całej okolicy, w dodatku popisując się też zazwyczaj dowcipem. Zwalenie całego ciężaru pracy w gospodzie na barki biednej żony było na porządku dziennym u szkockich szynkarzy...

Za młodych lat autora żyli jeszcze rozmaici starsi panowie, uważający za zwykłą rozrywkę w podróży „pogawędkę z gospodarzem”, który swym dziwnym humorem przypominał nieraz gospodarza spod „Podwiązki” w „Wesołych kumoszkach z Windsoru” (komedia Szekspira - *obj. red.*) Często także i właścicielka gospody brała udział w zabawianiu towarzystwa. W obu wypadkach nieokazywanie gospodarzom należnych względów powodowało urazy. (*Przypis autora: „Szkockie gospody”*).

<sup>74</sup> Niziny (*The Lowland Country*) - nazwa południowej Szkocji. Obszar od rzeki Tweed do pierwszego pasma wysokogórskiego.

<sup>75</sup> Duncan - król szkocki (1034-1040), wg legendy zamordowany przez Makbeta, gdy był u niego w gościnie. Makbet król szkocki (1040-1057), jest bohaterem słynnego dramatu Szekspira pt. Makbet, napisanego ok. 1606 r.

## ROZDZIAŁ VIII

### **Szkocki dwór wiejski przed sześćdziesięciu laty**

Gdzieś koło południa wjechał kapitan Waverley do rozrzuconej osady, a raczej wioski Tully-Veolan, w pobliżu której położona była siedziba właściciela. Chaty wyglądały niewypowiedzianie nędznie, zwłaszcza dla oka przyzwyczajonego do wesołych i schludnych domków angielskich. Stały one w nierównych odstępach po obu stronach bezładnej, nie brukowanej ulicy, po której tarzały się, niemal zupełnie nagie, dzieci, jak gdyby czekając na stratowanie pod kopytami pierwszego przejeźdnego konia. Raz po raz w istocie, gdy coś podobnego zdawało się już grozić nieuchronnie, wypadała z jednej z tych nędznych chałupin - niczym wiedźma rozwścieczona - czujna stara babina w czepek na głowie, z kądzielą i wrzecionem w ręku; rzuciwszy się na środek drogi, porywała swojego dzieciaka spośród grona ogorzałych próżniaków i darząc go tęgim szturchańcem, niosła do swej nory; malec darł się wniebogłose, a piskliwy jego wrzask mieszał się ze zrzędzeniem rozsierzzonej niewiasty. Dodatkowym składnikiem w tym powszechnym hałasie był bezustanny jazgot sfory włóczących się beczynnio kundli, które gonily warcząc, szczekając, wyjąc i płacząc się u nóg końskich.

W miarę jak się Waverley posuwał naprzód, tu i ówdzie wyłaził przed próg chaty dziad jakiś, pochylony wiekiem i praca z oczyma - wyblakłymi od starości i dymu, by popatrzeć na ubiór obcego i przyjrzeć się koniom. Zbiwszy się potem, w małą gromadkę u wrót kuźni, starcy gwarzyli po sąsiedzku, wymieniając przypuszczenia, skąd ten obcy przybywa i dokąd się udaje. Trzy czy cztery wiejskie dziewczyny, powracające od studni czy potoku z dzbankami i konewkami - na głowie, przedstawiały miły dla oka widok. Ich cienkie koszule i pojedyncze spódniczki, gołe ramiona, nogi i stopy oraz odkryte głowy i włosy splecione w warkocze przypominały nieco postacie włoskiego krajobrazu..

Ciekawość, ta najżywsza namiętność próżniaków, przybierała w wiosce Tully-Veolan cechę obojętności; jedynie wspomniane psy wykazywały ją w czynnej postaci - u wieśniaków była ona bierna. Stojąc i patrząc na przystojnego młodego oficera i jego towarzysza nie ujawniali oni przy tym owych szybkich ruchów i bystrych spojrzeń, z jakimi ludzie żyjący na ustroniu w spokojnej, lecz nużącej jednostajności zwykli wyglądać z zewnątrz nowych wrażeń.

Jednakże wyraz twarzy tych ludzi, oglądany z bliska, daleki był od bezmyślnego oświecenia; oblicza ich były proste, lecz wyraźnie inteligentne; poważne, ale myślące; spośród zaś młodych kobiet artysta mógłby wybrać niejednego model, którego rysy i postać

przypominały kształtem swym Minerwę<sup>76</sup>. Również i dzieci, których skóra pod działaniem słońca opaliła się na czarno, włosy zaś spłowiły aż do białości, zdradzały w wyrazie i w ruchu żywotność i dociekliwość. Wydawało się jednym słowem, że to bieda i bezczynność, tak często z nią skojarzona, złożyły się na przytłumienie przyrodzonych zdolności i nabytych wiadomości dzielnego, pojętnego i zastanawiającego się ludu.

Tego rodzaju myśli przesuwają się po głowie Waverleya, gdy przejeżdżał stępą po wyboistej i kamienistej drodze Tully-Veolan. Wieś ciągnęła się przez więcej niż pół mili, gdyż chaty oddzielone były od siebie różnej wielkości ogrodami lub dziedzińcami (jak je nazywali mieszkańcy), gdzie jeszcze wtedy (gdyż działo się to „sześćdziesiąt lat temu”) nie było widać tak rozpowszechnionych dziś ziemniaków, natomiast zapełniały je olbrzymie głowy zielonej kapusty, otaczały całe gaje pokrzyw, tu i ówdzie zaś rósł ogromny szalej lub typowy dla tej krainy oset, oceniając niekiedy czwartą część małego ogródka.

Falisty grunt, na którym wioskę zbudowano, nigdy nie został wyrównany; toteż ogródki przedstawiały najrozmaitszego rodzaju skłony i pochyłości, to wznosząc się na podobieństwo tarasów, to znów tworząc głębokie rozdoły. Między mocno wyszczerbionymi murami z niepospajanych głazów, mającymi rzekomo ogradzać te wiszące ogrody Tully-Veolan, wąskie ścieżki prowadziły na pole gromadzkie, gdzie wieśniacy wspólną pracą uprawiali ścielące się w gęstej szachownicy zagonki i poletka żyta, owsa, jęczmienia i grochu - a wszystko to tak maleńkie, że z niedalekiej odległości nadmiernie pocętkowana powierzchnia przypominała kolekcję próbek u krawca. W niektórych szczęśliwych wypadkach widać było za chatą nędzną szopę, skleconą z gliny, luźnych kamieni i torfu, gdzie miejscowi bogacze trzymali zdychającą z głodu krowinę lub sparszywiałą szkapę. Za to przed każdą niemal chałupą sterczał u progu po jednej stronie wielki, czarny stos torfu, gdy po drugiej wznosiło się, w szlachetnym współzawodnictwie, domowe gnojowisko.

Mniej więcej na odległość strzału z łuku od końca wioski ukazały się zamknięte tereny, szumnie nazwane parkiem Tully-Veolan; były to kwadratowe pola, otoczone i poprzegradzane kamiennymi murami, na pięć stóp wysokimi. W środku zewnętrznego otoku znajdowała się brama wjazdowa alei, przebita ostrołukowym sklepieniem uwieńczonym u szczytu otworami strzelniczymi, a zdobna w dwie sterane przez wieki i niepogody kamienne bryły, które, jeśli można było wierzyć miejscowej tradycji, przedstawiały lub przynajmniej miały przedstawiać niegdyś stojące na tylnych łapach niedźwiedzie, godło rodu Bradwardine.

Aleja ta była prosta i niezbyt długa, biegła zaś pomiędzy podwójnym rzędem bardzo

---

<sup>76</sup> Minerwa - rzymska bogini mądrości.

starych kasztanów, sadzonych na przemian z sykomorami<sup>77</sup>, które wyrosły tak wysoko i tak się bujnie rozkrzewiły, że gałęzie ich całkowicie okryły szeroką drogę. Poza tymi odwiecznymi drzewami i równolegle od nich ciągnęły się dwa wysokie mury, prawdopodobnie równie stare, a obrosnięte bluszczem, kapryfolium<sup>78</sup> i innymi pnączami. Aleja wydawała się mało uczęszczaną; że zaś była bardzo przestronna i stale zacieniona, zarosła bujną, ciemnozieloną trawą; ścieżka tylko, wydeptana krokami przypadkowych przechodniów, znaczyła drogę od zewnętrznej bramy do wewnętrznej.

Portal tej ostatniej bramy mieścił się również w murze zdobnym w jakąś prymitywną rzeźbę i opatrzonym obronnymi wystęgami, ponad którymi można było dojrzeć na pół ukryte przez drzewa alei, wysokie, strome dachy i wąskie szczyty dworu; z wyźębionej na kształt stopni jego bryły wystrzelały po rogach małe wieżyczki. Jedna połowa bramy była otwarta, że zaś pełne słońce oblewało podwórzec poza nią, długi strumień światła padał przez otwór w głąb ciemnej i ponurej alei. Był to jeden z tych efektów, w jakich lubują się malarze, a kojarzył się on korzystnie z drżącym światłem, przekradającym się poprzez gałęzie cieniściego sklepienia, osłaniającego zieloną wstęgę drogi.

Samotność i spokój całego tego otoczenia miały w sobie coś klasztornego; Waverley, który już u pierwszej bramy oddał swego konia pachołkowi, szedł teraz z wolna wzdłuż alei, czując się dobrze w miłym i chłodnym cieniu, a tak był przejęty poczuciem błogiego spokoju i osamotnienia, jakie wywołało w nim to odosobnione, ciche ustronie, że zapomniał o nędzy i brudzie wioski, którą pozostawił za sobą.

Wejście na brukowany dziedziniec harmonizowało z całością otoczenia. Dom wyglądający, jak gdyby się składał z dwóch czy trzech wysokich, wąskich i stromych, dachem pokrytych budynków, występujących pod prostym kątem jeden z drugiego, tworzył jeden bok ogrodzenia. Był zbudowany w okresie, gdy zamki już stały się zbyteczne, ale szkoccy architekci nie nauczyli się jeszcze sztuki kreślenia siedzib mieszkalnych. Okien było tam bez liku, lecz bardzo małych; dach miał kilka, bliżej nie określonych występów, a z każdego załamania, jakich było wiele, wysuwała się wieżyczka przypominająca raczej puszkę na pieprz niż gotycką strażnicę. Fasada również nie zdawała się świadczyć o pełni bezpieczeństwa. Były tam otwory strzelnicze na muszkiety i żelazne sztaby w dolnych oknach, prawdopodobnie dla odstraszenia włóczących się band cygańskich lub oparcia się łupieżczym odwiedzinom rabusiów z sąsiednich gór.

Różnego rodzaju zabudowania gospodarcze zajmowały drugą stronę placu. Stajnie

---

<sup>77</sup> sykomory - tu: drzewa okolic górskich o dużych liściach, przypominających liście klonu.

<sup>78</sup> kapryfolium - roślina pnąca o barwnych kwiatach.

tworzyły niskie, sklepione nisze, o wąskich szparach zamiast okien. Nad tymi podobnymi do wież budynkami gnieździły się spichlerze i inne pomieszczenia gospodarcze; do których wchodziło się po ciężkich, zewnętrznych, murowanych schodach. Dwie ściany obronne, z których jedna biegła od strony alei, druga zaś oddzielała dziedziniec od ogrodu, dopełniały całości zamknięcia.

Nie brakło też ozdób na podwórku. W jednym jego rogu stał wielkich rozmiarów, okrągły, pękaty gołębnik. W innym rogu znajdowała się fontanna, gdzie ogromny niedźwiedź wyrzeźbiony z głazu, panował nad szerokim kamiennym basenem, lejąc weń wodę z gardzieli. To dzieło sztuki budziło podziw całej okolicy na dziesięć mil wokoło. Nie należy poza tym zapominać, że wszelkiego rodzaju niedźwiedzie, małe i duże, w całej lub w półnaturalnej wielkości, stały też nad oknami, na krawędziach szczytów, u wylotów rynien i pod wieżyczkami, pod każdą zaś z tych tchnących północną grozą postaci wycięte było starożytne zawołanie rodowe: „Strzeż się niedźwiedzia”. Podwórzec był rozległy, starannie brukowany i niezwykle czysty, gdyż prawdopodobnie musiało tam być inne wyjście, w tyle za stajniami, dla usuwania śmieci. Wszystko dokoła wydawało się puste, a panowały tam również cisza zupełna, gdyby nie ciągły plusk fontanny; całość wciąż jeszcze zachowywała ten nastrój klasztorny, który Waverley w niej wyczuwał. Atoli prosić już musimy o pozwolenie zakończenia rozdziału malującego martwą naturę<sup>79</sup>.

---

<sup>79</sup> Pod nazwą Tully-Veolan nie został opisany żaden konkretny dwór. lecz szczegóły opisu odnoszą się do rozmaitych starych siedzib szkockich. [Przypis autora: „Dom w Tully-Veolan”]

## ROZDZIAŁ IX

### **Dalsze szczegóły o dworze i jego otoczeniu**

Rozglądając się przez kilka minut dokoła siebie i zaspokoiwszy ciekawość, Waverley zaczął stukać ciężką kołatką do drzwi dworu, na których poprzecznej belce wyryta była data 1594. Jednakże nikt nie odpowiadał, chociaż odgłos niósł się przez liczne komnaty, odbijając się echem o zewnętrzne mury podwórca. Wreszcie bohater nasz zobaczył w tym murze, w miejscu gdzie pod kątem przytykał on do pałacu, małą dębową furtkę, obficie nabitą żelaznymi gwoździami. Furtka ta, mimo swego warownego wyglądu, zamknięta była tylko na klamkę; otworzywszy ją znalazł się w ogrodzie<sup>80</sup>, przedstawiającym nader miły widok. Południowa ściana domu osłonięta wieloma drzewami owocowymi i pokryta gęsto pędami ostrokrzewu, ciągnęła się nieregularnym, choć czcigodnie wyglądającym frontem wzdłuż tarasu, częściowo brukowanego, to znów wysypanego żwirem lub obsadzonego kwiatami i szlachetnymi krzewami. Wzniesienie to opuszczało się trzema szeregami schodów, pośrodku i z boków, do właściwego ogrodu, a otoczone było u góry kamiennym parapetem o ciężkiej balustradzie, zdobnym miejscami w olbrzymie groteskowe figury siedzących na zadzie zwierząt, pomiędzy którymi wielokrotnie powtarzał się ulubiony niedźwiedź. W środku tarasu, pomiędzy szklanymi drzwiami domu a głównymi schodami, ogromny zwierz tego samego gatunku dźwigał na głowie i przednich łapach wielką tarczę zegara słonecznego.

Ogród, utrzymywany widocznie bardzo starannie, obfitował w drzewa owocowe i moc kwiatów oraz wieczniezielonych krzewów, ciętych w fantastyczne kształty. Składał się on z tarasów, które od zachodniej ściany opuszczały się stopniowo do szerokiego strumienia toczącego się spokojnie i gładko w części swej przylegającej do ogrodu. Jednakże po przeciwnej stronie przelewał się on z łoskotem po szeroką groblą, której zawdzięczał swe chwilowe uspokojenie, i tam tworzył kaskadę, nad którą stała ośmioboczna altana z pozłacanym niedźwiedziem na dachu zamiast chorągiewki. Począwszy od tego miejsca strumień, powracając do właściwego sobie, bystrego nurtu, uchodził sprzed oczu, ginąc w zadrzewionym, głębokim jarze; tam, wśród kępy drzew, wznosiła się potężna, choć silnie zniszczona wieża, dawna siedziba baronów Bradwardine. Nad brzegiem strumienia, na wprost ogrodu, ciągnęła się wąska łączka, gdzie składano po praniu bieliznę - poza nią, nieco głębiej, rosły stare drzewa.

---

<sup>80</sup> W Ravelston oglądać można taki ogród, zachowany dzięki troskliwym staraniom właściciela, przyjaciela i krewniaka autora, marszałka dworu - sir Aleksandra Keitha. Jednakowoż zarówno ogród ten, jak i dom są mniejszych rozmiarów niż rzekoma siedziba barona Bradwardine. (Z przypisów autora: „Ogród w Tully-Veolan „).

Waverley już zaczynał tracić nadzieję dostania się do tego osamotnionego i jakby zaczarowanego domu, gdy w jednej z ogrodowych alei ujrzał przechadzającego się człowieka. Przypuszczając, że może to być ogrodnik albo ktoś ze służby domowej, Edward zszedł po schodach, żeby się z nim spotkać; w miarę jednak przybliżania się postać ta, zanim jeszcze mógł rozróżnić jej rysy, uderzyła go dziwacznością wyglądu i ruchów. Chwilami osobistość ta składała ręce nad głową jak hinduski jog<sup>81</sup> w pokutnej postawie, chwilami wyrzucała je prostopadle do ciała na kształt wahadła, to znów szybko a raz za razem biła się nimi w pierś, jak to zwykł czynić dorożkarz w jasny, mroźny dzień, kiedy jego zaprzęg stoi beczynnienie.

Chód tego człowieka był równie dziwaczny, jak jego gesty, gdyż skakał wytrwale to na prawej nodze, to na zmianę na lewej, to znów, zesunawszy ciasno stopy, obiema nogami równocześnie. Strój jego także był jakiś staroświecki i dziwny. Składał się z szarego obcisłego kubraka z szkarłatnymi mankietami i rozciętymi rękawami ukazującymi szkarłatną podszewkę. Reszta stroju utrzymana była w tejże barwie - aż do pary szkarłatnych pończoch i szkarłatnej czapki z zatkniętym w nią zawadiacko indyckim piórem. Edward, na którego nie zwracał on na pozór uwagi, wyczytał teraz wyraźnie z jego rysów to, co zdawało się wynikać z jego wyglądu i zachowania. Widać było, że źródłem tkwiącego w tej przystojnej skądinąd twarzy błędnego, niespokojnego i zmiennego wyrazu nie jest ani idiotyzm, ani też obłąd, ale coś podobnego do mieszaniny obu tych składników, gdyż przyrodzona naiwność kojarzyła się tu z niesamowitością obłąkanej myśli. Śpiewał z poważnym przejęciem i nie bez poczucia smaku urywek z jakiejś starej szkockiej piosenki:

Tak zawiodłeś mnie niewierny.

Gdy kwieciami kwitło lato?

W zimowych szarug porę

Odpłacę ja ci za to.

Z innymi się pośmieję.

Gdy zechcesz do mnie wrócić.

Nic trzeba było innych,

Niewierny, bałamucić.

Podniósłszy nagle oczy, które dotąd miał spuszczone, pilnując, by nogi poruszały się w takt śpiewanej piosenki, ujrzał teraz Waverleya i natychmiast ściągnął czapkę z wielu

---

<sup>81</sup> jog - hinduski asceta, siłą woli doprowadzający swe ciało do niezwyklej wytrzymałości na ból, głód, pragnienie.



osobliwymi oznakami zdziwienia, szacunku i powitania. Edward, chociaż słabą miał nadzieję otrzymania odpowiedzi na określone pytanie, zapytał jednak, czy pan Bradwardine jest w domu i gdzie by mógł znaleźć kogoś ze służby. Zapytany odrzekł posługując się jak czarodziejka z Thalaby<sup>82</sup> - "wciąż pieśnią zamiast mowy".

Pan w góry dziś pojechał  
W myśliwski zadać róg:  
Pani, by wianki zwijać.  
W altany śpieszy próg.  
Podłogę w jej altanie  
Mchy runią swą zasłały.  
By krok pana Williama  
Mógł cichy być i śmiały.

Nie było to żadne objaśnienie, gdy zaś Edward powtórzył pytanie, usłyszał szybką odpowiedź, z której wśród potoku słów wymawianych w jakimś dziwnym dialekcie zrozumiał tylko wyraz „ochmistrz”. Waverley oświadczył więc, że chciałby się widzieć z ochmistrem, a wtedy cudak znaczącym spojrzeniem i kiwnięciem głowy dał Edwardowi do zrozumienia, by szedł za nim, po czym ruszył, tańcząc i podskakując, z powrotem alejką, którą przyszedł. „Dziwny przewodnik - pomyślał Edward - przypomina trochę szekspirowskich błaznów. Nie bardzo to przezornie z mej strony ufać jego przewodnictwu; ale wszak mędrszych ode mnie prowadzili nieraz głupcy!” Tymczasem dotarł do końca alei i natknąwszy się na niewielki kwietnik, zasłonięty od wschodu i północy gęstym żywopłotem, zastał tam przy pracy starszego człowieka bez kurtki; powierzchowność jego łączyła w sobie cechy wyższego służącego i ogrodnika: czerwony nos i marszczona koszula<sup>83</sup> nasuwały na myśl pierwszy zawód, natomiast spalona słońcem twarz i zielony fartuch zdawały się wskazywać kogoś, co:

„Na podobieństwo starego Adama uprawą swego zajął się ogrodu”<sup>84</sup>

Major domus<sup>85</sup>, gdyż on to był właśnie, niezaprzeczenie drugi z kolei dostojnik w baronii, a nawet, jako główny minister spraw wewnętrznych, górujący może nad intendentem

---

<sup>82</sup> Thalaba - tytuł poematu Roberta Southeya (1774-1843)

<sup>83</sup> marszczona koszula - koszula z żabotem i mankietami z koronek

<sup>84</sup> Na podobieństwo starego Adama... - słowa ze sztuki Szekspira Ryszard II

<sup>85</sup> major domus z łac.) - marszałek dworu.

Macwheeble<sup>86</sup> na terenie własnego departamentu kuchni i piwnicy, odłożył szpadel, pospiesznie uzupełnił swój strój i darząc zabójczym spojrzeniem przewodnika Edwarda (snadź rozdrażniony tym, że mu naprowadził obcego w chwili, gdy się oddawał temu pracowitemu, a w jego mniemaniu poniżającym go zajęciu), zapytał, czym służyć może. Dowiedziawszy się między innymi, że gość przybył złożyć uszanowanie jego panu oraz że nazwisko jego brzmi Waverley, stary przybrał wyraz twarzy pełen poważania i godności. Mógł z czystym sumieniem zapewnić gościa, że baron będzie niezmiernie rad z jego odwiedzin. Czyby pan Waverley nie zechciał pokrzepić się czymś po podróży? Jego dostojność przebywa przy ludziach, którzy ścinają Ciemną Wiedźmę; on sam zaś zabawiał się tu właśnie plewiąc grządkę kwiatową panny Róży, ażeby być blisko jego dostojności na każde jego zawołanie; lubił bardzo ogród, ale nie miał zbyt wiele czasu na tego rodzaju rozrywki.

- Choćby nie wiem jak się śpieszył, nigdy tego nie skończy pracując dwa dni w tygodniu - wtrącił dziwaczny przewodnik Edwarda.

Srogie spojrzenie skarciło go za tę niewczesną uwagę, po czym ochmistrz głosem nie znoszącym sprzeciwu nakazał Dawidowi Gellatley (tak go bowiem nazywał) udać się do Ciemnej Wiedźmy i zameldować jego dostojności, że pewien pan z południa przybył do dworu.

- Czy ten nieborak potrafi doręczyć list? - zapytał Edward.

- Z całą pewnością, jaśnie panie - każdemu, kogo szanuje. Mniej bym mu ufał, gdyby chodziło o dłuższe ustne polecenie - choć to raczej filut niż szaleniec.

Waverley oddał swój list uwierzytelniający panu Gellatley, który, jakby na potwierdzenie słów ochmistrza - gdy ten odwrócił się w inną stronę - tak ku niemu twarz wykrzywił, iż uczynił z niej coś w rodzaju pokracznej maski, jakie malują na niemieckich fajkach; po czym, dziwacznie skłoniwszy się Waverleyowi, tanecznym krokiem pośpieszył wypełnić zlecenie.

- Jest to niewinny, jaśnie panie - objaśnił ochmistrz - mamy takich prawie w każdym mieście w okolicy, ale nasz jest nie lada frantem. Potrafił on dawniej wcale nieźle odrabiać dniówki, aż kiedyś obronił pannę Różę, gdy ją napadł nowy angielski byk lairda<sup>87</sup> z Killancureit i od tego czasu nazywamy go Dawidkiem Małorobem; ale słuszniej byłoby go nazwać Dawidkiem Nierobem, bo od czasu jak dostał to wesołe ubranie, dla uciechy jego

---

<sup>86</sup> Macwheeble - nazwisko charakteryzujące nosiciela: popełniający różne kręactwa przy pozorach legalnego postępowania.

<sup>87</sup> laird - szkocki dziedzic.

dostojności i mojej młodej pani<sup>88</sup> (wielcy państwo miewają takie fantazje), nic innego nie robi, tylko tańczy tam i z powrotem po mieście, roboty już żadnej się nie ima, najwyżej oporządzi wędkę pana barona, założy przynętę albo, jak się zdarzy, nałowi czasem pstrągów na jedno danie. Lecz oto idzie panna Róża, która - nie wątpię o tym - będzie szczególnie rada powitać przedstawiciela rodu Waverleyów w domu swego ojca w Tully-Veolan.

Ale Róży Bradwardine od niegodnego jej dziejopisa należy się coś więcej, niż żeby miał ją przedstawić na końcu rozdziału.

Na razie warto zapamiętać, iż - jak Waverley przekonał się z tej rozmowy - w Szkocji pojedynczy dom zwie się miastem, a człowiek z urodzenia niespełna rozumu - niewinnym.

---

<sup>88</sup> Nie wiem, jak dawno temu zniesiono w Anglii odwieczny zwyczaj trzymania w domach błaznów. W Szkocji zwyczaj ten przetrwał niemal do końca ostatniego wieku (XVIII - *obj. red.*). W zamku Glamis zachowano strój jednego z tych trefnisiów, bardzo wdzięczny, a przybrany licznymi dzwoneczkami. Jeszcze przed niespełna trzydziestu laty postać taką można było oglądać w sali jadalnej jednego z najpierwszych magnatów Szkocji. (Z przypisów autora: „Błazny domowe”).

## ROZDZIAŁ X

### **Róża Bradwardine i jej ojciec**

Panna Bradwardine liczyła dopiero lat siedemnaście; była to bardzo ładna dziewczyna o szkockim typie urody, a więc z obfitością jasnozłotych włosów i cerą białą jak śnieg jej rodzinnych gór. Jednakże nie była to twarz bezbarwna ani poważnie zamyślona; w rysach jej, tak jak i w usposobieniu, wiele było ożywienia; płeć, choć bez rumieńców, tak była czysta, że aż się wydawała przejrzystą, a najłżejsze wzruszenie od razu całą falą krwi oblewało twarz jej i szyję. Postać, choć poniżej przeciętnego wzrostu, była wybitnie wytworna, a ruchy lekkie, zręczne i naturalne. Nadeszła z innej części ogrodu, by powitać kapitana Waverleya, a w zachowaniu jej znać było jednocześnie wstydlivość i uprzejmość.

Po pierwszym przywitaniu dowiedział się od niej Edward, że Ciemna Wiedźma, która tak go zaintrygowała w opowieści kamerdynera o zajęciu jego pana, nie miała nic wspólnego ani z czarnym kotem, ani z miotłą, ale była po prostu dąbrową, którą miano ściąć tego dnia. Panna Róża ofiarowała się z nieśmiałą grzecnością zaprowadzić gościa na to miejsce, widocznie niedalekie; uprzedziło ich jednak ukazanie się barona Bradwardine we własnej osobie, który, zawezwany przez Davida Gellatley, zjawił się teraz, tchnący gościnnością, sunąc długimi a prędkimi krokami, które Waverleyowi przywiodły na myśl dziecinną bajkę o siedmiomilowych butach. Była to wysoka, chuda, muskularna postać, niemłoda wprawdzie i siwowłosa, ale z mięśniami twardymi jak rzemień, wskutek ciągłego ruchu i wprawy. Ubrany był niedbale, raczej na sposób francuski niż ówczesny angielski. Mowa jego i zwyczaje były tak niejednolite, jak i zewnętrzny wygląd.

Licząc się z jego wrodzonym zamiłowaniem do nauki, a może stosując się do powszechnej w Szkocji mody dawania młodzieńcom wyższych rodów wykształcenia prawniczego, zamierzano wykierować go na jurystę<sup>89</sup>. Że jednak przekonania polityczne jego rodziny wykluczały dlań nadzieję zrobienia większej kariery w tym zawodzie, pan Bradwardine podróżował przez kilka lat i odbył parę kampanii w cudzoziemskiej służbie. Po zarzutach o zdradę stanu w roku 1715 pan Bradwardine żył przez pewien czas w zaciszu domowym, obcując prawie wyłącznie z sąsiadami podobnych przekonań.

Pedanteria prawnika, zaszczipiona na wojskowej dumie żołnierza, nasuwać mogła nowoczesnemu pokoleniu wspomnienie owych dni gorliwej ochotniczej służby, kiedy to togę adwokacką narzucano często na błyszczący mundur. Dodać tu należy uprzedzenia starożytnego rodu i jakobickiej polityki, wielce wzmocnione przyzwyczajeniem do

sprawowania osobistej i wyłącznej władzy, która, chociaż wykonywana jodynie w obrębie jego na pół tylko zagospodarowanych włości, była tam niezaprzeczalna i przez nikogo nie kwestionowana. Albowiem, jak zwykł był oświadczać, „dobra Bradwardine, Tully-Veolan i inne zostały ustanowione wolną baronią przez nadanie Dawida Pierwszego, *cum liberali potestate habendi curias et justicias*<sup>90</sup> *cum fossa et futra* (loch więzienny i szubienica) *et saka et soka et thol et theam et infang thief et aufang-thief, sive hand-habendo, sive bak-barando*.

Właściwego znaczenia wszystkich tych kabalistycznych wyrażen nikt nie umiał wytłumaczyć, ale, ogólnie biorąc, znaczyły one tyle, że baron Bradwardine miał prawo w razie przestępstwa więzić, sądzić i karać śmiercią swoich wasali wedle dowolnego uznania. Obecny posiadacz tej władzy wołał jednakże, za wzorem Jakuba I, mówić o prerogatywach<sup>91</sup> niż wcielać je w czyn poza tym, że zamknął dwóch kłusowników w starej wieży w Tully-Veolan, gdzie ich srodze nastraszyły duchy, a o mało nie pożarły szczury, i że wsadził starą babę w *jougs* (rodzaj szkockiego pręgierza) za powiedzenie: „Więcej jest głupców we dworze pańskim niż jeden tylko Dawid Gellatley” - nie słyzałem nigdy, aby mu zarzucano nadużywanie wysokiej jego władzy. Swoją drogą jednak duma z jej posiadania dodawała jeszcze namaszczenia i powagi mowie jego i zachowaniu.

Kiedy przy powitaniu przemówił do Waverleya, zdawało się, że serdeczna radość z ujrzenia bratanka przyjaciela zmiękczyła nieco sztywną godność obejścia barona Bradwardine, bo łzy stanęły w oczach starego pana; uściskawszy najpierw serdecznie rękę Edwarda zwyczajem angielskim, objął go następnie *d la mode francaise*<sup>92</sup> i ucałował w oba policzki; przy tej sposobności siła jego garści i obfitość szkockiej tabaki, przekazanej w czasie pocałunku, wycisnęły podobne krople wilgoci z oczu jego gościa.

- Na mą cześć szlachecką - powiedział - czuję, jakobym odmłodził widząc cię tutaj, panie Waverley! Godną jesteś latoroślą starego szczepu z Waverley-Honour - *spes altera*<sup>93</sup>, jakby się wyraził Maro<sup>94</sup>. Znać bo w tobie, kapitanie, starą rasę, a choć nie dorównujesz jeszcze powagą staremu memu przyjacielowi sir Everardowi - *mais cela viendra avec le temps*<sup>95</sup>. A więc przypiąłeś kokardę<sup>96</sup>? Słusznie, słusznie, chociaż wołałbym, by barwa jej była inna i tego samego, jak sądzę, życzyłby sobie sir Everard. Ale dość o tym: ja już jestem

---

<sup>89</sup> jurysta - prawnik

<sup>90</sup> *cum liberali potestate habendi curias et justicias...* itd. (tac.) - z pełną władzą sprawowania sądu i wydawania wyroku, skazywania na więzienie i szubienicę.

<sup>91</sup> prerogatywy - przywileje związane z pewnymi funkcjami lub godnościami.

<sup>92</sup> *a la mode francaise* (franc.) - francuskim zwyczajem; na modłę francuską.

<sup>93</sup> *spes altera* (łac.) - nadzieja przyszłości.

<sup>94</sup> Maro - Publius Virgilius Maro - poeta rzymski (71-19 przed n. e.)

<sup>95</sup> *mais cela viendra avec le temps* (franc.) - ale to przyjdzie z czasem.

stary, a czasy się zmieniły... A jakże się miewa nasz godny baronet i czarująca panna Rachel?... Nie śmieję się, młodzieńcze! Była ona naprawdę piękna w Roku Pańskim tysiąc siedemset szesnastym, ale czas płynie - *et singula praedantur anni*<sup>97</sup> - to pewna. Raz jeszcze jestem ci najserdeczniej rad w mych niskich progach w Tully-Veolan! Biegnijże do domu, Rózo, i dopilnuj, by Aleksander Saunderson wyciągnął stare Chateau Margaux<sup>98</sup>, które wysłałem z Bordeaux do Dundee w roku 1713.

Róza podreptała dość spokojnie, aż do pierwszego zakrętu, potem jednak puściła się jak strzała, by móc po wypełnieniu zlecenia ojca doprowadzić do ładu własną toaletę i nieco się upiększyć, z czym wobec zbliżającej się obiadowej pory należało się śpieszyć.

- Nie możemy rywalizować ze zbytkiem waszego angielskiego stołu, kapitanie Waverley, ani dać ci *epulae lautiores*<sup>99</sup> Waverley-Honour - mówię *epulae* raczej niż *prandium*<sup>100</sup> gdyż to ostanie ludowi jeno przystoi. *Epulae ad senalum, prandium vero ad populum attinet*<sup>101</sup>, powiada Svetonius Tranquillus<sup>102</sup>. Ale myślę, że pochwalisz moje Bordeaux; *Vinum primae notae*<sup>103</sup> nazwał je rektor Kolegium Św. Andrzeja. I jeszcze raz, kapitanie Waverley, wielce się cieszę, że tu jesteś i spróbujesz najlepszego trunku, na jaki stać moją piwnicę.

W ciągu tej mówki, przerywanej wtrącanymi stosowanie odpowiedziami, doszli wreszcie do drzwi domu, gdzie czekało już na nich kilkoro służby w całym przepychu staromodnej liberii; by pod wodzą ochmistrza Aleksandra Saundersona - który zdążył tymczasem zatrzeć na sobie wszelkie gorszące piętna ogrodowych zajęć - wprowadzić ich do:

Starej sieni<sup>104</sup>, gdzie wokół wiszą luki, puklerze

I znaczone szeregiem silnych ciosów pancerze.

Z wielkim ceremoniałem i szczerą uprzejmością, nie zatrzymując się w żadnej z mijanych po drodze komnat, powiódł baron swego gościa wprost do obszernej jadalni

---

<sup>96</sup> kokarda - kokarda przy kapeluszu była odznaką oficera.

<sup>97</sup> *et singula praedantur anni* (łac.) - przechodzące lata obdzierają nas ze wszystkiego. Zdanie nieco zmienione z Horacego (Listy).

<sup>98</sup> Chateau Margaux - gatunek wina franc.

<sup>99</sup> *epulae lautiores* (łac.) - wspaniałe uczyty.

<sup>100</sup> *prandium* (łac.) - obiad.

<sup>101</sup> *Epulae ad senatum, prandium vero ad populum attinet* (łac.) - ucza jest dla senatorów, obiad zaś - dla pospólstwa.

<sup>102</sup> Svetonius Tranquillus - historyk rzymski (ok. 69-141 n.e.) autor zbioru anegdot historycznych pt. Dwunastu cesarów.

<sup>103</sup> *Vinum primae notae* (łac.) - wino pierwszorządne.

<sup>104</sup> w starej sieni... - wyjątek z ballady Dworzanin królowej.

wyłożonej czarnym dębem i obwieszanej portretami przodków, gdzie stał stół nakryty odświętnie na sześć osób, a staroświecki kredens cieszył wzrok całym bogactwem odwiecznej srebrnej zastawy rodu Bradwardine. Dał się teraz słyszeć dzwon od strony wjazdu: to starzec, pełniący obowiązki odźwiernego w dni uroczyste, zajął swój posterunek na wieść o przyjeździe Waverleya i teraz oznajmiał przybycie dalszych gości.

Byli to jak baron zapewnił swego młodego przyjaciela, ludzie ze wszech miar godni.

- Jest tam młody pan na Balmawhapple, nazwiskiem Falconer, z rodu Glenfarquhar, ogromnie zamiłowany w polowaniu - *gaudet equis et canibus*<sup>105</sup> - ale bardzo przyzwoity młody człowiek. A dalej dziedzic z Killancureit, który znów cały swój czas poświęca roli i zajęciom gospodarskim, chlubiąc się posiadaniem stadnika najwyższej wartości, sprawdzonego z hrabstwa Devon. Ten pochodzi, jak łatwo się domyślisz z tego rodzaju skłonności, z niższej warstwy ziemiańskiej - *servabit odorem testa diu*<sup>106</sup>, a bodaj nawet dziad jego wywodził się z kmieci - niejaki Bullsegg, który dostał się tu jako ekonom, rządca czy coś w tym rodzaju. Ale obecny tu pan Bullsegg z Killancureit ma dobrą krew w żyłach przez matkę i babkę, obie z rodu Pickletillim; lubiany też jest i szanowany powszechnie jako człowiek bardzo na miejscu. A zresztą niech Bóg zachowa, kapitanie Waverley, byśmy jako ludzie o nieposzlakowanym rodowodzie mieli wywyższać się nad niego, kiedy w ósmym, dziewiątym lub dziesiątym pokoleniu potomstwo jego zaliczać się już może będzie do starej szlachty tego kraju; stan i krew, mój panie, nie powinny często zaprzętać mowy tych, co jak my pochodzą z nieskazitelnej rasy *vix ea nostra voco*<sup>107</sup>, jak powiada Naso<sup>108</sup>. Będzie tu jeszcze duchowny prawdziwego (choć uciśnionego) episkopalnego Kościoła Szkocji. Był on rzecznikiem jego sprawy po roku 1715, kiedy to tłum wigów zniszczył mu zbór, podarł komżę i ograbił mieszkanie z czterech łyżek srebrnych, dobierając się też do spiżarni i rabując dwie baryłki piwa - jedną pojedynczego, drugą dubeltowego - oraz trzy flaszki wódki. Intendent baronii, a mój pomocnik, pan Duncan Macwheeble dopełnia listy naszych gości. Wskutek niepewnej pisowni dawnych akt nie wiadomo dokładnie, czy należy on do klanu Wheedle, czy też Quibble, ale oba one wydały osobistości wybitne w dziedzinie prawa.

I tak ich osoby opisał zaocznie -

Gdy weszli, do stołu podano niezwłocznie.

---

<sup>105</sup> *gaudet equis et canibus* (tac.) - miłuje konie i psy.

<sup>106</sup> *servabit odorem testa diu* (łac.) - skorupka długo zachowa zapach. Słowa z Horacego (Listy)

<sup>107</sup> *vix ea nostra voco* - zaledwie to nazywam naszym.

<sup>108</sup> Naso - Publius Ovidius Naso - poeta rzymski (43 r. przed n.e. - 17 n.e.).

## ROZDZIAŁ XI

### Uczta

Przyjęcie było obfite i godne, wedle szkockich zwyczajów owego okresu, a goście potrafili uczcić je należycie. Baron jadł jak wygłodzony żołnierz, pan na Balmawhapple jak myśliwy, Bullsegg z Killancureit jak rolnik, sam Waverley jak podróżny, intendent Macwheeble zaś jak wszyscy czterej razem wzięci, chociaż - czy to z wielkiego szacunku, czy ażeby utrzymać to właściwe mu pochylenie całej osoby mające podkreślać świadomość, że jest w obecności swego patrona - siedział on na samym brzeżku krzesła odsuniętego na trzy stopy od stołu, utrzymując łączność z talerzem przez tak znaczne ukośne wysunięcie się naprzód, że siedzący naprzeciw mógł tylko dojrzeć przedni czub jego małej podróżnej peruki.

Taka przechylona pozycja byłaby dla innych uciążliwa, lecz, długie jej stosowanie, zarówno na stojąco, jak i na siedząco, sprawiło, iż czcigodny intendent czuł się w niej doskonale. W czasie przechadzki, co prawda, mogła mu spowodować nieprzystojne wypięcie w stosunku do osób idących za nim, że tam jednak znajdowali się zawsze niżsi od niego (pan Macwheeble bardzo skrupulatnie oddawał pierwszeństwo wszystkim innym), więc niewiele sobie robił z tego, że ktoś gotów to uznać za lekceważenie czy uchybienie. Toteż kiedy dreptał przez podwórze, udając się do swego starego, siwego kuca lub powracając od niego, przypominał nieco pieska chodzącego na tylnych łapkach.

Nie zaprzysiężony duchowny był starcem zamyślonym i interesującym, który robił wrażenie męczennika za ideę. Był on jednym z tych, którzy „choć nie zmuszeni, zrzekli się dostatków”.

Gdy usunięto półmiski, baron wznosił toast za króla, grzecznie pozostawiając sumieniu gości, na cześć którego pana zechcą wychylić kielich, tego *de facto* czy *de iure*<sup>109</sup>, stosownie do swych politycznych sympatii. Rozmowa nieraz stała się ogólną; niebawem też panna Bradwardine, która czyniła honory domu z naturalnym wdziękiem i prostotą, usunęła się, a za jej przykładem poszedł duchowny. Wśród pozostałego towarzystwa wino, godne w pełni pochwał gospodarza, krążyło gęsto, chociaż Waverley z pewną trudnością uzyskał przywilej opuszczania czasami kolejki. W końcu, gdy się już wieczór posunął, baron dał dyskretny, znak panu Saundersowi Saundersonowi, którego żartobliwie nazywał *Ale rander ab Atejandro*<sup>110</sup>, ten zaś, kiwnąwszy głową, wyszedł z pokoju; wkrótce potem powrócił i z

---

<sup>109</sup> *de facto* czy *de iure* (łac.)-w istocie rzeczy czy według prawa.

<sup>110</sup> *Atexander ab Akwandro* (łac.) - Imię: Saunders = Aleksander, nazwisko: Saunderson = syn Aleksandra. Baron rozmówiony w starożytności żartobliwie tłumaczy imię i nazwisko Saundersona na łacinę.



uroczystym a tajemniczym uśmiechem na poważnym obliczu postawił przed swoim panem małe dębowe puzdro, okute w mosiężne ozdoby ciekawego wykroju. Baron, dobywszy kluczyka, otworzył szkatułkę, podniósł wieko i wyjął złoty puchar staroświecki, oryginalnego wyglądu, urobiony w kształt niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach, na którego popatrzył spojrzeniem pełnym zarazem uszanowania, dumy i zachwytu.

- Przedstawia on - mówił - zaszczytne godło naszego rodu, niedźwiedzia, i to stojącego na tylnych łapach; boć dobry heraldyk odtworzy każde zwierzę w jego najszlachetniejszej postaci: a więc konia w skoku, psa w biegu, drapieżne zwierzę, rzecz prosta, *in actu ferociori*<sup>111</sup>, to jest w postaci wyrażającej gotowość napaści, rozdzierania i pożerania. Otóż, mój panie, my tę wielce czcigodną odznakę zawdzięczamy herbowemu nadaniu Fryderyka Rudobrodego<sup>112</sup>, niemieckiego cesarza, który obdarzył nią mojego praszczura Godmunda Bradwardine. A teraz co do samego pucharu, kapitanie Waverley; został on wyrzeźbiony z rozkazu St. Duthaca - opata z Aberbrothock dla innego barona z domu Bradwardine, który dzielnie bronił posiadłości klasztoru przeciw uroszczeniom pewnych magnatów. Słusznie zowie się on „Błogosławionym Niedźwiedziem z Bradwardine”<sup>113</sup>. Zawsze uważano go za najcenniejsze naczynie i szacowne dziedzictwo naszego domu; nie używa się go też inaczej, jak przy okazji wielkich uroczystości, a za taką poczytuję przybycie spadkobiercy sir Everarda pod mój dach; dlatego też wypijmy teraz za zdrowie i pomyślność starożytnego i wysoce szanownego domu Waverleyów. W czasie tej długiej przemowy uważnie przelewał czerwone wino z omszałej butelki do pucharu mieszczącego prawie pół angielskiej kwarty i na koniec oddawszy butelkę marszałkowi z zaleceniem starannego trzymania jej pod tym samym kątem nachylenia; nabożnie wychylił zawartość „Błogosławionego Niedźwiedzia z Bradwardine”.

Edward ze zgrozą i strachem patrzył na zwierza obchodzącego kolejkę, z wielkim niepokojem myśląc, jak trafna jest dewiza: „Strzeż się niedźwiedzia”; równocześnie jasno rozumiał, że skoro nikt z gości nie uchyła się od uczczenia go tym sposobem, byłoby, bardzo

---

<sup>111</sup> *in actu ferociori* (łac.) - w drapieżnym ataku.

<sup>112</sup> Fryderyk Rudobrody - Fryderyk I Barbarossa - z rodu Hohenstaufów, cesarz niemiecki od 1152-1190. Utonął w czasie trzeciej wyprawy krzyżowej. Dokoła jego postaci powstały legendy o śpiącym w górach cesarzu. Aristokratycznym ambicjom odpowiadało wywodzenie rodowodów od rycerzy z wypraw krzyżowych.

<sup>113</sup> „Błogosławiony Niedźwiedź” ma swój pierwowzór w pięknym, starym zamku Glamis, tak bogatym w pamiątki z dawnych czasów; jest to masywny, srebrny puchar dwustronnie złożony, wyrobiony w kształcie lwa, a mogący pomieścić niemal kwartę wina...

Autor powinien by się może wstydzić wyznania, że miał zaszczyt wychylić zawartość lwa; wspomnienie tego czynu nasunęło pomysł niedźwiedzia z Bradwardine. W rodzinie Scottów z Thirlestane (nie Thirlestane w Puszczy, lecz miejscowość tej samej nazwy w Roxburghshire) przez długie czasy przechowywano puchar tego samego rodzaju, w kształcie buta o wysokiej cholewie. Każdy gość musiał puchar ten spełnić na pożegnanie. Jeśli zaś zwał się Scott, obowiązek ten obciążał go podwójnie. (*Z przypisów autora: „Strzemieniu”*).

źle widziane, gdyby wymawiał się odpłacić im takąż uprzejmością. Postanowił przeto poddać się temu ostatniemu objawowi przemocy i starać się potem opuścić stół biesiadny; ufając swej wytrzymałości, wychylił za zadośćuczynienie towarzystwu zawartość „Błogosławionego Niedźwiedzia” i mniejsze stąd odczuł skutki, niż się tego obawiał. Tamci, którzy pracownicy od niego czas przedtem, spędzali, zaczęli zdradzać objawy podochocenia - „dobre wino dało znać o sobie”. Zamróz etykiety i duma rodowa zaczęły tajać pod błogim wpływem pomyślnej konstelacji, a ceremonialne tytuły, jakimi trzech dygnitarze do siebie dotychczas przemawiali, ustąpiły miejsca poufałym skrótom Tully, Bally i Killie. Gdy jeszcze parę kolejek obeszło, dwaj ostatni, poszeptawszy ze sobą, poprosili (ku radości Edwarda) o łaskę pucharu pożegnalnego. Po pewnym czasie zyskali na to zgodę i Waverley sądził już, że bachiczna orgia dobiegała na ten wieczór kresu. Nigdy w życiu jednakże bardziej się nie omylił.

Ponieważ goście pozostawili konie swoje w małej wioskowej gospodzie, zwanej zajazdem, wypadło baronowi odprowadzić ich do końca alei. Waverley zaś z tegoż powodu dotrzymywał im towarzystwa, rad, że po tej gorączkowej pijatyce zażyje chłodu letniego wieczoru. Gdy jednak doszli do karczmy Łusi Macleary<sup>114</sup>, lairdowie Balmawhapple i Killancureit oświadczyli, że w podzięce za gościnność doznaną w Tully-Veolan muszą wraz z gospodarzem i jego gościem, kapitanem Waverley wypić strzemiennego<sup>115</sup>.

Intendent, wiedząc z doświadczenia, iż zabawa, dotychczas podtrzymywana kosztem jego patrona, mogłaby się zakończyć częściowo i jego własnym, dosiadł swego ochwaczonego, siwego kuca i po trosze z dobrego humoru, a po trosze ze strachu, że może zostać pociągnięty za kieszeń, chwiejnym galopkiem (o kłusie nie było nawet mowy) opuścił wioskę. Pozostali biesiadnicy weszli do zajazdu wiodąc za sobą uległego Edwarda; gospodarz bowiem szepnął

---

<sup>114</sup> Macleary - nazwisko charakteryzujące nosiciela: przebiegły, wyga.

<sup>115</sup> Libacje, w rodzaju opisanej w tekście, odbywały się przy pewnych okazjach w Szkocji jeszcze w młodości autora. Towarzystwo, pożegnawszy się z gospodarzem, nieraz kończyło wieczór „we wnętrzu szynkowni” wsi czy miasteczka. Podejmujący ich gospodarz stale im towarzyszył, by wypić strzemiennego, co często pociągało za sobą długą ucztę, trwającą do późna. Jeśli właściciel gospody ofiarowywał swym gościom *deoch an deruis*, to znaczy napitek na odchodnym, czyli strzemiennego. poczęstunku tego nie wciągał do rachunku. Na tej podstawie pewien uczony sędzia w mieście Forfar wydał wyrok bardzo logiczny.

A., piwowarka z Forfar. uwarzyła sobie baryłeczkę piwa i wystawiła napój ten przed dom, aby wystygł. Aż tu krowa sąsiada B., przechodząc tamtędy i widząc smakowity napój, pokosztowała go. po czym wypła do dna. Gdy A., wyszedłszy po chwili po napój, ujrzała wiadro puste, z chwiejnego chodu krowy, zdradzającego nieumiarkowanie, łatwo odgadła, co się stało z jej napojem. Odruchowo wywarła swą zemstę waląc krowinę po żebrach. Ryk chłostanej krowy sprowadził jej właściciela B., który sprzeciwił się temu, a w odpowiedzi usłyszał żądanie rozgniewanej sąsiadki, aby jej zapłacił za napój wypity przez krowę. B. odmówił zapłaty i sprawa została przekazana sędziemu. Sędzia wysłuchał jej cierpliwie i zwrócił się do poszkodowanej z zapytaniem, czy krowa usiadła do tej libacji, czy też wypła napój stojąc? Poszkodowana powiedziała, że nie była obecna przy dokonywaniu tego, lecz przypuszcza, że krowa wypła napój stojąc, i dodała, że gdyby była w pobliżu, to postarałaby się. aby krowa nóg swych użyła do ucieczki.

Sędzia, wysłuchawszy, uroczyście uznał napój za *ileocli an deruis*, czyli strzemiennie, za które nie wolno brać zapłaty bez pogwałcenia starej szkockiej gościnności.- (Z przypisów autora: „Strzemienu”)

mu do ucha, że wzbranianie się przed taką propozycją byłoby poczytane za ciężką obrazę panujących *leges eon viviales* - praw wesołego współbiesiadnictwa. Wdowa Macleary widocznie spodziewała się tej wizyty, i słusznie, gdyż było to zwykłe zakończenie wesołych uczt nie tylko w Tully-Veolan, ale w większości pańskich domów Szkocji „sześćdziesiąt lat temu”. Goście tym sposobem za jednym zamachem spłacali dług wdzięczności za uprzejmość gospodarza, popierali interes jego klientki, zaszczycali miejsce, dające schronienie ich koniom, i wetowali sobie ograniczenia, nakładane przez gościnność prywatną, spijając, jak się Falstaff wyraża „słodycz nocy w wesołej swobodzie karczmy”.

Toteż, spodziewając się tak znakomitych gości, Łusia Macleary wyszorowała dom pierwszy raz od dwóch tygodni, podsyciła torfowy ogień do takiego żaru, jakiego wymagała wilgotność jej nory nawet w pełni lata, wysunęła jodłowy stół świeżo wymyty, podparła kulawą jego nogę odłamkiem torfu i ustawiła kilka wielkich i niezgrabnych krzeseł w miejscach najbezpieczniejszych ze względu na nierówności glinianego klepiska-podłogi; przywdziawszy wreszcie odświętny strój z zarzutką z czerwonego samodziału, poważnie oczekiwała nadejścia gości pełna nadziei, że stanie się zadość zwyczajowi z jej niemałą korzyścią.

Gdy wszyscy zasiedli pod zakopconym pułapem jedynej izby Łusi Macleary, gęsto obwieszonym pajęczynami, gospodyni, która już zdążyła otrzymać polecenie od pana na Balmawhapple, ukazała się niosąc wielki cynowy dzban, pospolicie zwany kwoką, a zawierający co najmniej trzy angielskie kwarty - pełen, jak twierdziła, doskonałego czerwonego wina świeżo natoczonego z beczki.

Okazało się niebawem, że te resztki przytomności, których jeszcze niedźwiedź nie pochłoniął, miała teraz do cna wydziobać kwoka; jednakże zamieszanie, jakie wnet powstało, pozwoliło Edwardowi omijać krążące wesoło kielichy. Tamci zaczęli gadać dużo i równocześnie, przy czym każdy ciągnął swoje nie zważając bynajmniej na sąsiada. Baron Bradwardine śpiewał frnacuskie *chansons a boire*<sup>116</sup> i sypał łaciną; Killancureit równomiernym, nużącym tonem prawił o płytkiej i głębokiej orce, cielętach, jałówkach, byczkach, barankach, górskim bydle i zamierzonej ustawie o mycie, podczas gdy Balmawhapple, wydzierając się ponad tamtych, wychwalał swoje konie, sokoły i psa ogara wabiącego się Poświst. Wśród tego hałasu baron raz za razem błagał o ciszę; a gdy w końcu instynkt grzecznego posłuchu zwyciężył na chwilę, poprosił, by posłuchali „wojskowej

---

<sup>116</sup> *chansons a boire* (frac.) - piosenki śpiewane przy kielichu.

arietki” ulubionej przez marszałka księcia Berwick<sup>117</sup>; zaraz też naśladowując, jak mógł, maniery i ton francuskiego muszkietera, zaczął nucić:

*Mon coenr volage<sup>118</sup>, dit-elle.*

*N'est pas pour vous, garçon:*

*Est pour un homme de gaerre,*

*Qui a barbe au menton.*

*Lon, lon, laridon.*

*Qui porte chapeau a plume,*

*Soulier a rouge talon,*

*Qui joue de la flute,*

*Aussi du violon.*

*Lon, lon, laridon.*

Balmawhapple nie mógł się dłużej powstrzymać od zaprezentowania morowej, jak się wyraził, piosenki ułożonej przez Gibby Gaethroughwit<sup>119</sup> kobziarza z Cupar<sup>120</sup> i nie tracąc czasu zaintonował:

Gdym przez Glenbarchan właśnie szedł.

Ponad zakrętem w Killiebraid,

Często na wzgórków wążąc grzbiet,

By ptaszka strącić gładko...

Baron, którego głos zatonął w o wiele hałaśliwszej nucie piosenki Balmawhapple'a, przestał teraz walczyć o pierwszeństwo i tylko w dalszym ciągu nucił: „Lon, lon, laridon” spoglądając pogardliwie na szczęśliwszego od siebie kandydata do uwagi towarzystwa; Balmawhapple zaś ciągnął dalej:

Bo gdy ptak żwawy frunie w lot,

---

<sup>117</sup> marszałek Berwick - nieprawdy syn Jakuba II Stuarta; brał udział w jego wyprawie przeciw Anglii, później przyjął służbę w armii franc, gdzie odznaczył się jako dowódca.

Berwick - miasto graniczne między Szkocją i Anglią.

<sup>118</sup> Mon coeur volage... itd. (piosn. franc.) - Moje płoche serce – mówiła - nie jest dla ciebie, chłopcze, lecz dla wojaka z brodą, który nosi kapelusz z piórem, trzewiki na czerwonych obcasach i umie grać na flecie i na altówka.

<sup>119</sup> Gibby Gaethroughwit - imię i nazwisko charakteryzujące nosiciela: paplanina bez końca.

Celny mu w skrzydło posłać grot,  
Do pasa go przytroczyć, ot!  
W tym chybiam bardzo rzadko.

Po daremnej próbie przypomnienia sobie drugiej zwrotki, prześpiewał pierwszą powtórnie i z triumfującą miną oświadczył, że „więcej w tym jest sensu niż we wszystkich tra-la-la z Francji i z Fifeshire w dodatku”. Baron odpowiedział na to tylko powolnym zażyciem szczypty tabaki i spojrzeniem pełnym nieopisanego politowania. Ale owi szlachetni sprzymierzeńcy, niedźwiedź i kwoczek, wyzwolili młodego pana ze zwykłej uwagi<sup>121</sup>, z jaką się do Bradwardine’a odnosił. Oświadczył, że wino jest cienkie, i wielkim głosem zażądał wódki. Przeniesiono ją: teraz jednak demon polityki pozazdrościł harmonii tego pijackiego koncertu, ponieważ po prostu nie słyhać było dotąd żadnej gniewnej nuty w całym zespole tych splątanych dźwięków.

Pobudzony trunkiem dziedzic z Balmawhapple, nie zważając już teraz na skinienia i znaki, jakimi przez wzgląd na Edwarda baron Bradwardine powstrzymywał go dotychczas od wszczynania politycznych dyskusji, stentorowym głosem wznosił toast na cześć „tego kusego jegomościa w czarnym aksamicie, co się tak dobrze przysłużył w roku 1702<sup>122</sup>, i oby biały koń kark skrzył na kopczyku jego roboty!”

Edward w tej chwili nie miał dość trzeźwej głowy, ażeby sobie przypomnieć, że upadek króla Williama, który spowodował jego śmierć, przypisywano potknięciu się konia na kretowisku; mimo to uczuł się dotknięty tym toastem gdyż - wnosząc ze spojrzeń Balmawhapple’a - tkwiła w nim chęć obrazy rządu, któremu służył. Zanim jednakże zdążył się wnieść, baron Bradwardine podjął spór.

- Panie - przemówił - bez względu na to, jakie uczucia mogę żywić w tych sprawach, *tanquam privatus*<sup>123</sup> nie zniosę, abyś wypowiadał słowa mogące zadraskać honor gościa, który przebywa pod moim dachem. Jeżeli nie szanujesz waćpana praw uprzejmości, to czyż nie masz respektu dla *sacramentum militare* - wojskowej przysięgi, która każdego oficera wiąże ze sztandarem, pod jaki się zaciągnął? Przypomnij sobie, co Tytus Liwiusz mówi o tych nieszczęsnych rzymskich żołnierzach, którym wypadło *exuere sacramentum* - wyrzec się swej legionowej przysięgi; ale waćpan, jak widzę, nie znasz ani starożytnej historii, ani nowożytnej

---

<sup>120</sup> Cupar - miejscowość w hrabstwie Fifeshire, znana wówczas ze swych śpiewaków i grajków.

<sup>121</sup> atencja – uszanowanie.

<sup>122</sup> kusy jegomość, który tak się dobrze przysłużył w roku 1702 - złośliwa aluzja do króla Wilhelma Orańskiego, który w 1702 r. zmarł bezpotomnie, po nim panowała do 1714 Anna, córka Jakuba II Stuarta.

<sup>123</sup> *tanquam privatus* (łac.) - jako osoba prywatna.

uprzejmości. Nie tylko wykazujesz swój brak wiedzy, ale przynosisz ujmę własnej ojczyźnie przed obcym, i to Anglikiem!

Waverley zaklinał barona Bradwardine, by pozwolił mu samemu odpowiedzieć na afront, widocznie osobiście doń skierowany. Jednakże wino, wściekłość i pogarda uniosły barona ponad wszelkie względy pod słońcem.

- Błagam cię, zamilcz, kapitanie Waverley! Gdzie indziej jesteś może *sui iuris*<sup>124</sup> uprawniony myśleć i reagować samodzielnie; ale tutaj, na mojej dziedzinie, w tej ubogiej baronii Bradwardine i pod tym dachem, który jest *quasi*<sup>125</sup> moim, gdyż przeze mnie nie oddanym w dzierżawę, ja jestem *in loco parentis*<sup>126</sup> względem ciebie i obowiązany dbać, by ci się krzywda nie stała. A co do ciebie, panie Falconer z Balmawhapple, przestrzegam cię, byś waćpan nie ośmielił się na przyszłość schodzić w mej obecności z drogi dobrych obyczajów.

- A ja ci oświadczam, panie Cosmo Comyne Bradwardine z Bradwardine i Tully-Veolan - odpowiedział myśliwiec wielce wzgardliwie - że porąbię na sztuki każdego, kto toastu mojego nie wypije, czy to będzie oszelmowany angielski wig z czarną wstążką u peruki, czy też taki, co opuścił własnych przyjaciół, by wiązać się z hanowerskimi szcurami.

W jednej chwili dwa rapiery świsnęły w powietrzu i kilka gwałtownych cięć sparowało się nawzajem. Balmawhapple był młody, tęgi i ruchliwy; ale baron, nieskończenie lepiej władający bronią, byłby, jak sir Tobiasz Czkałka<sup>127</sup>, inaczej połaskotał przeciwnika, gdyby nie był sam pod wpływem Wielkiej Niedźwiedzicy.

Edward rzucił się naprzód, by rozłączyć walczących, ale leżące ciało dziedzica z Killancureit, o które się potknął, stanęło mu na przeszkodzie. Jak się to stało, że Killancureit w tak ciekawym momencie znalazł się w tej pozycji, tego się nikt nigdy dokładnie nie dowiedział. Niektórzy sądzili, że chciał się wcisnąć pod stół, on sam jednak dowodził, że się potknął w chwili podnoszenia krzesła, którym dla zapobieżenia nieszczęściu chciał obalić Balmawhapple'a. Jak bądź sprawa ta się przedstawiała, krew byłaby się polała niewątpliwie, gdyby nie nadeszła pomoc skuteczniejsza od tej, jaką on lub Waverley okazać mogli.

Dobrze znany szczęk szabel, rzecz nieobca w jej mieszkaniu, poruszył! Łusie Macleary, która siedziała za ulepioną z gliny przegrodą z oczami utkwionymi w kartach „Życiowych Zawodów”, zajęta w myśli zestawianiem rachunku. Wpadła odważnie między przeciwników, wykrzykując piskliwie:

---

<sup>124</sup> *sui iuris* (łac.) - swoim prawem, w swoim prawie, mieć prawo.

<sup>125</sup> *quasi* (łac.) – jakoby.

<sup>126</sup> *in loco parentis* (łac.) - w zastępstwie rodzica.

<sup>127</sup> Tobiasz Czkałka - postać wesołego opoja ze sztuki Szekspira Wieczór trzech króli.

- Czemuż to wasze dostojności chcą się tu pozabijać i ściągnąć wstyd na dom uczciwej wdowy, kiedy tyle jest miejsca na polu, gdzie się bić można do woli? - To mówiąc, równocześnie z wielką zręcznością zarzuciła swe okrycie na broń walczących.

Tymczasem nadbiegła służba, która będąc na szczęście dość trzeźwa rozłączyła zajadłych przeciwników z pomocą Edwarda i Killancureita. Ten ostatni wyprowadził Balmawhapple'a klnącego, łającego i zaprzysięgającego zemstę wszystkim wigom, prezbiterianom i fanatykom w całej Anglii i Szkocji i z trudem wsadził go na konia. Nasz bohater z pomocą Aleksandra Saundersona zaprowadził barona Bradwardine do własnego jego mieszkania, ale nie mógł go nakłonić do spoczynku, dopóki baron nie wygłosił długich i uczonych przeprosin za wypadki tego wieczora, z czego, co prawda, ani słowa nie, można było zrozumieć z wyjątkiem wzmianki o Centaurach<sup>128</sup> i Lapitach<sup>129</sup>.

---

<sup>128</sup> Centaury - w mitologii greckiej istoty stanowiące pół człowieka, pół konia.

<sup>129</sup> Lapici - według mitologii greckiej lud zamieszkały w Tesalii. Lapici walczyli z Centaurami, którzy usiłowali w czasie uczty weselnej porwać lapickie niewiasty.

## ROZDZIAŁ XII

### **Skrucha i pojednanie**

Waverley nie był przyzwyczajony do picia, chyba w bardzo umiarkowanej mierze. Spał przeto zdrowo do późnej godziny następnego ranka, a obudziwszy się, z przykrością wspomniawszy scenę poprzedniego wieczora. Spotkał go osobisty afront - jego, szlachcica, żołnierza Waverleya. To prawda, że osoba, która go obraziła, nie władała w danej chwili nawet tą skąpą miarą rozumu, jaką ją obdarzyła natura; prawda też, że mszcząc się za tę obrazę, złamałby prawo boże i prawo swojej ojczyzny, że czyniąc to, mógł pozbawić życia młodego człowieka, który być może przyzwoicie spełniał swe społeczne obowiązki, i unieszczęśliwić jego rodzinę; albo też sam mógł zginąć, co stanowi niezbyt miłą alternatywę nawet dla najodważniejszego, gdy rozważa ją na chłodno i sam na sam z sobą.

Wszystko to gnębiło go, lecz pierwotne postanowienie powracało wciąż z nieodpartą siłą. Został osobiście znieważony; a pochodził z rodu Waverleyów i miał oficerską szarżę. Nie było innego wyjścia. Zszedł tedy do małej jadalni na śniadanie z zamiarem pożegnania gospodarzy i napisania do jednego z kolegów pułkowych z prośbą, by się z nim spotkał w oberży na pół drogi między Tully-Veolan a miastem, gdzie kwaterowali - w celu wystosowania do pana Balmawhapple odpowiedniego w tych okolicznościach pisma. Zastał pannę Bradwardine, doglądającą kawy i herbaty, przy stole zastawionym świeżym pieczywem z pszennej, owsianej i jęczmiennej mąki, w kształcie bochenków, ciastek, sucharków i innych przeróżnych odmian, obok jaj, udźców jelenich, baranich i wołowych, wędzonego łososia, powideł oraz wszelkiego rodzaju smakołyków, które samego Johnsona<sup>130</sup> skłoniły do uznania szkockiego śniadania za najlepsze w świecie. Miska gęstej owsianki, a obok niej srebrny dzbanek, napełniony w równych częściach śmietaną i maślanką, oczekiwały na miejscu przeznaczonym dla barona; ale Róża wyjaśniła, że wyszedł wcześniej rano, rozkazawszy, by gościa nie budzono.

Waverley zasiadł w zupełnym prawie milczeniu i z takim wyrazem roztargnienia i zadumy, że nie mogło to wzbudzić w pannie Bradwardine korzystnej opinii o jego konwersacyjnych talentach. Odpowiedział niedbale na parę jej uwag, poruszających sprawy potoczne, czując się tedy nieledwie odepchniętą w usiłowaniach zabawienia go i dziwiąc się w duszy, że szkarłatny mundur nie okrywa lepszego wychowania, pozostawiła go jego

---

<sup>130</sup> Johnson Samuel (1709-1784) - krytyk angielski, autor dzieła pt. *Życie poetów angielskich*. Walter Scott zarzucał Johnsonowi, że nie lubi Szkotów i że nie jest bezstronny w ocenie zagadnień związanych z historią Szkocji. Stąd powoływanie się na pochwałę szkockiego śniadania przez „samego” Johnsona ma charakter uszczypliwy.



własnym rozmyślaniom, w których przeklinał ulubioną konstelację dra Doubleita<sup>131</sup>, Wielką Niedźwiedzicę, sprawczynię wszystkiego złego, minionego i przyszłego. Nagle Edward drgnął i zarumienił się po uszy, gdy spojrzawszy ku oknu, ujrzał barona i młodego Balmawhapple'a idących pod rękę i widocznie pograżonych w głębokiej rozmowie..

- Czy pan Falconer spał tutaj tej nocy? - zapytał żywo.

Róża, niezbyt zachwycona gwałtownością tego pierwszego pytania zwróconego do niej przez młodego gościa, zaprzeczyła sucho, po czym rozmowa znowu utknęła.

W tej chwili ukazał się Saunderson z zawiadomieniem, że pan jego chciałby pomówić z kapitanem Waverleyem w innym pokoju. Z bijącym sercem, choć nie ze strachu, ale z niepewności i niepokoju, Edward posłuchał wezwania. Zastał obu panów stojących obok siebie; baron miał na twarzy wyraz zadowolonej godności, podczas gdy coś jak nadąsanie czy wstyd albo też jedno i drugie chmurzyło śmiałą twarz Balmawhapple'a. Baron wziął go pod ramię i tak, niby to idąc z nim, a właściwie prowadząc go, zbliżał się ku Waverleyowi i stanąwszy na środku pokoju, z wielką uroczystością wygłosił następującą przemowę:

- Kapitanie Waverley, mój młody i zacny przyjaciel, pan Falconer z Balmawhapple, uprosił mnie - ze względu na mój wiek i doświadczenie oraz znajomość reguł i zwyczajów pojedynku, czyli monomachii - ażebym stał się jego rzecznikiem w wyrażeniu ci ubolewania, z jakim wspomina pewne zajście z czasu wczorajszej naszej biesiady, które musiały być wielce niemiłe dla pana, jako że chwilowo służysz istniejącemu obecnie rządowi. Prosi on pana, ażebyś puścił w niepamięć te uchybienia przeciw prawom grzeczności, które własny jego rozum potępia, i ażebyś uścisnął tę rękę, którą do ciebie z przyjaźnią wyciąga.

Edward natychmiast i z naturalną uprzejmością ujął rękę, którą Balmawhapple, a raczej baron w swej roli pośrednika, ku niemu wyciągał.

- Nie można chować urazy za słowa - rzekł - których wypowiedzenia człowiek szlachetny, jak sam oświadcza, żałuje; toteż w tym, co zaszło, należy upatrywać jedynie wpływ nadmiernego ucztowania.

- Bardzo to ładnie powiedziane - odparł baron - niewątpliwie bowiem, jeżeli ktoś jest *ebrius*, czyli zaćmiony - wypadek, który przy uroczystych okazjach może i musi się zdarzyć w życiu człowieka honoru - i jeśli potem, wytrzeźwiawszy całkowicie, odwołuje obrazę, jakiej się słownie dopuścił w stanie podchmielenia - wtedy trzeba przyjąć, że *vinum locutum est*<sup>132</sup>; wypowiedziane słowa przestają go obciążać. A teraz chodźmy na śniadanie i nie myślmy więcej o tej niemiłej sprawie.

---

<sup>131</sup> dr Doubleit - nazwisko znaczące: powtórzenie, powtórne dokonanie czegoś.

<sup>132</sup> *vinum locutum est* (łac.) - mówiło wino.

Muszę wyznać, bez względu na to, co kto o tym pomyśli, że Edward po tak zadowalającym wyjaśnieniu zabrał się do smakołyków panny Bradwardine z większym znacznie zapalem, niż to się zapowiadało z początku. Balmawhapple, przeciwnie, wydawał się zakłopotany i przybity, a Waverley zauważył teraz po raz pierwszy, że rękę nosi na temblaku, co zdawało się tłumaczyć, dlaczego ją tak niezręcznie i z wahaniem podawał. Na zapytanie panny Bradwardine bąknął w odpowiedzi, że koń się z nim przewrócił: a pragnąc widocznie uchylić się tak od tego przedmiotu, jak i od towarzystwa, wstał zaraz po skończonym śniadaniu, uklonił się zgromadzonym i podziękowawszy baronowi, który chciał go zatrzymać na obiad, wsiadł na konia, by powrócić do domu.

Waverley objawił teraz swój zamiar opuszczenia Tully-Veolan dość wcześnie po obiedzie, by zdążyć do miejscowości, gdzie zamierzał nocować; jednakże nie udawana i głęboka przykrość, z jaką zacny i serdeczny starzec przyjął tę wiadomość, zupełnie odebrała mu odwagę trwania przy swym postanowieniu. Ledwie uzyskawszy obietnicę Waverleya, że wizytę swoją przedłuży jeszcze o dni kilka, baron zaczął pracować nad usuwaniem powodów, dla których, jak mniemał, Waverley zamyślał wyjechać wcześniej.

- Nie chciałbym, byś sądził, kapitanie Waverley, że jestem z zasady czy z praktyki obrońcą pijaństwa, chociaż być może, że w czasie wczorajszej uczyty niektórzy nasi przyjaciele, jeżeli nie wprost *ebrii*, czyli pijani, byli co najmniej *ebrioli*, jak starożytni określali tych, co w podochoceniu swym przebrali miarę.

Następnie baron zaprosił swego gościa na konną przejażdżkę i wydał rozkaz, by Dawid Gellatley oczekiwał ich na umówionej ścieżce z Banem i Buskarem.

- Bo dopóki się sezon strzelania nie zacznie, rad bym ci pokazać trochę polowania z psami, a jeśli Bóg da, możemy spotkać kozła. Posłuży on do pokazania, jak gonią moje psy; i dlatego będą one na nas czekać z Dawidem Gellatley.

Waverley wyraził zdziwienie, że przyjaciel jego, Dawidek, zasługiwał na takie zaufanie; ale baron objaśnił go, że ten biedny prostak nie był ani głupcem, *nec naturaliter*<sup>133</sup> idiotą, jak to się określa w orzeczeniu o szaleństwie, ale po prostu narwanym filutem, który bardzo dobrze spełniał każde zlecenie, jakie mu przypadło do gustu, a w swoim obłędzie znajdował wykręt uwalniający go od wszelkich zajęć niemiłych.

Tu panna Bradwardine opowiedziała Waverleyowi, że ten upośledzony na umyśle nieborak niezmiernie kocha muzykę, że głęboko go wzrusza smętna nuta, a lekkie i żwawe tony wprawiają go w niesłychaną wesołość. Pod tym względem ma on zadziwiającą pamięć,

---

<sup>133</sup> *nec naturaliter* (łac.) - ani istotnie, ani zupełnie.

naładowaną urywkami i fragmentami wszelkich melodii i piosenek, które wcale z pewnością niekiedy stosuje w znaczeniu wyrzutu, wyjaśnienia czy satyry. Dawidek bardzo jest przywiązany do tych niewielu, którzy mu okazywali dobroć; jest też równie wrażliwy na każdą doznaną obrazę albo zniewagę, jak zdolny do pomszczenia jej przy sposobności. Ma on tyle jeszcze rozsądku, że go to chroni od całkowitego obłąkania; tyle sprytu, że nikt nie zarzuci mu zupełnego idiotyzmu; wykazuje też pewną zręczność do zabaw na wolnym powietrzu (w czym, jak wiadomo, wielcy głupcy nieraz celowali), wielką dobroć i ludzkość w obchodzeniu się z powierzonymi sobie zwierzętami, szczerą uczuciowość, wybitną pamięć i zdolności do muzyki.

W tej chwili dały się słyszeć odgłosy kopyt końskich na podwórku i głos Dawidka śpiewającego do dwóch wielkich psów gończych:

Hej, goń, a goń, a goń,  
Wzdłuż brzegów i przez błóń,  
Tam gdzie są najzieleńsze gaje,  
Tam gdzie najczystsze są ruczaje,  
Najbujniej paproć liść rozwija,  
Najśłodszą wilgoć cietrzew spija.

Najdłużej rosy lśni różaniec,  
Najpóźniej kończą duszki taniec -  
Śpiesz w ten zakątek opuszczony,  
Samotny, chłodny, a zielony,  
Wzdłuż brzegów i przez błóń,  
Spiesz doń, śpiesz prędko doń!

- Czy te wiersze, które on śpiewa - zapytał Waverley - to urywek jakiejś starej szkockiej poezji, panno Bradwardine?

- Nie zdaje mi się - odpowiedziała. - Ten biedak miał brata, którego niebo, jakby chcąc wynagrodzić za braki Dawidka, obdarzyło niezwykłymi, jak na stosunki wiejskie, talentami. Jeden z wujów zdołał wykształcić go na duchownego szkockiego Kościoła, ale nie mógł uzyskać stanowiska, ponieważ pochodził z naszych włości. Powrócił ze szkoły zrozpaczony i złamany i zaczął gasnąć. Mój ojciec pomagał mu aż do śmierci, która nastąpiła, zanim skończył dziewiętnaście lat. Grał on bardzo pięknie na flecie i mówiono, że miał

wielkie zdolności poetyckie. Brata kochał i współczuł mu, toteż Dawid chodził za nim jak cień i myśliwy, że od niego to przejął wiele urywków piosenek i muzyki, niepodobnej do tutejszej. Ale jeżeli go zapytać, skąd zna pieśń, którą właśnie śpiewa, odpowiada bądź to gwałtownymi i długimi napadami śmiechu, bądź też łzami rozżalenia; jednakże nigdy nie słyszano, by dał jakieś wyjaśnienie albo wspomniał imię brata od czasu jego śmierci.

- Zapewne - rzekł Edward, którego zawsze żywo interesowały opowiadania o zabarwieniu romantycznym - można by się więcej dowiedzieć, gdyby się go szczegółowiej wypytać.

- Być może - odpowiedziała Róża - ale mój ojciec nie chce pozwolić, by ktokolwiek grał na jego uczuciach, dotykając tego przedmiotu.

Baron tymczasem z pomocą Saundersona wdział wielkie buty z cholewami i wzywał już naszego bohatera, by szedł za nim; zstępując po szerokich schodach z brzękiem ostróg i uderzając o każdy słup balustrady końcem swego potężnego biczka, podśpiewywał wzorem myśliwca z czasów Ludwika XIV:

*Pour la chasse ordonnee<sup>134</sup> il faut preparer tout,  
Ho la ho! Vite! Vite debout!*

---

<sup>134</sup> Pour la chasse ordonnee... itd. (franc.) - Trzeba wszystko przygotować do zarządzonych łowów. Ho la ho! Żywo! Żywo ruszać!

## ROZDZIAŁ XIII

### **Dzień spędzony rozsądniej niż poprzedni**

Baron Bradwardine siedząc na swym żwawym i dobrze ujeżdżonym koniu, w siodle o niewysokim łęku z długim czaprakiem w barwach herbowych, stanowił doskonały przykład jeźdźca starej szkoły. Jasny haftowany surdut i obficie szamerowana kamizelka oraz peruca brygadierska z nasadzonym na nią małym stosowanym kapeluszem o złożonych naszyciach składały się na jego strój; towarzyszyło mu dwóch ludzi ze służby, dobrze na koniu siedzących i uzbrojonych w pistolety w olstrach.

W takim to szyku sunął przez wzgórki i przez doliny, budząc podziw w każdym mijanym po drodze obejściu dzierżawców, aż dopóki w porosłej trawą kotlinie nie napotkali Dawida Gellatley prowadzącego dwa ogromne psy gończe z dodatkiem pół tuzina kundli oraz mniej więcej tyluż chłopaków o bosych stopach i gołych głowach, którzy, chcąc pozyskać upragniony zaszczyt udziału w polowaniu, nie omieszkali pieścić mu ucha słodkim tytułem „pana Gellatley”, chociaż prawdopodobnie kiedy indziej nie skąpili mu przezwiska „głupi Dawidek”. Nierzadki to zresztą przykład pochlebstwa względem osób urzędowych i nie ogranicza się bynajmniej do bosych wieśniaków z Tully-Veolan; był on w powszechnym użyciu „sześćdziesiąt lat temu”, jest teraz i będzie też za sześćset lat, jeżeli ten przedziwny zlepek głupoty i łajdactwa, który zwiemy „światem”, istnieć jeszcze będzie wtedy.

Ta bosonoga drużyna miała za zadanie przetrząsnąć krzaki, co też spełniali z takim powodzeniem, że po półgodzinnych poszukiwaniach wypłoszyli rogacza, którego niebawem dopędzono i ubito; baron, niby *earl Percy*<sup>135</sup> z dawnych dni, gnał w ślad za psami na swym białym koniu i wspaniałomyślnie swoim własnym baronowskim *couteau de chasse*<sup>136</sup> wypatroszył i oparł zabitego zwierza. Po dopełnieniu tego obrzędu powiódł on gościa ku domowi ładną okrężną drogą, z której roztaczał się widok na szereg różnych siół i domów; do każdego z nich nawiązywał pan Bradwardine jakąś anegdotę z historii lub genealogii, w sposób nieco dziwaczny ze względu na uprzedzenia i pedanterię opowiadającego, lecz nie pozbawiony też powagi, gdyż gawędy te tchnęły rozsądkiem i szlachetnym uczuciem, a prawie zawsze były ciekawe dzięki zawartym w nich, cennym nieraz wiadomościom.

W samej rzeczy przejażdżka ta sprawiła przyjemność obu panom, których bawiło rozmawianie ze sobą, choć charaktery ich i sposób myślenia były pod wielu względami

---

<sup>135</sup> earl Percy - bohater popularnej ang. ballady Polowanie w górach Cheviot Earl - stara nazwa anglosaska i skandynawska oznaczająca: wódz, książę; arystokratyczny tytuł w Anglii.

<sup>136</sup> couteau de chasse (franc.) - nóż myśliwski.

jaskrawo odmienne. Edward, jak już czytelnikowi wiadomo, był uczuciowy z natury, fanatyczny i romantyczny w swych pojęciach, w lekturze zaś zdradzał silną skłonność do poezji. Pan Bradwardine uosabiał przeciwieństwo tego wszystkiego i szczyił się tym, że kroczy przez życie z „tą samą sztywną, nakrochmaloną, stoicką powagą”<sup>137</sup>, jaka cechowała jego wieczorny spacer po tarasie Tully-Veolan, kiedy to godzinami - istny obraz starego Hardyknute’a<sup>138</sup>:

Statecznym krokiem naprzód szedł,  
Statecznym krokiem wracał...

Co się tyczy literatury, czytywał, oczywiście przy święcie, klasycznych poetów, *Epithalamium*<sup>139</sup> Jerzego Buchanana<sup>140</sup> i „Psalmy” Artura Johnstona<sup>141</sup>, jak również *Deliciae Poetarum Scotorum*, dzieła sir Dawida Lindsaya<sup>142</sup>, rzecz Barboura<sup>143</sup> o Bruce’ie, Ślepego Henryka<sup>144</sup> o Wallace’ie, a także „Szlachetnego pasterza”<sup>145</sup> i „Wiśnię i tarninę”<sup>146</sup>. Ale chociaż w ten sposób składał z czasu swojego ofiarę muzom<sup>147</sup>, byłby z pewnością wołał raczej, by te nabożne lub uczone *apophthegmata*<sup>148</sup>, jak niemniej i opowiadania historyczne, podano mu zwyczajną prozą. Nie umiał się też niekiedy powstrzymać od wyrażenia pogardy dla „pustej i bezużytecznej sztuki składania wierszy”, w której - zdaniem jego - celował obecnie jeden tylko Allan Ramsay, perukarz.

Lecz chociaż co do tego przedmiotu baron i Edward różnili się jak niebo i ziemia, zgadzali się za to w dziedzinie historii, która interesowała ich obu. Baron, co prawda, obciążał swą pamięć wyłącznie faktami - zimnym, suchym, twardym zarysem, kreślonym przez

---

<sup>137</sup> stoicka powaga - tu oznacza spokojną postawę człowieka wobec wszelkich trudności życiowych. Stoicyzm głoszony przez filozofa greckiego Zenona upatrywał doskonałość w zupełnym zapanowaniu nad własnymi namiętnościami.

<sup>138</sup> Hardyknute - postać z ballady poetki ang. Elżbiety Wardlaw (1677-1727)

<sup>139</sup> Epithalamium (z grec.) - poemat napisany na cześć pary małżeńskiej itp.

<sup>140</sup> Buchanan George (1506-1582) - poeta szkocki.

<sup>141</sup> Johnston Arthur (1587-1641) - szkocki poeta piszący po łacinie, tłumacz psalmów i wydawca dzieła Łacińskie utwory szkockich poetów.

<sup>142</sup> Lindsay David (1490-1555) - poeta szkocki, autor wierszy alegorycznych i satyr.

<sup>143</sup> Barbour John (um. w 1396 r.) - autor historycznej epepei o współczesnym mu królu szkockim Robercie Bruce.

<sup>144</sup> Ślepy Henryk - Harry Blind - rzekomy autor poematu o sir Williamie Wallace, obrońcy niepodległości szkockiej, stracony z rozkazu króla ang. Edwarda I w 1305 r.

<sup>145</sup> „Szlachetny pasterz” (The Gentle Shepherd) - poemat napisany w 1725 r. przez Allana Ramsaya (1686-1758), jednego z pierwszych zbieraczy i wydawców szkockich pieśni ludowych.

<sup>146</sup> „Wiśnia i tarnina” - poemat (The Cherry and the Slac) napisany przez Aleksandra Montgomery (1545-1610).

<sup>147</sup> muzy - w mitologii greckiej dziewięć cór Zeusa, z których każda była opiekunką jakiegoś rodzaju sztuki; poezji, komedii, tragedii, muzyki, tańca, krasomówstwa itd.

<sup>148</sup> apophthegmata (grec.) - sentencje, krótkie, zwiezie pamiętne powiedzenia mędrców, filozofów itp.

dziejopisów. Edward, przeciwnie, lubił wypełniać i zaokrąglać ten szkic ciepłym zabarwieniem wyobraźni, nadającej światło i życie działaczom i mówcom wieków minionych. Mimo tak różnych upodobań bawili się wzajemnie doskonale. Drobiazgowo opowiadania i potężna pamięć pana Bradwardine dostarczyły Waverleyowi świeżych tematów, takich właśnie, nad jakimi wyobraźnia jego lubiła pracować, otwierały one przed nim kopalnię nowych zdarzeń i charakterów. Prócz tego pan Bradwardine lubił mówić o przeżyciach swej młodości, spędzonej w wojsku i w obcych krajach, przy czym wiele miał ciekawych szczegółów do opowiedzenia o wodzach, pod którymi służył, i działaniach, których był świadkiem.

Obaj panowie powrócili do Tully-Veolan w bardzo dobrych humorach i wzajem z siebie zadowoleni; Waverley z pragnieniem dokładniejszego poznania człowieka, który wydał mu się oryginalny i interesujący, a obdarzony był pamięcią obejmującą ciekawy szereg dawnych i współczesnych faktów, Bradwardine ze swej strony skłonny był uznać, że Edward to *puer*, a raczej *iuvenis bonae spei et magnae indolis*<sup>149</sup>, młodzieniec wolny od tej gorączkowej płochości, która niecierpliwie się lub gardzi mową i radą starszych - i na tej podstawie wróżył mu wielkie powodzenie w przyszłej karierze życiowej. Nie było tego dnia nikogo obcego oprócz pana Rubricka, którego wiedza i sposób mówienia, jako duchownego i uczonego, doskonale harmonizowały z upodobaniami barona i jego gościa.

Wkrótce po obiedzie baron, jak gdyby dla zadokumentowania, że wstrzeźliwość jego nie jest tylko teoretycznej natury, zaproponował złożenie wizyty w apartamentach Róży, które nazwał jej *Troisieme Etage*<sup>150</sup>. Przeprowadził przeto Waverleya przez parę takich długich i krętych korytarzy, jakie budowali starożytni architekci - tworząc niby rozmyślnie łamigłówkę dla mieszkańców planowanych przez siebie domów - doszedłszy zaś do ich końca, zaczął wstępować po dwa stopnie na raz po bardzo stromych, wąskich i kręconych schodach, by uprzedzić córkę o zbliżaniu się panów Rubricka i Waverleya, którzy podążali za nim wolniejszym krokiem.

Wdrapawszy się na samą górę po tym prostopadłym korkociągu. - przy czym nieledwie doznali zawrotu głowy - dotarli oni do wysłanej dywanem sionki, służącej za przedpokój *Sanctum Sanctorum*<sup>151</sup> Róży, z niej zaś przeszli do saloniku. Był to niewielki, ale miły pokój z oknami na południe, zawieszony makatami i ozdobiony prócz tego dwoma

---

<sup>149</sup> *puer* (*iuvenis*) *bonae spei et magnae indolis* (łac.) - chłopiec (młodzieniec) rokujący duże nadzieje i obdarzony dużymi zdolnościami.

<sup>150</sup> *Troisieme Etage* (franc.) - trzecie piętro.

<sup>151</sup> *Sanctum Sanctorum* (łac.) - świętość świętych.

obrazami, z których jeden przedstawiał jej matkę w stroju pasterki z robro<sup>152</sup>, drugi zaś - barona w wieku lat dziesięciu, w niebieskim ubraniu, haftowanej kamizelce, koronkowym kapeluszu i peruce z harcapem<sup>153</sup>, trzymającego łuk w ręku. Edward uśmiechnął się pomimo woli, patrząc na ten kostium i na dziwaczne podobieństwo między okrągłą, gładką i rumianą twarzyczką spoglądającą nań z portretu a chudym i brodatym obliczem oryginału, w którego zapadłych oczach i pociemniałej cerze podróże, trudy wojenne i podeszły wiek wyryły swe ślady.

Baron widząc to, roześmiał się również.

- Doprawdy - rzekł - obraz ten był kobiecą zachcianką mojej kochanej matki; potem pozowałem do portretu już tylko raz jeden, i to na specjalną, kilkakrotnie powtarzaną prośbę marszałka księcia Berwick.

Zacny starzec nie wspomniał o tym, co później pan Rubrick opowiedział Edwardowi, a mianowicie, że ksiączę uczynił mu ten zaszczyt dlatego, iż pierwszy wdarł się w wylom pewnego fortu w Sabaudii w czasie pamiętnej kampanii w roku 1709 i tam - sam jeden - prawie przez dziesięć minut bronił się halabardą, zanim pomoc nadeszła. Oddając sprawiedliwość baronowi, trzeba zaznaczyć, że choć wcale skory do rozwodzenia się, nawet przesadnie, o godności i znaczeniu swego rodu, jako człowiek prawdziwej odwagi, nigdy nie napomynał o własnych dzielnych czynach.

Z wewnętrznej komnaty swego apartamentu wyszła teraz panna Róża, by powitać ojca i jego przyjaciół. Robótki, którymi się zajmowała, wyraźnie świadczyły o guście wrodzonym, wymagającym tylko dalszego pokierowania. Ojciec nauczył ją francuskiego i włoskiego, a dzieła kilku cenniejszych autorów w tych językach zdołały jej półki.

Próbował także uczyć ją muzyki, ponieważ zaczął od teoretycznych zawiłości, których sam może dobrze nie ogarnął, przeto korzyść z tego odniosła niewielką - tyle że potrafiła akompaniować sobie do śpiewu na klawikordzie<sup>154</sup>; nawet to było w owym czasie rzadką rzeczą w Szkocji. Za to panna Róża śpiewała wdzięcznie, z uczuciem i zrozumieniem, co mogłoby służyć za przykład niejednej damie o wybitniejszym znacznie talencie muzycznym.

Wiszący krużganek przed oknami jej saloniku zdradzał inne jeszcze zamiłowania Róży; pełen był kwiatów wszelkiego rodzaju, które wzięła ona pod swą specjalną opiekę. Przez wystającą wieżyczkę wchodziło się na ten gotycki balkon, skąd roztaczał się przepiękny

---

<sup>152</sup> robro - szeroka, sztywna suknia kobieca.

<sup>153</sup> harcap - warkocz noszony dawniej przez mężczyzn.

<sup>154</sup> klawikord - dawny instrument muzyczny klawiszowy; prototyp fortepianu.



widok. Właściwy ogród, otoczony wysokimi murami, leżał poniżej i patrzącemu z góry wydawał się zmniejszony do rozmiarów małego kwietnika, podczas gdy widok sięgał dalej na zalesiony wąwóz, gdzie rzeczka to ukazywała się, to znów ginęła wśród kęp drzewnych.

Oko spocząć mogło bądź to na skałach, które tu i ówdzie wznosiły z doliny swe ciężkie, to znów strzeliste kształty, bądź też na szlachetnym zarysie zrujnowanej wieży, która stąd przedstawiała się w całej swej okazałości, groźnie ze swego wzgórza panując nad rzeką. Na lewo widać było kilka chat i część wioski, szczyt pagórka zakrywał resztę. Wąwóz kończył się stawkiem zwanym Loch Veolan, dokąd wlewała swe wody rzeczka; tafla jego błyszczała teraz promieniami zachodzącego słońca. Dalsza okolica tworzyła przestrzeń otwartą i urozmaiconą, chociaż pozbawioną lasu; nic nie przerywało widoku, aż po linię dalekich, błękitnych wzgórz, stanowiących południową krawędź doliny. W tym to uroczym zakątku panna Bradwardine kazała podać kawę.

Widok starej baszty, czyli fortalicje, wywołał wspomnienie różnych anegdot rodzinnych i opowieści o szkockim rycerstwie, które baron wygłaszał z zapalem. Wystający szczyt skały, zwieszającej się w pobliżu wieży, nosił nazwę Ambony św. Swithina<sup>155</sup>. Wiązał się z tą miejscowością szczególniejszy przesąd, o którym pan Rubrick opowiedział kilka ciekawych szczegółów. Różę zaś poproszono o zaśpiewanie legendy, do której wplótł ten motyw pewien wioskowy poeta:

Który - równie nieznany, jak ród, skąd był powstał -  
Wsławił innych imiona, sam bez nazwy został.

Słodycz jej głosu i proste piękno melodii wniosły do utworu cały urok, jakiego poeta mógł pragnąć, a wiersz jego tak bardzo potrzebował. Wątpię, czy bez tej okrasz nada się on do czytania, chociaż przypuszczam, że forma, w jakiej go podajemy, została nieco poprawiona przez Waverleya, celem dostosowania do smaku tych, którzy nie lubują się w czystej staroświecczyźnie.

#### AMBONA ŚW. SWITHINA

Kiedy pani zasiadła w Swithina ambonie,  
Rosa padła wilgotna na jej włosy i skronie;

---

<sup>155</sup> św. Swithin - właściwie Swithim (silny niedźwiadek) - biskup w Winchester zmarły w 562 r. którego postać była tematem fantastycznych opowieści i legend.

Lica blade, lecz wzroku ona swego nie chowa:  
Śmiało było spojrzenie, śmiało na ustach słowa.

Powtarzała zaklęcia Swithina i czary.  
Gdy o północy chodził przez lasy i jary,  
A spotkawszy się z Zmorą, wędrującą wśród nocy.  
Kazał zejść jej na ziemię, kazał słuchać swej mocy.

Kto się zasiać ośmieli w ambonie Swithina,  
Kiedy Zmory nadchodzi w noc Zaduszek godzina,  
Jeśli zaklnie tę wiedźmę, trzy pytania jej zada.  
Wiedźma musi odpowiedź dać mu rada nierada.

Pana wezwał król Robert na wojenne wyprawy -  
Już trzy lata minęły, odkąd poszedł w bój krwawy;  
Nie ma wieści: żyw jeszcze czy też zginął od rany -  
Pani chce się dowiedzieć, jaki los mu pisany.

Drży i lęka się, jąka, gdy chce zaklęć rzec słowa...  
Co za głosy to dziwne? Puszczyk huczy czy sowa?  
Czy to śmiech, co zamiera, czy to jęk, który kona?  
Czy to może głos straszny ze strumyka demona?

Jęk się wiatru rozwiewa, coraz ciszej i ciszej.  
Szumu fali w potoku pani prawie nie słyszy -  
Była cisza groźniejsza niżli ryk dzikiej burzy,  
Gdy się z zimnej mgły szarej postać ducha wynurzy...

- Przykro mi, że muszę sprawić zawód towarzystwu, a zwłaszcza kapitanowi Waverleyowi, który tak pięknie i poważnie słucha; lecz jest to tylko fragment, chociaż myślę, że muszą istnieć dalsze zwrotki, opisujące powrót barona z wojen i jak panią znaleziono „zimną jak kamień na progu domostwa”.

- Jest to jedna z tych fikcji - zauważył pan Bradwardine - które wczesną historię wybitnych rodzin zniekształciły w czasach zabobonu: tak jak Rzym i inne starożytne narody

miały swoje cuda, o czym dowiadujemy się od starych dziejopisów.

- Mój ojciec dziwnie nie dowierza wszystkiemu, co cudowne, kapitanie Waverley - wtrąciła Róża - a nawet nie uląkł się, gdy kiedyś cały synod prezbiteriańskich duchownych uciekał w popłochu przed nagłym ukazaniem się szatana.

Widać było, że Waverley pragnie usłyszeć coś więcej.

- Czy mam opowiedzieć całą tę historię, nie poprzestając na odśpiewaniu piosenki? No dobrze... Onego czasu żyła stara kobieta, nazwiskiem Joanna Gellatley, którą miano w podejrzeniu, iż jest czarownicą, na tej nieomyślnej podstawie, że była bardzo stara, bardzo brzydka, bardzo biedna i że miała dwóch synów, z których jeden był poetą, a drugi obłąkanym; - dopust ten, wedle zgodnego zdania sąsiadów, dotknął ją za grzeszne czary. Trzymano ją więc cały tydzień uwięzioną na wieży parafialnego kościoła, dawano skapo pożywienia i nie pozwalano spać, aż w końcu sama uwierzyła - podobnie jak oskarżyciele - że jest czarownicą; w takim to trzeźwym i przytomnym stanie umysłu sprowadzono ją, by odbyła szczerą spowiedź, przyznając się publicznie do uprawiania czarów wobec całej szlachty wigowskiej i okolicznych duchownych. Mój ojciec pojechał tam dla dopilnowania rzetelności przewodu między duchowieństwem a czarownicą, gdyż była ona rodem z jego dóbr. A gdy czarownica wyznała, że szatan ukazywał się i zalecał do niej w postaci przystojnego, czarnego jegomościa - co, gdyby pan znał biedną, starą kaprawą Joannę, mało przynosiło zaszczytu jego gustowi - gdy tedy słuchacze słuchali zaciekawieni, a pisarczyk spisywał drżącą ręką protokół” ona - przechodząc nagle z bełkotliwego tonu, jakim przemawiała, w ostry wrzask - zawołała: „Strzeżcie się! Widzę czarta siedzącego w waszym gronie!”

Wszystkich ogarnęło tak gwałtowne przerażenie, że rozpoczęła się paniczna ucieczka. Szczęśliwi jeszcze byli ci, co znajdowali się blisko drzwi. Ileż jednak potracono kapeluszy, wstążek, mankietów i peruk, zanim tłum zdołał wydostać się z kościoła, gdzie pozostał sam tylko uparty, prelatysta<sup>156</sup>, by załatwić na własne ryzyko sprawę czarownicy i jej wielbiciela.

- *Risu solvuntur tabulae*<sup>157</sup> - rzekł baron - gdy otrząsnęli się z popłochu, zbyt byli zawstyżeni, by wznawiać proces przeciw Joannie Gellatley<sup>158</sup>.

Opowiadanie to dało sposobność do długiej dyskusji o:

---

<sup>156</sup> prelatysta - zwolennik Kościoła anglikańskiego.

<sup>157</sup> *Risu solvuntur tabulae* (łac.) - prawa zostały przez śmiech zniszczone.

<sup>158</sup> Historia dopiero co opowiedziana miała się podobno zdarzyć w południowej Szkocji. Pewien stary ksiądz, na tyle rozumny i stanowczy, by oprzeć się panice, jakiej ulegli jego koledzy, zdołał ocalić biedną chorą istotę od okrutnego losu, jaki by ją niewątpliwie spotkał. Sprawozdania z procesów o czary stanowią jeden z

Wszystkich tych pustych myślach i fantazjach,  
Zjawach, wróżbiarstwach, wizjach i prorocत्वach,  
Wymysłach, snach i chorobliwych sądach,  
O wszystkim, co zmyślone, kłamstwem jest i bajką.

Na takich to rozmowach i słuchaniu romantycznych legend, do których owa była wstępem, szedł naszemu bohaterowi drugi wieczór pobytu we dworze Tully-Veolan.

## ROZDZIAŁ XIV

### **Odkrycie. Waverley zadomawia się w Tully-Veolan**

Nazajutrz Edward wstał wcześniej i w ciągu rannej przechadzki dokoła domu i obejścia natrafił nagle na małe podwórko przed psiarnią, gdzie przyjaciel jego Dawidek doglądał właśnie swych czworonogich pupili. Jednym szybkim rzutem oka poznał Waverleya, lecz odwracając się natychmiast, jak gdyby go nie zauważył, zaczął śpiewać urywek ze starej ballady:

„Młodzieniec miłością cię olśni, odurzy

*(Rozkosznie ptaszyny pieśń dzwoni).*

Dojrzały mąż kocha i głębiej, i dłużej -

*(Drozd główkę pod skrzydło swe kłoni).*

Młodzieńca gniew ogniem słomianym się pali

*(Rozkosznie ptaszyny pieśń dzwoni).*

Gniew męża jest silny jak krwawy żar stali

*(Drozd główkę pod skrzydło swe kłoni).*

Młodzieniec się chełpi przy hucznej wieczerzy

*(Rozkosznie ptaszyny pieśń dzwoni).*

Lecz rankiem mąż mieczem za cześć twą się zmierzy

*(Drozd główkę pod skrzydło swe kłoni).*

Waverley nie mógł nie zauważyć, że Dawidek z jakimś satyrycznym naciskiem wygłaszał te wiersze. Toteż przybliżył się i usiłował pytaniami dobyć z niego, co miał na myśli; jednakże Dawidek nie ujawniał ochoty do wyjaśnień, będąc na tyle sprytny, by szaleństwem zasłonić swą przebiegłość. Edward hic od niego dowiedzieć się nie mógł prócz tego, że dziedzic z Balmawhapple wrócił wczoraj rano do domu „z butami pełnymi krwi”. W ogrodzie jednak spotkał swego kamerdynera, który już dłużej nie próbował ukrywać, że wyuczywszy się hodowli kwiatów u Sumacka i S-ki w Newcastle<sup>159</sup>, przykładał czasem rękę do kwiatowych grządek, by dogodzić swemu panu i pannie Róży. Po szeregu pytań Edward odkrył na koniec, z przykrym uczuciem zdziwienia i wstydu, że uległość i przeprosiny Balmawhapple’a były następstwem jego spotkania z baronem, odbytego, gdy on sam spoczywał jeszcze w pościeli, oraz że w pojedynku tym młodszy przeciwnik został

---

<sup>159</sup> Newcastle - najbliższej Szkocji położone duże miasto angielskie (hrabstwo Northumberland).

rozbrojony i raniony w prawe ramię.

Do głębi zgryziony tą wiadomością, Edward odszukał życzliwego sobie gospodarza i z przejściem jął dowodzić, że ten wyrządził mu krzywdę, uprzedzając jego rozprawienie się z panem Falconerem, gdyż okoliczność ta - ze względu na jego wiek i zawód wojskowy - może mu być wielce za złe poczytana. Baron uniewinniał się szerzej, niż to się do powtórzenia tu nadaje. Utrzymywał, że sprawa dotyczyła ich obu i że Balmawhapple, wedle kodeksu honorowego, nie mógł żadnemu z nich odmówić satysfakcji - czemu też zadośćuczynił w stosunku do niego przez zbrojną rozprawę, wobec Edwarda zaś przez przeprosiny, które uczyniły spotkanie zbytecznym, a skoro raz zostały przyjęte, zakończyć musiały całą sprawę ostatecznie.

Opisawszy tak drobiazgowo przebieg zdarzeń w Tully-Veolan w pierwszych dniach pobytu Edwarda celem zapoznania czytelnika z mieszkańcami dworu, nie uważamy już za potrzebne śledzić z równą dokładnością dalszego rozwoju wzajemnych stosunków Edwarda z gospodarzami. Być może, iż inny młodzieniec przyzwyczajony do weselszego towarzystwa znudziłby się rozmowami z tak zapalonym wielbicielem heraldyki, jakim był baron; Edward jednak znajdował miłe urozmaicenie w towarzystwie panny Bradwardine, która chciwie słuchała uwag jego o literaturze i okazywała w odpowiedziach wielką trafność sądu. Z właściwą sobie łagodnością usposobienia przestudiowała posłusznie, a nawet z przyjemnością, zakres lektury wyznaczony jej przez ojca, chociaż obejmował on nie tylko kilka grubych foliałów historii, ale i niezwykle okazałe zbiory polemik kościelnych. W heraldyce, na szczęście, zadowolił się małym, polecając jej przeczytać tylko dwa tomy *in folio* Nisbeta<sup>160</sup>. Róża była dla ojca żenicą oka. Stała jej żywość, usłużność w świadczeniu drobnych przysług, których by mu nigdy nie przyszło na myśl od niej wymagać, jej piękność przypominająca mu rysy ukochanej małżonki, jak również szczerą pobożność i szlachetną wielkoduszność mogłyby usprawiedliwić przywiązanie ojca najbardziej w swym dziecku rozkochanego.

Troskliwość jego o nią nie sięgała jednak w tę dziedzinę, w której, wedle ogólnego zdania, najskuteczniej się ona objawia: w staraniu mianowicie o zabezpieczenie jej przyszłości, czy to za pomocą wielkiego posagu, czy też bogatego małżeństwa. W myśl starego układu, prawie wszystkie dobra ziemskie barona przejść miały po jego śmierci na dalekiego krewnego; toteż przypuszczano, że panna Bradwardine szczupłe tylko otrzyma wiano, gdyż sprawy gotówkowe zacnego szlachcica nazbyt długo pozostawały pod wyłączną

---

<sup>160</sup> *in folio* Nisbeta – *in folio* (łac.) - bardzo duży format książkowy, którego jedna karta stanowi połowę całego arkusza drukarskiego. Nisbet Aleksander - autor dzieła pt. System heraldyki (Herbarz).

opieką intendenta Macwheeble, aby się można było spodziewać wydatniejszego osobistego spadku.

Przyznać się godzi, że w uczuciu serdecznego przywiązania intendent stawiał swego patrona i jego córkę zaraz na drugim (choć wielce oddalonym) miejscu po samym sobie. Sądził on, że można byłoby uchylić ograniczenie następstwa do męskiej tylko linii, i nawet wystarał się o odpowiednie orzeczenie (za darmo, jak się tym chwalił) u pewnego wybitnego szkockiego prawnika, któremu przedłożył to zagadnienie przy sposobności częstego zasięgania porad w innych sprawach. Ale baron nie chciał o tym słyszeć. Przeciwnie, znajdował przewrotną przyjemność w chwaleniu się tym, że baronia Bradwardine - to lenno w linii męskiej, jako iż pierwotne nadanie datuje się z owej wczesnej epoki, gdy kobiety uważano za niezdolnione do dziedziczenia takich dóbr, zgodnie z *Les coutumes de Normandie: c'est l'homme qui se bast et qui conseille*<sup>161</sup>: „Nie - powiadał - bez wątpienia, *procul dubio*, wiele niewiast, nie mniej wartych od Róży, wykluczono, by otworzyć dla mnie drogę do spadku, i niech Bóg zachowa, bym uczynił cokolwiek, co by się sprzeciwiało woli moich przodków albo miało uszczuplać prawa mego krewnego, Malcolma Bradwardine z Inchgrabbit, zacnej, choć zubożałej gałęzi naszej rodziny”.

Pan Macwheeble, otrzymawszy jako pierwszy minister tak stanowczą odpowiedź od swojego władcy, dalej już przy zdaniu swym się nie upierał, lecz zadowalał się przy każdej zdarzonej sposobności utyskiwaniem przed Saundersonem, ministrem spraw wewnętrznych, na upartą samowolę barona oraz układaniem planów skojarzenia Róży z młodym panem Balmawhapple, właścicielem pięknych dóbr nie nazbyt obciążonych i człowiekiem bez zarzutu, wstrzemięźliwym niczym święty - byle się wódkę trzymało z dala od niego, a jego od wódki - który, krótko mówiąc: nie miał wad żadnych prócz tej, że lubił niekiedy wdawać się w lekką kompanię, jak na przykład z Jinkerem, handlarzem końskim, i Gibby Gaethroughwit, kobziarzem z Cupar.

- Są to szaleństwa, panie Saunderson, ale on się poprawi, poprawi... - odrzekł intendent.

- Jak skwaśniałe piwo latem - dorzucił Dawid Gellatley znajdujący się przypadkiem bliżej, niż przypuszczali.

Panna Bradwardine z całą prostotą i ciekawością samotnicy pochwyciła sposobność zwiększenia swego zasobu wiadomości z zakresu literatury, jaką jej nasunęła bytność Edwarda. Posłał on do swej kwatery po kilka książek dla niej, te zaś otworzyły jej źródła

---

<sup>161</sup> *Les coutumes de Normandie: c'est l'homme...* itd. (starofranc.) - wg zwyczajów normandzkich: tylko mężczyzna walczy i służy radą.

rozkoszy, o jakich dotąd nie miała pojęcia. Najlepsi angielscy poeci różnego rodzaju i inne dzieła literatury pięknej stanowiły część tej cennej przesyłki. Muzyka, a nawet kwiaty poszły w zaniechanie, toteż Saunders nie tylko dąsał się, lecz nawet buntował przeciw robocie, za którą teraz rzadko kiedy słyszał słowo podziękia.

Nowe te przyjemności zyskiwały tym więcej uroku, iż dzieliła je z bratnią duszą. Gotowość Edwarda do objaśnienia, recytowania i tłumaczenia trudniejszych ustępów czyniła pomoc jego nader cenną, a romantyczny polot jego umysłu zachwycał Różę, zbyt młodą i niedoświadczoną, by mogła zauważyć jego słabe strony. Kiedy mówił o przedmiotach, które go zajmowały - a czuł się zupełnie swobodny - Edward zwykł wyrażać się płynnie, a nawet nieco kwieciste, którą to właściwość uważać można za broń równie potężną w pozyskiwaniu niewieściego serca, jak uroda, układność, sława i majątek. W tym całym przebywaniu młodych z sobą tkwiło przeto wciąż, wzrastające niebezpieczeństwo dla spokoju duszy biednej Róży, niebezpieczeństwo tym groźniejsze, że ojciec jej nazbyt pochłonięty studiami i przejęty swą godnością nie pomyślał ani na chwilę, by dziewczynie mogło co grozić.

Córy domu Bradwardine stały w jego mniemaniu - podobnie jak latorośle panującego domu Burbonów czy austriackiego - wysoko ponad burzliwym morzem namiętności mogących oszołomić głowy pospolitszych niewiast; obracały się w innej sferze, przeżywały inne uczucia, podlegały innym prawom niż te, które rządzą pustą i kapryśną miłością. Jednym słowem, zamykał oczy tak stanowczo na naturalne następstwa zażyłości Edwarda z Różą, że całe sąsiedztwo wysnuło stąd wniosek, iż otworzył je na korzyści małżeństwa pomiędzy córką swoją a bogatym, młodym Anglikiem, i orzekło, że nie jest on wcale tak głupi, jakim się okazywał w wielu wypadkach, gdzie chodziło o własny jego interes.

Gdyby jednakże baron rzeczywiście żywił podobny zamiar, obojętność Waverleya stałaby się nieprzebytą dla tego projektu zaporą. Róża Bradwardine zresztą, chociaż piękna i miła, nie miała tego właśnie rodzaju urody ani zalet, które działają na romantyczną wyobraźnię bardzo młodych ludzi. Zbyt była szczerą, zbyt ufna, zbyt dobra; miłe to zalety niewątpliwie, ale niweczące wrażenie czegoś zagadkowego i cudownego, w co młodzieniec o bujnej imaginacji lubi przystrajać królową swego serca. Sama poufałość ich stosunków sprawiła, iż nie czuł dla niej nic innego, prócz braterskich względów dla miłej i wykształconej siostry - podczas gdy uczucia biednej Róży stopniowo, choć sobie z tego nie zdawała sprawy, przybierały odcień gorętszy.

Powinienem być nadmienić, że Edward, posyłając do Dundee po książki, prosił jednocześnie o przedłużenie urlopu i otrzymał je. List jego komendanta zawierał jednak przyjacielskie wskazówki, by nie spędzał czasu wyłącznie z osobami szanownymi skądinąd,



ale zapewne niedobrze usposobionymi do rządu, którego uznać nie chciały odmawiając złożenia poddańczej przysięgi. Dodawał nadto, że podobnie jak politycznym zasadom Waverleya mogło zagrażać przestawanie z ludźmi cywilnymi tego pokroju, również i jego przekonania religijne narażone były na błędny wpływ episkopalnego duchowieństwa, które tak przewrotnie pracowało nad ustanowieniem królewskiej prerogatywy w sprawach wiary.

Ten ostatni zarzut zapewne skłonił Waverleya do przypisania wszystkiego uprzedzeniom swojego dowódcy. Rozumiał całą delikatność postępowania pana Bradwardine, który unikał wszelkich dyskusji mogących choć w najśłabszej mierze zachwiać jego politycznymi poglądami, chociaż baron sam nie tylko był zdecydowanym stronnikiem wygnanej rodziny, ale w różnych czasach miewał powierzane sobie ważne zlecenia w jej usługach. Świadom tedy, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo na punkcie lojalności, Edward czuł, iż wyrządziłby krzywdę staremu przyjacielowi stryja, gdyby jedynie dla zadośćuczynienia nieuzasadnionej podejrzliwości opuścił dom, gdzie był mile widziany i sam tak przyjemnie korzystał z gościnności. Toteż odpisał bardzo ogólnikowo, zapewniając swego zwierzchnika, że lojalności jego nie grozi żadne niebezpieczeństwo, i pozostał nadal miłym gościem i zażyłym domownikiem dworu w Tully-Veolan.

## ROZDZIAŁ XV

### Napad rabunkowy i jego skutki

Gdy już pobyt Edwarda w Tully-Veolan trwał około sześciu tygodni, zauważył on pewnego ranka, gdy jak zwykle przed śniadaniem odbywał poranną swą przechadzkę, oznaki niezwyklego zamieszania. Cztery bose dziewczki folwarczne, każda z pustym skopkiem w rękę, biegały w niezwykle podnieceniu, wydając głośnie okrzyki zdziwienia, zgrozy i oburzenia. Ponieważ niczego nie można się było dowiedzieć od tej oszalałej gromadki, zdobywającej się tylko na nic nie tłumaczące okrzyki jak: „Boże, zmiłuj się!” i „Och, moi państwo!”, Waverley podążył na tak zwany przedni podwórzec, gdzie ujrzał pana Macwheeble pędzącego aleją na swym siwym kucyku z całym możliwym pośpiechem. Przybywał, jak się zdawało, na spieszne wezwanie, za nim zaś biegło ze dwudziestu chłopów ze wsi, bez wielkiego trudu dotrzymujących mu kroku.

Przechodząc stamtąd w stronę ogrodu, Waverley ujrzał samego barona przemierzającego tam i z powrotem szybkimi i wielkimi krokami całą długość tarasu; twarz jego chmurzyła się obrażoną dumą i oburzeniem, a z całego zachowania widać było wyraźnie, że każde zapytanie o powód jego poruszenia sprawiłoby mu co najmniej przykrość, a może nawet i uraziło. Toteż Waverley, nie zaczepiając go wcale, wsunął się do domu i podążył w kierunku małej jadalni, gdzie zastał swoją młodą przyjaciółkę Różę, która wprawdzie nie objawiała gniewu ojca, zasepionej powagi pana Macwheeble ani rozpaczki dziewcząt folwarcznych, ale wydała mu się zgnębiona i zamyślona. Jedno słowo wystarczyło do wyjaśnienia tajemnicy.

- Będzie pan miał nieświetne śniadanie, kapitanie. Gromada zbójców napadła na nas tej nocy i zabrała wszystkie nasze dojne krowy.

- Gromada zbójców?

- Tak jest, rabusiów z sąsiednich gór. Byliśmy od nich zupełnie wolni, dopóki płaciliśmy okup<sup>162</sup> Fergusowi Mac-Ivor Vich Ian Vohr, ale ojciec mój uznał, że dalsze opłacanie się ubliża jego stanowisku i rodowi, i w ten sposób doszło do takiego nieszczęścia. Nie tyle wartość tego bydła martwi mnie, panie kapitanie Waverley; ale ojca mojego tak dotknęła ta bezczelność, że przy jego odwadze i porywczoci lękam się, by nie zechciał siłą odbijać swej własności; jeżeli nawet sam ujdzie cało, gotów poturbować kilku z tych

---

<sup>162</sup> Pobieranie okupu było przed 1745 rokiem praktykowane przez wielu najwybitniejszych przywódców, którzy czyniąc to twierdzili, iż siłami swymi podtrzymują prawo i zapewniają; ochronę, której nie mogły udzielić władze wśród zamętu panującego w kraju. (Z przypisów autora. „Okup”).

dzikusów, a wtedy pokój pomiędzy nami a nimi skończyć się może raz na zawsze; my zaś nie możemy bronić się jak za dawnych czasów, gdyż rząd odebrał nam wszystką broń, a mój kochany ojciec jest taki popędliwy... Ach, co też się z nami stanie!

Tu biedną Różę opuściła odwaga i wybuchnęła potokiem łez. W tejże chwili wszedł baron i zburczał córkę tak ostrymi słowami, jakich jeszcze Waverley nigdy z ust jego nie słyszał.

- Czy to nie wstyd - mówił - tak zachowywać się przy obcym, by pomyślał, że łyżę wylewasz za stadem rogatego bydła i dojnych krów, niby córka pierwszego lepszego gospodarza z Cheshire<sup>163</sup>! Kapitanie Waverley, muszę cię prosić, byś sobie życzliwie wytłumaczył jej zmartwienie, które pochodzić może, a w każdym razie powinno jedynie stąd, że dobra ojcowskie wystawione są na rabunek i grabież ze strony zwykłych złodziei i żebraków, podczas gdy nam nie wolno mieć w domu bodaj dwudziestu muszkietów czy to ku obronie, czy dla odebrania swego.

Intendent Macwheeble wszedł zaraz potem i potwierdził to oświadczenie uwiadamiając barona głosem smętnym, że choć ludzie z pewnością posłuchaliby rozkazów jego dostojności, jednakże nie ma widoków zarządzenia skutecznego pościgu; przecież tylko osobista służba jego dostojności posiada szable i pistolety, a napadu dokonało dwunastu górali uzbrojonych po zęby wedle krajowego obyczaju. Wygłosiwszy tę żalospną wiadomość, przybrał pozę milczącego przygnębienia, kręcąc powoli głową na podobieństwo wahadła ustającego zegara; w końcu stanął bez ruchu, pochyliwszy ciało pod ostrzejszym jeszcze kątem niż zwykle i wypiąwszy odpowiednio tylną część swej osoby.

Baron tymczasem kroczył po pokoju w milczącym oburzeniu, aż wreszcie utkwiał wzrok w starym portrecie, przedstawiającym rycerza w zbroi; spoglądał on srogo spod sterty włosów, z których część opadała mu z głowy na ramiona, a reszta sięgała od górnej wargi i podbródka aż po środek piersi.

- Ten oto mąż, kapitanie Waverley, dziadek mój - rzekł - w dwieście koni, zebranych na własnych włościach, rozgromił i zmusił do ucieczki ponad pięciuset tych góralskich zbójów, którzy zawsze byli *lapis offensionis cl petra scandali* - kamieniem obrazy dla sąsiednich Nizin - rozgromił ich, powiadam, gdy odważyli się zuchwale zejść z gór, by niepokoić tę okolicę w czasie wojny domowej w Roku Pańskim tysiąc sześćset czterdziestym i drugim. A teraz, mój panie, ci niegodziwcy tak śmiało postępować ze mną, jego wnukiem!

Tu nastąpiło przykre milczenie, po czym wszyscy obecni, jak zwykle w trudnym

---

<sup>163</sup> Cheshire - rolnicze hrabstwo w zach. - śród. Anglii, słynne z hodowli rasowego bydła.

położeniu, zaczęli dawać, każdy oddzielnie, rozmaite rady. *Alexander ab Alexandro* proponował wysłać kogoś, kto by się ułożył z rabusiami, gdyż ci, jak mniemał, chętnie zwróciliby łup otrzymując po talarze od sztuki. Intendent był zdania, że taki układ równałby się paktowaniu ze złodziejami, co od strony prawnej byłoby niebezpieczne, i radził wyprawić w góry zręcznego pośrednika, który by wytargował możliwie korzystne warunki, działając rzekomo we własnym imieniu, tak by osoba barona wcale w tej sprawie nie występowała. Edward doradzał zwrócenie się do najbliższego garnizonu po oddział żołnierzy i urzędowy nakaz aresztowania; natomiast Róża, o ile nieśmiałość jej na to pozwalała, starała się podsunąć projekt zapłacenia zaległych sum okupu Fergusowi Mac-Ivor Vich Ian Vohr, który, bez wątpienia, łatwo mógł spowodować zwrot bydła, gdyby go odpowiednio nastrojono.

Żadna z tych propozycji nie zyskała uznania w oczach barona. Myśl o układach, jawnych czy pośrednich, uważał za bezwzględnie hańbiącą; pomysł Waverleya dowodził tylko, jak słabo orientował się w stanie kraju i partii politycznych ścierających się w nim; biorąc zaś pod uwagę III okoliczności sprawy z Fergussem Mac-Ivor Vich Ian Vohr, baron nie chciał nawet słyszeć o jakichkolwiek względem niego ustępstwach.

W rezultacie głosował nadal za wojną i proponował rozesłać umyślnych do Balmawhapple'a, Killancureita, Tulluelluma i innych sąsiadów, narażonych na podobne rabunki, z zaproszeniem do udziału w wyprawie, „a wtedy, mój panie, doczekają się ci *nebulones nequissimi*<sup>164</sup>, jakk ich Leslaeus<sup>165</sup> nazywa, losu ich poprzednika, Kakusa<sup>166</sup>:

*Elisos oculos, et siccum sanguine guttur*<sup>167</sup>.

Tu intendent, którego bynajmniej nie zachwyciły te bojowe pomysły, wyciągnął olbrzymi zegarek przypominający barwą cynową patelnię i niemal dorównujący jej rozmiarami, po czym zauważył, że minęło już południe, a rabusiów widziano w wąwozie Bally-Brough krótko po wschodzie słońca; tak więc, zanim siły sprzymierzone zdążą się zgromadzić, będą już oni wraz ze swym łupem tak daleko, że najszybszy pościg nie zdoła ich dogonić, gdy zaś ukryją się w tych pustkowiach i bezdrożach, dalsza pogoń nie byłaby wskazana, a wytropienie ich stałoby się doprawdy niemożliwe.

Była to niezaprzeczonego prawda. Naradę więc przerwano, nie powziąwszy żadnej uchwały, co się nieraz zdarza i w ważniejszych okolicznościach; stanęło tylko na tym, że intendent prześle własne trzy mleczne krowy do dworu na użytek rodziny barona, a w zamian

---

<sup>164</sup> *nebulones nequissimi* (łac.) - najniegodziwsi rozbójnicy

<sup>165</sup> Leslaeus - Lesli John (1526-1596) - autor historii Szkocji w języku szkockim i łacińskim.

<sup>166</sup> Kakus - w mitologii rzymskiej olbrzym zionący ogniem, syn Wulkana. Uprowadził pędzone przez Herkulesa bydło olbrzyma Geriona i został przez Herkulesa zabity.

<sup>167</sup> *Elisos oculos, et siccum sanguine guttur* (łac.) - oczy na wierzch wyszły, wyszło zalane krwią

sam warzyć będzie dla swego domu cienkie piwo. Na ten układ podsunięty przez Saudersona, pan Macwheeble przystał chętnie, powodowany zarówno usłużnością dla rodziny pracodawcy, jak i wewnętrznym przekonaniem, że tak czy inaczej grzeczność ta opłaci mu się dziesięciokrotnie.

Korzystając z tego, że baron także się oddalił w celu wydania koniecznych rozkazów, Waverley zapytał, czy ów Fergus o niemożliwym do wymówienia nazwisku jest hersztem zbójców w tym okręgu.

- Herszt zbójców! - odpowiedziała śmiejąc się Róża. - Jest to pan wielce dostojny i możny naczelnik niezależnej gałęzi potężnego góralskiego klanu, a cieszy się powszechnym szacunkiem tak dla własnej potęgi, jak i ze względu na rozległy krąg swych krewnych, przyjaciół i sprzymierzeńców.

- Cóż w takim razie może on mieć wspólnego ze zbójcami? Czy jest urzędnikiem sądowym lub członkiem komisji pokoju? - dopytywał się Waverley.

- Raczej komisji wojennej, gdyby taka istniała - odpowiedziała Róża. - Jest on sąsiadem groźnym dla swych wrogów i utrzymuje liczniejszą świątę pieszą niż niejeden posiadacz dóbr trzykrotnie większych. Co się tyczy jego związków ze złodziejami, tego ja dobrze wytłumaczyć nie potrafię, ale najzuchwalszy z nich nie ukradnie jednej sztuki temu, kto posyła „czarny okup” Vich Ian Vohrowi.

- A co to jest „czarny okup”?

- Jest to rodzaj daniny za opiekę, którą panowie i dziedzice z okolic nizinnych, leżących w pobliżu gór, płacą któremuś z naczelników góralskich, ażeby im sam krzywdy nie czynił i chronił ich przed innymi; toteż gdy komu ukradną bydło, trzeba mu tylko dać znać, a postara się o jego zwrot albo też może zagarnie krowy z jakiegoś dalszego osiedla, z którym toczy spór, i da je poszkodowanemu w zamian za poniesioną stratę.

- A czy taki rodzaj góralskiego Jonathana Wilda<sup>168</sup> przyjmowany bywa w towarzystwie i uchodzi za człowieka honoru?

- Tak dalece - odrzekła Róża - że zatarg między moim ojcem a Fergusiem Mac-Ivor zaczął się na zjeździe hrabstwa, gdzie Fergus domagał się pierwszeństwa przed wszystkimi obecnymi panami z Nizin, a tylko mój ojciec nie chciał mu go przyznać. Wtedy począł on szydzić z ojca, że przecież podlega mu, płacąc stały, haracz, na co ojciec wpadł w straszny gniew; pan Macwheeble bowiem, który takie sprawy załatwia na własną rękę, potrafił

---

gardło - zdanie z Eneidy Wergiliusza omawiające zwycięstwo Herkulesa nad Rakusem.

<sup>168</sup> Wild Jonathan - postać historyczna, bohater napisanej ok. 1743 r. powieści Fieldinga pt. Historia J. Wilda - dżentelmena.

utrzymać ten okup w tajemnicy przed ojcem, zaliczając go w rachunkach na poczet podatków. I byłoby pomiędzy nimi doszło do pojedynku, ale Fergus Mac-Ivor wyraził się wielce dwornie, że nigdy by nie podniósł ręki na siwą głowę człowieka tak poważanego, jakim jest mój ojciec. Ach, jakżebym ja chciała, jakbym chciała, by ten spór poszedł w niepamięć!

- A czy widziała pani kiedy, panno Bradwardine, imię pana Mac-Ivor, jeśli takie nosi miano?

- Nie, on tak się nie nazywa. A wyrażenie imię pan uznałby za obelgę, choć pan, jako Anglik, nie zrozumie tego. Ludzie z Nizin nazywają go, podobnie jak innych panów, od imienia jego dóbr Glennaquoich, górale zaś zwą go Vich Ian Vohr, synem Jana Wielkiego; my tutaj, na podgórzu, nadajemy mu oba te nazwiska na przemian.

- Obawiam się, że mój angielski język nigdy nie zdobędzie się na wymówienie któregośkolwiek z tych imion.

- A jednak jest to bardzo dobrze ułożony i przystojny człowiek - mówiła dalej Róża. - Siostra zaś jego, Flora, zalicza się do najpiękniejszych i najwykształceńszych panien w tej okolicy; została wychowana w klasztorze we Francji i była wielką moją przyjaciółką, zanim przyszło do tego sporu. Kochany kapitanie Waverley, niech pan spróbuje wpływem swoim nakłonić mojego ojca do zgody.

Przekonana jestem, że to dopiero początek naszych kłopotów, gdyż Tully-Veolan nigdy nie był bezpieczną i spokojną siedzibą, kiedy z góralami żyliśmy w niezgodzie. Gdy miałam zaledwie lat dziesięć, odbyło się tu za ogrodem starcie pomiędzy ich dwudziestoosobową bandą a ojcem moim i jego służbą - kule wybiły kilka szyb w północnych oknach, tak byli blisko. Trzech zabitych górali wniesiono tu, zawiniętych w ich własne pledy, i ułożono na kamiennej podłodze w sieni; nazajutrz rano przyszły ich żony i córki klaszcząc w ręce, zawodząc tren żałobny i wykrzykując, po czym wyniosły zwłoki, a kobziarze szli przodem, grając. Przez sześć tygodni nie mogłam spać i wciąż się zrywałam, gdyż zdawało mi się, że słyszę te okropne krzyki i że widzę ciała leżące na stopniach, sztywne i owinięte w okrwawione tartany<sup>169</sup>. A po pewnym czasie nadjechał oddział z garnizonu w Stirling z nakazem sądowym od przewodniczącego trybunału czy innego w tym rodzaju dostojnika i zabrał nam wszystką broń; jakże więc mamy się ratować, jeżeli przyjdą tu w większej sile?

Waverley aż zadrzał słysząc opowiadanie tak bardzo podobne do któregoś z jego snów na jawie. Oto dziewczę zaledwie siedemnastoletnie, tak łagodne, zarówno z wyglądu, jak i z

---

<sup>169</sup> tartan - wielobarwna tkanina w kratę.

usposobienia, było naocznym świadkiem sceny, którą on uważał za możliwą tylko w dawnych czasach, i mówiło o niej spokojnie, licząc się z prawdopodobieństwem powtórzenia się jej w każdej chwili. Obudziła się w nim od razu ciekawość i zwiększające ją jeszcze lekkie poczucie niebezpieczeństwa. Mógł doprawdy powiedzieć jak Malvolio<sup>170</sup>: „Nie łudzę się już teraz, puszczając wodze wyobraźni! Jestem rzeczywiście w krainie wojennych i romantycznych przygód, a niebawem się pokaże, jaki będzie mój w nich udział”.

Wszystkie ujawnione oto szczegóły, dotyczące stanu rzeczy w tym kraju, wydały mu się zarówno niespodziewane, jak i trudne do wiary. Słyszał co prawda nieraz o zbójcach góralskich, ale nie miał pojęcia o systematycznym sposobie przeprowadzania przez nich rabunków; nie wiedział też, że wielu góralskich naczelników zgadzało się na nie milcząco, a nawet do nich zachęcało, uważając te najazdy za pożyteczne z dwu powodów; raz - że ćwiczyły członków ich klanów we władaniu bronią, a po wtóre - ze względu na podsycanie pożądanego terroru wśród nizinnych sąsiadów, z których ściągali oni okup pod pozorem opiekuńczej opłaty.

Intendent Macwheeble, który wszedł wkrótce potem, jeszcze szerzej rozgadał się o tym przedmiocie.

- Od niepamiętnych czasów - zapewniał on naszego bohatera - ci wyjęci spod prawa złodzieje, rabusie i wszelkiego rodzaju straceńcy z gór skupiali się w gromady z przyczyny wspólnoty rodowej oraz w celu popełniania różnych kradzieży, napaści i najazdów na uczciwych ludzi z Nizin; nie tylko rabowali wszelką ich własność, pieniądze, zboże, bydło, konie, nierogaciznę, owce, ruchomości gospodarcze i domowe, słowem wszystko, co im się podobało, ale co więcej, porywali jeńców, nakładali na nich okup albo wymuszali zobowiązania, że wrócą do niewoli, co wszystko jest wyraźnie zakazane w Księdze Statutowej, tak aktem z roku 1567, jak i wielu innymi; statuty te ze wszystkimi późniejszymi dodatkami były stale haniebnie przekraczane i lekceważone przez tych żebraków, złodziei i wyrzutków społeczeństwa, stowarzyszonych w związku dla wyżej opisanych celów złodziejstwa, rozboju, podpalania, morderstwa, *raptus mulierum*, czyli uprowadzania siłą kobiet, i innych podobnych zbrodni.

Snem się wydawało Waverleyowi, że tego rodzaju czyny rozbójnicze nie dziwiły nikogo, że się o nich mówiło gładko, jak o czymś normalnym, co zdarza się codziennie w najbliższym sąsiedztwie - i że on, żeby o czymś podobnym posłyszeć, nie potrzebował przepływać morza, lecz pozostawał wciąż na dobrze skądinąd urządzonej Wyspie Wielkiej

---

<sup>170</sup> Malvolio - postać komiczna ze sztuki Szekspira Wieczór trzech króli Zjawia się niespodziewany sprzymierzeniec.

Brytani.



## ROZDZIAŁ XVI

### **Zjawia się niespodziewany sprzymierzeniec**

Baron powrócił w godzinie obiadowej, w znacznej mierze odzyskawszy spokój i dobry humor. Nie tylko potwierdził on opowiadania, które Edward słyszał od Róży i od pana Macwheeble, ale dodał jeszcze wiele anegdot z własnego doświadczenia, dotyczących gór i ich mieszkańców. Naczelnicy, jak twierdził, byli na ogół ludźmi honorowymi wysokiego rodu, których słowo było prawem dla wszystkich należących do wspólnego pokolenia czy klanu.

- Nie wypada im z pewnością - rzekł - jak się to zdarzyło niedawno, stawiać swojej genealogii, opartej przeważnie na pustych i wielbiących rymach bardów<sup>171</sup>, na równi ze świadectwami starożytnych nadań królewskich, udzielonych wybitnym rodom z Nizin przez rozmaitych monarchów Szkocji; lecz zuchwała ich pycha i zarozumiałość doprowadzają do tego, że potrafią oni wywyższać się ponad tych, którzy takie dowody posiadają, jak gdyby sami dzierżyli swoje ziemie na mocy pergaminów.

To, nawiasem mówiąc, wcale nieźle wyjaśniło przyczynę nieporozumienia pomiędzy baronem a jego góralskim sprzymierzeńcem. Tymczasem gospodarz opowiadał jednak tyle dalszych barwnych szczegółów o obyczajach i zwyczajach - tej patriarchalnej rasy, że Edward z najwyższym zaciekawieniem zapytał, czy można by bez większych obaw odbyć wycieczkę w sąsiednie góry, których mroczna grań już przedtem pociągała go ku sobie. Baron zapewnił swojego gościa, że nie ma nic łatwiejszego, byle tylko ostatni zatarg został pomyślnie załatwiony; on sam może mu dać listy do wielu wybitnych naczelników, którzy przyjmą go z najwyższą uprzejmością i gościnnością.

Gdy o tym mówiono, drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wszedł wpuszczony przez Saundersa Saundersona góral w pełnym rynsztunku bojowym. Gdyby nie to, że Saunders z całkowitym spokojem odgrywał rolę mistrza ceremonii względem tej marsowej postaci, ani zaś pan Bradwardine, ani Róża nie okazali wzruszenia, Edward byłby pomyślał, że gość ten przybywa we wrogich zamiarach. Choć jednak najwidoczniej tak nie było, zachnąć się musiał na dotychczas sobie nie znany widok górala w pełnym narodowym stroju. Gaelczyk<sup>172</sup> ten był tęgim, ciemnowłosym młodzieńcem niskiego wzrostu, sute fałdy jego pledu potęgowały jeszcze wrażenie siły, jaka biła z jego postaci. Krótki kilt, czyli spódniczka, ukazywał

---

<sup>171</sup> bardowie - wędrowni poeci i śpiewacy ludów celtyckich (Galów, Bretończyków, Irlandczyków, Szkotów)

<sup>172</sup> Gaelczyk - Celt; nazwą tą podkreślano pochodzenie górali od najstarszych szczepów celtyckich, przybyłych na Wyspę Wielkiej Brytanii.

muskularne, kształtne jego członki; worek z koziej skóry, obok zwykłej broni, a więc puginału i stalowego pistoletu, zwieszał mu się z przodu u pasa; przy czapce nosił krótkie pióro, co wskazywało, że należy go poczytywać za *Duinhe-wassel*, czyli szlachcica: u boku miał szablę, na ramieniu tarczę, w jednej zaś ręce trzymał długą, lekką hiszpańską strzelbę. Drugą ręką ściągnął czapkę, a wtedy baron, który dobrze musiał znać ich obyczaje, natychmiast przemówił doń z wielką godnością, nie wstając z krzesła i zachowując się w sposób, który Edwardowi nasunął na myśl księcia przyjmującego poselstwo.

- Fergus Mac-Ivor Vich Ian Vohr - odpowiedział ambasador dobrą angielszczyzną - pięknie was pozdrawia, baronie na Bradwardine i Tully-Veolan, i żałuje że gęsta chmura zaległa między wami a nim, nie pozwalając wam dojrzeć przyjaźni i związków, jakie z dawien dawna łączyły oba rody; prosi on was, żeby ta chmura mogła odpłynąć i żeby pomiędzy klanem Ivor a domem Bradwardine zagościł ponownie dawny stan rzeczy, kiedy to jajko zastępowało im skalnę u strzelby, a nóż biesiadny - szablę. Ale i wy również wyrażcie żal, iż zaległa chmura, by nikt już potem nie zapytał, czy spłynęła ona z gór w dolinę, czy też z doliny podniosła się ku góróm; nikt bowiem nie uderza pochwą, kto nie dostał wprzód szablą, a biada temu, kto by poświęcił przyjaciela dla burzliwej chmury wiosennego ranka.

Na to baron Bradwardine odpowiedział z właściwą sobie powagą, że wie, iż naczelnik klanu Ivor dobrze życzy królowi; żałuje tedy, iż chmura stanęła pomiędzy nim a szlachcicem o tak zdrowych zasadach, „bo kiedy ludzie się skupiają, słaby jest ten, który nie ma brata”.

Ponieważ ta wymiana słów wydała się zupełnie zadowolająca, przeto dla uczczenia pokoju między obu dostojnikami baron kazał przynieść dzban wódki i napełniwszy szklanę, wypił za zdrowie i powodzenie Mac-Ivora z Glennaquoich, na co ambasador celtycki, chcąc odwzajemnić jego uprzejmość, wychylił potężny kielich tego samego szlachetnego płynu z najlepszymi życzeniami dla domu Bradwardine.

Dopełniwszy w ten sposób ratyfikowania preliminarów<sup>173</sup> ogólnego traktatu pokojowego, poseł usunął się, by omówić z panem Macwheeble załatwienie kilku podrzędnych klauzul, którymi nie uważano za potrzebne fatygować barona. Odnosiły się one prawdopodobnie do przerwania wypłat i widocznie intendent znalazł sposób zadowolenia sprzymierzeńca tak, by pan jego nie przypuszczał, iż godność jego na tym ucierpiała. Tyle w każdym razie wiadomo, że gdy pełnomocnicy zdążyli wypróżnić butelkę wódki - co na tak wprawne głowy nie wywarło większego wrażenia, niż gdyby ją wylano na łby dwóch niedźwiedzi w bramie zamkowej alei - Evan Dhu Maccombich, wywiedziawszy się wszelkich

---

<sup>173</sup> ratyfikowanie preliminarów - zatwierdzenie układów przedwstępnych, stanowiących przygotowanie do późniejszych trwałych układów i postanowień.

szczegółów o rabunku minionej nocy, oświadczył gotowość puszczenia się natychmiast w pościg za bydłem.

- Nie może ono być zbyt daleko - zauważył. - Złamali wprawdzie kość, ale nie zdążyli wyssać szpiku.

Bohatera naszego, który towarzyszył Evanowi Dhu w czasie prowadzenia śledztwa, uderzył spryt, z jakim zbierał on wiadomości, a także dokładność i ścisłość wyprowadzanych z nich wniosków. Z drugiej strony Evanowi Dhu schlebiała zainteresowanie, z jakim Waverley śledził przeprowadzone badania, oraz zaciekawienie, które objawiał wobec zwyczajów i stosunków góralskich. Bez długich korowodów zaprosił on Edwarda, by mu towarzyszył w niedalekiej wycieczce w góry - z dziesięć lub piętnaście mil - i zobaczył miejsce, dokąd zaprowadzono bydło; w końcu zaś dodał:

- Jeżeli jest tak, jak przypuszczam, nigdy w życiu nie widział pan jeszcze takiego miejsca i nigdy go też nie zobaczy, chyba że zaprowadzę pana ja albo ktoś do mnie podobny.

Bohater nasz, podniecony w swej ciekawości nadzieją zobaczenia siedziby góralskiego Kakusa, był jednak na tyle ostrożny, że wybadał, czy może przewodnikowi zaufać. Zapewniono go, że nie byłby w żadnym razie zaproszony, gdyby zachodziło tu najmniejsze niebezpieczeństwo, że jedyne, co mu grozi, to trochę zmęczenia; że zaś Evan zaproponował mu, by w powrotnej drodze spędził jeden dzień w domu jego naczelnika, gdzie może liczyć na wygodne pomieszczenie i najgościnniejsze przyjęcie, całe przedsięwzięcie nie przedstawiało na pozór większych trudności. Róża, co prawda zbladła na wieść o tym, lecz ojciec jej, ujęty zapalem młodzieńca, nie starał się odradzać wyprawy, w której nie dostrzegł żadnego istotnego niebezpieczeństwa: toteż niebawem zarzucono torbę z przyborami podróżnymi na plecy mającego mu towarzyszyć strażnika łowieckiego, po czym nasz bohater z lekką strzelbą w rękę wyruszył w drogę wraz z Evanem Dhu i dwoma dzikimi góralami z jego świty, z których jeden dźwigał na ramieniu drąg zakończony czekanem, zwany *Lochaber-axe*<sup>174</sup>, a drugi długą strzelbą na kaczki.

Na zapytanie Edwarda Evan dał mu do zrozumienia, że ta zbrojna eskorta bynajmniej nie była mu potrzebna jako straż, ale jedynie - tu pociągnął i poprawił swój pled z miną pełną godności - dla przyzwoitego wystąpienia w Tully-Veolan, jak na mlecznego brata Vich Ian Vohra przystało.

- Ach - rzekł - gdybyście wy, sascy *Duinhe-wassel* (angielscy panowie), mogli zobaczyć naszego naczelnika z ogonem!

---

<sup>174</sup> Lochaber – axe - drąg opatrzone w topór i hak, który służy! góralom za broń i jest pomocą przy wspinaniu się.

- Z ogonem? - powtórzył Edward zdziwiony.

- Tak jest - to znaczy, z całą jego zwykłą świtą, gdy odwiedza równych sobie. Jest tam - mówił dalej, przystając, prostując się dumnie i wyliczając na palcach poszczególne osobistości orszaku naczelnika - jest tam jego *hanchman*, czyli adiutant, potem bard, czyli poeta, potem *bladier*, czyli mówca dla wygłaszania oracji do wielkich panów, których on odwiedza, dalej *gilly-more*, nosiciel broni, dźwigający jego szablę, tarczę i strzelbę, prócz tego *gilly-casfliuch*, który przenosi go na plecach przez potoczki i strumienie, *gilly-comstrian* do prowadzenia jego konia za uzdę po stromych i trudnych ścieżkach, *gilly-trushharnish* do noszenia plecaka, wreszcie kobziarz z pomocnikiem i jeszcze może z pół tuzina młodych chłopców, którzy nie mają określonych obowiązków, tylko należą do orszaku wodza i są na jego rozkazy.

- A czy wasz naczelnik stale utrzymuje wszystkich tych ludzi? - zapytał Waverley.

- Wszystkich tych - odpowiedział Evan - a ponadto wiele jeszcze innych zacnych głów, które nie wiedziałyby, gdzie się przytulić, gdyby nie wielka stodoła w Glenaquoich.

Podobnymi opowiadaniem o wielkości naczelnika, w czasie pokoju czy wojny, Evan Dhu urozmaicał drogę, aż przybliżyli się do tych potężnych gór, które Edward dotychczas widział tylko z oddali. Wieczór już zapadł, gdy wchodzili w jeden z ogromnych wąwozów utrzymujących łączność pomiędzy górską a niziną krainą. Ścieżka nadzwyczaj stroma i kamienista wiała się w górę żlebem pomiędzy dwiema olbrzymimi skałami wzdłuż koryta, które spieniony potok, huczący daleko w dole, wyłobił sobie z biegiem wieków. Parę skośnych promieni słońca, zachodzącego teraz, dosięgało wody w jej ciemnym łożysku i ukazywało ją częściowo powstrzymywaną setkami głazów i rozbitą na setki wodospadów. Poniżej ścieżki, w stronę potoku, otwierała się po prostu przepaść ze sterczącym tu i ówdzie złomem granitu lub karłowatym drzewem, które kręte swe korzenie zapuściło w szczeliny skały. Z prawej strony, nad ścieżką, wznosiła się niemal równie niedostępna ściana skalna, ale wzgórze po stronie przeciwnej okryte było zaroślami, w których znać było pewną domieszkę świerków.

- To jest wąwóz Bally-Brough - objaśnił Evan - którego dawnymi czasy dziesięciu ludzi z klanu Donnochie broniło przeciw stu drabom z Nizin. Groby zabitych jeszcze dziś oglądać można w głębi, po drugiej stronie paleniska - jeżeli macie, panie, dobre oczy, dojrzycie zielone plamy wśród wrzosów... A oto orzeł! Takich ptaków wy w Anglii nie znacie... Chce poszukać sobie wieczerzy na polanach pana z Bradwardine, ale zaraz pošlę mu kulkę.

Wypalił z broni swej, jak zapowiedział, ale chybił wspaniałego władcę skrzydlatych

zastępów, który, nie zważając na ten zamach, majestatycznym lotem poszybował dalej ku południowi. Tysiące drapieżnych ptaków - jastrzębi, kań, ścierwników i kruków - spłoszonych z legowisk, które już obrały sobie na noc, zerwało się na odgłos strzału, mieszając chrapliwe i niezgodne swe krakania z jego echem i z rykiem górskich wodospadów. Evan, trochę zmieszany tym, że chybił celu, kiedy właśnie zamierzał popisać się zręcznością, pokrył zawstydzenie gwizdząc marsza wojennego i nabiwszy broń szedł dalej w milczeniu wąwozem.

Otwierał się on na pokrytą wrzosem, wąską halę pomiędzy dwiema wysokimi górami. Potok towarzyszył im w dalszym ciągu, a oni szli dalej w górę wzdłuż jego zakrętów, przechodząc raz po raz z jednego brzegu na drugi, przy czym Evan Dhu za każdym razem proponował Edwardowi, by dał się przenieść jego ludziom; jednakże bohater nasz, który zawsze dobrze chodził, nie korzystał z tej pomocy, przez co widocznie rósł w opinii swego przewodnika, jako że nie obawiał się zamoczyć nóg. Bo też w istocie zależało mu na tym, aby zmienić niekorzystne pojęcie, jakie widocznie wyrobił sobie Evan o zniewieściałości ludzi z Nizin, a przede wszystkim Anglików.

Przez gardziel tej hali dotarli na czarne bagnisko, ogromnie rozległe, pełne wielkich dołów, które z niemałym trudem i pewnym niebezpieczeństwem przebywali, po śladach, które tylko góral mógł odnaleźć. Sama ścieżka czy raczej ta część 'trochę twardszego gruntu, po którym podróżni to szli, to brodzili, była nierówna, urywana, w wielu zaś miejscach moczarowata i niepewna. Miejscami grunt tak się zapadał, że trzeba było przeskakiwać z jednej kępy na drugą, gdyż przestrzeń pomiędzy nimi nie byłaby uniosła ciężaru człowieka. Była to łatwa sprawa dla górali obutych w odpowiednie do tego kierzce o cienkiej podeszwie i poruszających się szczególnym, skocznym krokiem, ale Edward, nieprzywykły do tego rodzaju ćwiczeń, poczuł się niespodziewanie zmęczony.

Gasnący półmrok świecił im do końca tego Serbońskiego bagniska<sup>175</sup>, ale opuścił ich zupełnie u stóp stromego i bardzo kamienistego wzgórza, na które musieli się teraz żmudnie wspinać. Noc jednakże była pogodna i dość jasna, toteż Waverley, wyężdżając całą swą duchową energię dla przezwyciężenia zmęczenia, maszerował dalej dzielnie, lecz w sercu zazdrościł swoim góralskim towarzyszom, którzy w dalszym ciągu, bez żadnej oznaki ubytku sił, postępowali naprzód szybkim, kołyszącym się krokiem, na pół biegiem, choć musieli już przejść w ten sposób, jak obliczał, z jakie piętnaście mil<sup>176</sup>.

---

<sup>175</sup> Serbońskie bagnisko - bagno w Egipcie, w którym miała zatonać część armii perskiej ok. 350 r. przed n. e.

<sup>176</sup> mila angielska - ok 1600 metrów.

Po przebyciu góry i zejściu po drugim jej zboczach „ku gęstemu lasowi Evan Dhu odbył jakąś naradę z przybocznymi swymi rodakami, po czym bagaż Edwarda przeniesiono z ramion gajowego na plecy jednego z górali, a samego gajowego z drugim góralem wysłano w innym kierunku. Na zapytanie, co to rozstanie ma oznaczać, odpowiedziano Waverleyowi, że mieszkaniec Nizin musi udać się na noc do odległej o jakie trzy mile stąd osady, gdyż Donald Bean Lean, zacny mąż, który, jak przypuszczano, wziął w posiadanie bydło, nie bardzo lubi, żeby obcy zbliżali się do jego schronienia, czyniąc wyjątek tylko dla szczególnie dobrych znajomych. Edward uznał w duchu słuszność takiego postępowania i otrząsnął się z chwilowego podejrzenia, jakie obudziło się w nim na myśl, że w takim miejscu i o takiej godzinie zostaje pozbawiony jedynego swego towarzysza z Nizin. Evan zaś zaraz potem dodał, że „lepiej będzie, jeżeli pójdzie naprzód i zapowie ich nadejście Donaldowi Bean Lean, ponieważ ukazanie się *Sidier Roy* (czerwonego żołnierza) mogłoby w przeciwnym razie sprawić nieprzyjemną niespodziankę”. Nie czekając na odpowiedź, puścił się naprzód bardzo szybkim krokiem i za chwilę zniknął z oczu.

Waverley pozostał teraz sam z własnymi myślami, gdyż towarzysz jego z wojenną siekierą bardzo słabo mówił po angielsku. Szli przez gęsty, ciągnący się bez końca las świerkowy, gdzie ścieżka w otaczającej ich ciemności zupełnie była niewidoczna. Góral jednakże, instynktem widocznie wiedziony, odnajdywał ją bez wahania, - a Edward szedł tuż za nim krok w krok.

Gdy już w ten sposób kawał drogi odbyli w milczeniu, Edward zapytał wreszcie, czy daleko jeszcze do kresu wędrówki.

- Zatoka... trzy, cztery mile... ale że *Duinhe-wassel* trochę zmęczony... to Donald mógłby... to jest może... przysłać *curragh*.

Ta odpowiedź wcale Edwarda nie objaśniła. Owo obiecane *curragh* mogło okazać się równie dobrze człowiekiem, jak koniem, wozem lub półkoszkiem; więcej nie można było od człowieka z siekierą wycisnąć; powtarzał on wciąż swoje:

- Tak! *Curragh!*

Niebawem jednak zaczął Edward rozumieć, co to znaczy, gdy wyszedłszy z lasu, znalazł się nad brzegiem szerokiej rzeki czy jeziora, gdzie przewodnik dał mu do zrozumienia, że muszą spocząć na chwilę. Wschodzący teraz księżyc ukazał niejasno obszar rozciągającej się przed nim wody i bezkształtne, niewyraźne zarysy otaczających ją gór. Chłodne, lecz łagodne powietrze letniej nocy orzeźwiło Waverleya po szybkim i utrudzającym marszu, a zapach brzoź, skąpanych wieczorną rosą, roztaczał dokoła cudowną słodycz.

Edward miał teraz czas pławić się w poczuciu romantyczności swego położenia. Siedział oto nad brzegiem nieznanego jeziora, pod przewodnictwem dzikiego krajowca, którego mowy nie znał, udając się w gościnę do jaskini jakiegoś sławnego straceńca w rodzaju Robin Hooda<sup>177</sup> czy Adama O’Gordona<sup>178</sup>, a działo się to w nocy wśród przeszkód i trudów, i jeszcze do tego rozłączony był z towarzyszem, opuszczony przez swego przewodnika. Cóż za rozmaitość szczegółów, w których lubować się mogła romantyczna wyobraźnia, podniecona w dodatku poczuciem co - najmniej niepewności lub nawet niebezpieczeństw. Jediną okolicznością nie licującą z całą resztą był powód tej wycieczki - dojne krowy barona! Toteż tego ponizającego szczegółu Wołał nie przywozić sobie na pamięć.

Zatopionego w tych marzeniach trącił lekko towarzysz i wskazując niemal na wprost siebie, poza jezioro, powiedział:

- Tam zatoka!

Mały mrugający punkcik światła pojawił się we wskazanym kierunku, a zwiększając stopniowo rozmiar swój i blask załśnił wreszcie jak meteor na skłonie widnokregu.

Podczas gdy Edward przyglądał się temu zjawisku, dał się słyszeć daleki plusk wioseł. Miarowy odgłos przybliżał się coraz bardziej i naraz z tej samej strony rozległ się głośny gwizd. W odpowiedzi na ten sygnał towarzysz jego z czekanem natychmiast zagwizdał równie ostro i donośnie, a po chwili łódź z załogą złożoną z czterech czy pięciu górali skierowała się ku małemu zakolu, obok którego siedział Edward. Wyszedł on na spotkanie przybyłych wraz ze swym towarzyszem; po czym dwaj silni górale dopomogli mu wsiąść do łodzi, a ledwie w niej zasiadł, chwycili ponownie za wiosła i z wielką szybkością poczęli pruć wody jeziora.

---

<sup>177</sup> Robin Hood - legendarna postać angielskiego bohatera-zbójnika, broniącego ubogich przed uciskiem możnych. Niektórzy historycy uważają go za przywódcę powstania chłopskiego z 1381 r.

<sup>178</sup> Adam O’Gordon - okrutny rozbójnik ze szkockiej ballady Kryjówka góralskiego rabusia.

## ROZDZIAŁ XVII

### **Kryjówka góralskiego rabusia**

Cała gromadka zachowywała milczenie, przerywane tylko monotonna, półgłosną nutą gaelickiej pieśni, którą jak gdyby w tempie powolnego *recitativa*<sup>179</sup> śpiewał sternik, a do taktu której wiosła zanurzały się w wodzie. Światło, ku któremu się zbliżali, jaśniało coraz szersze, czerwieńsze i bardziej migotliwe. Okazało się, że było to po prostu wielkie ognisko, ale czy paliło się na wyspie czy na lądzie, tego Edward nie potrafił rozróżnić. Oglądany teraz, czerwony, płomienny krąg zdawał się spoczywać na samej tafli jeziora, przypominając ów wóz ognisty, w którym Zły Geniusz ze wschodniej bajki przebywa lądy i morza. Skoro podpłynęli bliżej, okazało się, że ognisko rozpalono u stóp wielkiej, ponurej turni czy ściany skalnej wznoszącej się stromo nad samym brzegiem wody; przednia jej strona, zabarwiona ciemną czerwienią przez odbłask płomienia, stanowiła dziwny, a nawet groźny kontrast z resztą wybrzeża, które od czasu do czasu częściowo oświecała blada poświata księżyca.

Łódź zbliżała się do brzegu, a Edward mógł teraz rozpoznać, że wielkie ognisko, obficie podsycane gałęziami świerków przez dwie postacie, które w czerwonym jego blasku wyglądały jak demony, rozniecone zostało u samego wylotu wysokiej pieczary, do której prowadziła mała odnoga jeziora; domyślił się też, że ognisko rozpalono jako sygnał dla powracających wioślarzy. Skierowali oni łódź prosto ku wejściu do jaskini, po czym, wyciągnąwszy wiosła, pozwolili jej płynąć do zatoczki siłą nadanego pędu. Dziób łodzi minął mały występ skalny, na którym rozłożone było ognisko, i posunąwszy się jeszcze na jakieś dwie długości, zatrzymał się w miejscu gdzie grota, pod której sklepienie już teraz wpłynęli, wynurzała się z wody pięcioma czy sześcioma szerokimi, skalnymi stopniami piętrzącymi się tak dogodnie, iż tworzyły coś w rodzaju naturalnych schodów. W tej samej chwili zalane ognisko, które sycząc zagasło, pograżyło całe otoczenie w mroku. Kilka silnych ramion wyniosło Waverleya z łodzi, postawiło na nogi i nieledwie wniosło w głąb jaskini. W ten sposób prowadzony, zrobił kilka kroków w ciemności i idąc za dźwiękiem głosów, które zdawały się rozbrzmiewać gdzieś ze środka skały, za ostrym zakrętem ujrzał przed sobą Donalda Bean Lean i całe jego gospodarstwo.

Wnętrze groty, bardzo w tym miejscu wysokiej, oświetlały pochodnie z świerkowego drzewa, wydając jasne, drgające światło i silny, lecz bynajmniej nie przykry zapach. Światłu temu towarzyszył czerwony blask wielkiego ogniska z węgla drzewnego, dokoła którego siedziało pięciu czy sześciu zbrojnych góralskich, podczas gdy ledwie widoczne postacie innych



spoczywały na pledach w odleglejszych zakątkach pieczary. W jednym z szerszych jej załamań, które zbójca żartobliwie nazywał swą spizarnią, wisały za nogi owca i dwie krowy świeżo zarżnięte. Główny mieszkaniec tego szczególniejszego domostwa, z Evanem Dhu jako mistrzem ceremonii przy boku, wystąpił naprzeciw swego gościa, jaskrawo różniąc się wyglądem i zachowaniem od obrazu, który Edward sobie wytworzył. Zawód, jaki uprawiał, dzika ustron, w której mieszkał, i otaczające go, nie mniej dzikie postacie wojowników, wszystko to wywołać mogło wrażenie grozy. Stąd też Waverley gotował się ujrzeć surową, olbrzymią, srogą postać, taką, jaką Salvator<sup>180</sup> byłby wybrał na centralną figurę grupy bandytów.

Donald Bean Lean był przeciwieństwem tego wszystkiego. Szczupły i niski, miał jasne włosy o popielatym odcieniu i drobną bladą twarz, której zawdzięczał przydomek *Bean*, czyli biały; choć jednak postać miał lekką, proporcjonalnie zbudowaną i ruchliwą, sprawiał w całości raczej wrażenie osobistości nikłej i mało znaczącej. Służył niegdyś w jakiejś niższej randze w wojsku francuskim, a chcąc przyjąć swego angielskiego gościa jak najuroczyściej i prawdopodobnie sądząc, że mu tym cześć okaże, zdjął chwilowo swój strój góralski, by przybrać się w stary, niebieski z czerwonym mundur i kapelusz z piórem; strój ten, bynajmniej nie dodawszy mu powagi, wyglądał, przeciwnie, tak rażąco w porównaniu ze wszystkim, co go otaczało, że Waverley miał ochotę wybuchnąć śmiechem, gdyby na to pozwalała mu uprzejmość i ostrożność. Rozbójnik przyjął kapitana Waverleya z francuską uprzejmością i szkocką gościnnością; zdawał się znać doskonale jego imię i stosunki, a zwłaszcza polityczne zapatrywania jego stryja. O tych ostatnich wyrażał się z wielkim uznaniem, na co Waverley uważał za przezorne dać bardzo ogólnikową odpowiedź.

Gdy już Waverley, Evan i Donald Bean usadowili się w należytej odległości od węglowego ogniska (którego żar jak na tę porę roku wielce był dokuczliwy), tęga góralska dziewczyna postawiła przed nimi trzy drewniane miski, zawierające *eanariuich* - rodzaj mocnej polewki na wnętrznościach wołowych. Po tej potrawie, którą - mimo jej niewybredności - zmęczenie i głód uczyniły smaczną, zjawilo się w wielkiej obfitości pieczone na węglach mięswo, które znikalo sprzed Evana Dhu i gospodarza jak zaczarowane. Dziwilo to Waverleya, który takiej żarłoczności nie umiał pogodzić z tym, co zawsze słyszał o wstrzemięźliwości górali. Nie wiedział on, że ta gotowość do umartwień wynikała w ich niższych warstwach wyłącznie z przymusu i że - podobnie jak niektóre drapieżne zwierzęta - ci, co ją wykazują, potrafią wynagrodzić to sobie należycie, gdy los im się uśmiechnie. Dla

---

<sup>179</sup> recitativo (włosk.) - rodzaj śpiewnej deklamacji stosowanej w partiach operowych.

<sup>180</sup> Salvator Rosa (1615-1673) - malarz włoski.

ukoronowania biesiady zjawilo się *whisky* w dużej ilości. Górale pili je obficie bez rozcieńczenia, ale Edward, zmieszawszy trochę tego trunku z wodą, nie uznał go za tak smakowity, by miał ochotę czynność tę powtarzać. Gospodarz biadał wielce, że nie może poczęstować go winem. Gdyby był wiedział dwadzieścia cztery godziny wcześniej - tłumaczył się - byłby zdobył wino, choćby wypadło go szukać na czterdzieści mil wokoło. Ale nikt nie może okazać wyraźniej, ile sobie ceni zaszczyt czyichś odwiedzin, jak częstując gościa tym, co dom ma najlepszego. Gdzie nie ma leszczyny, tam nie może być i orzechów, należy więc iść za przykładem tych, z którymi się żyje.

W dalszym ciągu zwracając się do Evana Dhu, uskarżał się na śmierć starca, *Donnacha an Amrigh*, czyli Duncana z Czapką, „sędziwego wieszca”, który za pomocą jasnowidzenia zapowiadał domostwom wszelkiego rodzaju gości, zarówno przyjaciół, jak i wrogów.

- Czyż jego syn Malcolm nie jest *taishatr* (jasnowidzem)? - zapytał Evan.

- Daleko mu do ojca - odpowiedział Donald Bean. - Powiedział nam któregoś dnia, że ujrzymy wielkiego pana jadącego na koniu, a tymczasem przez cały dzień nikt się nie pokazał prócz Shemusa Beg, ślepego harfiarza, ze swoim psem. Kiedy indziej zapowiedział nam wesele, a tu pokazało się, że to był pogrzeb; kiedy znów chodziło o najazdy, wróżył nam, że przyprowadzimy do domu sto głów rogatego bydła, nic jednak nie złapaliśmy prócz tłustego podstarościego z Perth.

Od tego tematu przeszedł do politycznych i wojskowych stosunków, jakie panowały w hrabstwie. Waverley zadziwił się, a nawet zaniepokoił widząc, że osobistość tego pokroju tak dokładnie jest obznajomiona z siłą rozmaitych garnizonów i pułków zakwaterowanych na północ od rzeki Tay. Wymienił nawet ścisłą liczbę rekrutów przydzielonych do szwadronu Waverleya z dóbr jego stryja i zauważył, że są to ładne chłopcy, rozumiejąc przez to nie pięknych, ale silnych, zdatnych do wojska zuchów. Przypomniał Waverleyowi parę drobnych wydarzeń w czasie generalnej rewii pułku, co go upewniło, że zbójnik musiał być naocznym świadkiem, gdy zaś Evan Dhu tymczasem usunął się od rozmowy i otulił w swój pled, by zażyć trochę snu, Donald w sposób bardzo znaczący zapytał Edwarda, czy nie ma nic szczególnego do powiedzenia.

Waverley, zdziwiony i zaskoczony pytaniem zadany mu w takich okolicznościach, odpowiedział, że do odwiedzin skłoniła go wyłącznie chęć poznania niezwyklej jego siedziby. Donald Bean Lean znacząco popatrzył mu przez chwilę w oczy, po czym rzekł z wymownym skinieniem:

- Mógł mi pan zaufać, jestem równie godzien zaufania, jak baron Bradwardine albo

Vich Ian Vohr... Ale tak czy owak jest pan miłym gościem w moim domu.

Waverley poczuł, jak mimowolny dreszcz go przechodzi wobec tajemniczej mowy tego wyrzutka społeczeństwa, nie uznającego żadnych praw - toteż mimo że usiłował się opanować, nie zdobył się na zapytanie, co te aluzje znaczą. Posłanie z wrzosów, ułożonych kwiatem na zewnątrz, przygotowano dla niego w ustronnym kącie grotu i tam Edward nakryty zbędnymi pledami, które dla niego zebrano, leżał czas jakiś, śledząc ruchy innych mieszkańców pieczary. Małe gromadki, po dwóch lub po trzech, wchodziły i wychodziły bez innych formalności prócz paru słów wypowiedzianych po gaelicku do naczelnego zbójcy, a gdy ten zasnął - do wysokiego górala, który działał jako jego zastępca i zdawał się utrzymywać straż w czasie spoczynku wodza. Ci, którzy wchodzili, powracali zapewne z jakiejś wycieczki, z której wyników zdawali sprawę, po czym bez dalszych ceremonii szli do „spizarni”; tutaj sztyletami odrzynali sobie kęsy z wiszących sztuk bydła i nie dogładani przez nikogo, piekli je i zjadali swobodnie. Trunek był ściśle wymierzany, a rozdawanie go zależało od samego Donalda, jego zastępcy lub wspomnianej już, tęgiej młodej góralki; była to jedyna kobieta, które się tam pokazywała. Miara wódki wszakże wydawałaby się rozrzutną każdemu z wyjątkiem górali, którzy - przebywając nieustannie na świeżym powietrzu, w klimacie wilgotnym - mogą wchłaniać wielkie ilości mocnych trunków bez zwykłych szkodliwych następstw czy to dla umysłu, czy dla zdrowia.

W końcu snujące się gromadki zaczęły się rozplywać przed oczyma naszego bohatera, klejącymi się z wolna do snu; otworzył je dopiero wtedy, gdy słońce stało wysoko nad jeziorem, choć słaby i niepewny półmrok panował dalej w głębi *Uaimh an Ri*, czyli Królewskiej Grotu, jak szumnie nazywano mieszkanie Donalda Bean Lean.

## ROZDZIAŁ XVIII

### **Waverley puszcza się w dalszą drogę**

Edward zdziwił się, gdy oprzytomniawszy ujrzał, że wszyscy grocie opuścili. Wstał, doprowadził jako tako do porządku ubranie i rozejrzał się dokładnie - wszędzie jednak panowała pustka. Z bandy Donalda nie było innych śladów prócz rozpadających się w popiół resztek ogniska i pozostałości z uczty w postaci na pół spalonych i poobgryzanych kości oraz paru pustych beczulek. Zbliżywszy się do wylotu pieczary zauważył, że występ skalny, na którym pozostały ślady wczorajszego ogniska, połączony był ścieżyną naturalną lub może z grubsza wykutą w skale z małą wodną zatoczką sięgającą na kilka łokci w głąb jaskini, gdzie łódź, która go wczoraj przywiozła, tkwiła dotąd umocowana.

Stanąwszy na wystającym ganeczku, gdzie rozpalono ognisko, odniósł w pierwszej chwili wrażenie, że dalej przejść lądem niepodobna; rozumiał jednak, iż mieszkańcy groty muszą mieć do niej także inną drogę prócz jeziora. Wkrótce też dostrzegł przy samym końcu ganku kilka głazów tworzących rodzaj stopni czy progów, a wyszedłszy po nich, jak po schodach, minął grzbiet żebra skalnego opadającego ku pieczarze i schodząc z pewną trudnością na drugą jego stronę, dostał się na dzikie i przepaściste brzegi górskiego jeziora mającego około czterech mil długości i półtorej mili szerokości, a otoczonego dzikimi, porośniętymi wrzosem szczytami, na których spoczywała jeszcze mgła poranna.

Obejrząwszy się ku miejscu, skąd wyszedł, pomyślał z podziwem, jak sprytnie obrane zostało to schronienie, takie ustronne i tajemnicze. Skała, której ramię obszedł po kilku niedostrzegalnych występach, gdzie tylko z trudem można było postawić stopę, wydawała się stąd olbrzymią przepaścią zagrządzającą wszelki dostęp w tym kierunku wzdłuż brzegów jeziora. Ze względu na jego szerokość niepodobna było dojrzeć z przeciwległego brzegu wąskiego i niskiego wejścia do pieczary; toteż jeżeliby tej kryjówki nie odkryto za pomocą łodzi albo za sprawą zdrady, mogła ona służyć za bezpieczne, tajemne schronienie dla swej załogi, dopóki by jej starczyło zapasów.

Zaspokoiwszy ciekawość, Waverley począł rozglądać się za Evanem Dhu i jego towarzyszem, którzy (jak słusznie rozumował) musieli być niedaleko, niezależnie od tego, co się stało z Donaldem Bean Lean i jego ludźmi, których tryb życia polegał na nagłych przerzucaniach się i wędrówkach. Jakoż istotnie, w odległości może pół mili ujrzał górala (zapewne Evana) łowiącego ryby w jeziorze w towarzystwie drugiego człowieka, w którym - po broni dźwiganej na ramieniu - rozpoznał swego przyjaciela z bojową siekierą.

Znacznie bliżej wejścia do pieczary usłyszał Edward nutę skocznej gaelickiej

piosenki, a kierując się w tę stronę znalazł się niebawem w słonecznym zakątku, osłoniętym brzozą o połyskliwym liściu, gdzie czysty, biały piasek słał się pod nogami; zastał tam znaną już sobie dziewczynę z grotty, która śpiewając krzątała się około jak najładniejszego ustawienia rannego śniadania, złożonego z mleka, jaj, jęczmiennych placków, świeżego masła i plastra miodu. Biedne dziewczę obiegało już tego ranka ze cztery mile w poszukiwaniu jaj, mąki do wypieczenia ciasta i innych produktów, gdyż wszystko to były przysmaki, które musiała wyprosić albo pożyczyć w odległych chatach. Towarzysze Donalda nie znali prawie innego pożywienia poza mięsem zwierząt przypędzonych z Nizin; chleb nawet był tu rzadkością, gdyż trudno go było dostać, a wszelkie artykuły żywnościowe w rodzaju mleka, drobiu czy masła nie znane były w tym scytyjskim obozie<sup>181</sup>.

Należy jednakże nadmienić, że Alicja, chociaż spędziła część ranka na zdobywaniu tych smakołyków dla swojego gościa, znalazła jednak czas na przystrojenie własnej osoby w to, co miała najładniejszego. Strój jej był mimo to bardzo skromny. Składał się tylko z krótkiego, rudawego kaftanika i niedługiej spódniczki, lecz utrzymany był czysto i niezwykle starannie. Kawalek czerwonej haftowanej tkaniny, zwany *snood*, ujmował jej włosy, które spadały spod niego obfitością gęstych, czarnych kędziorów. Szkarłatny pled, stanowiący także część jej ubrania, odłożyła na bok, żeby jej nie przeszkadzał w posługiwaniu gościowi. Zapomniałbym o najwspanialszej ozdobie Alicji, gdybym nie wymienił pary złotych kolczyków i złotego różańca, który ojciec jej (gdyż była córką Donalda Bean Lean) przywiózł z Francji; był to prawdopodobnie łup z jakiejś bitwy lub szturm.

Postać Alicji, choć nieco ponad wiek rozwinięta, była bardzo proporcjonalna, a zachowanie się jej miało naturalny wiejski wdzięk, bez śladu ociężałości pospolitej chłopki. Uśmiech, ukazujący rząd niepokalanie białych zębów, oraz śmiejące się oczy, którymi bez słowa powitała tego ranka Waverleya, nie mogąc go pozdrowić w angielskim języku, byłyby się zarozumialcowi lub przekonanemu o swej urodzie młodemu żołnierzowi wydały czymś więcej niż prostą uprzejmością gospodyni. Nie mogę zresztą zaręczyć, czy dzika góraleczka gościłaby z równie ochoczą gorliwością jakiegoś statecznego starszego pana, jak na przykład baron Bradwardine. Pragnęła co prędzej widzieć Edwarda przy ucztach, którą tak skrzętnie przygotowywała, a do której dołożyła jeszcze teraz parę pęczków jagód zebranych na pobliskim trzęsawisku. Rada, że zasiadł wreszcie do śniadania, przycupnęła cicho o parę kroków dalej na kamieniu i zdawała się bacznie wyczekiwać jakiejś sposobności usłużenia mu.

---

<sup>181</sup> scytyjski obóz - Scytowie, starożytni, koczujący mieszkańcy północnej Europy i Azji, uchodzili za ludzi bardzo wojowniczych o surowym trybie życia.

Evan ze swoim towarzyszem wracali teraz z wolna wzdłuż wybrzeża; góral niósł świeżo ułowionego, dużego łososiopstrąga oraz wędkę, podczas gdy Evan, rad z siebie, zbliżał się swobodnym, lecz pełnym powagi krokiem ku miejscu, gdzie Edward tak przyjemnie spędzał czas przy śniadaniu. Gdy wymieniono ranne powitania, Evan patrząc na Waverleya powiedział coś po gaelicku do Alicji, na co ona się roześmiała, choć jednocześnie rumieniec oblał jej opaloną na słońcu i wietrze cerę aż po białka oczu; następnie Evan polecił jej przyrządzić rybę na śniadanie. Iskra z jego pistoletu<sup>182</sup> dostarczyła ognia, a kilka suchych gałęzi świerkowych stanęło wnet w płomieniach, zamieniając się równie szybko w żarzące węgle, na których ułożono pstrąga pociętego w duże płaty. Dla ukoronowania uczyty Evan wyciągnął z kieszeni swego krótkiego kaftana dużą muszlę, a spod fałdów pledu - barani róg pełen *whisky*. Z niego nalał sobie spory łyk, wspominając przy tym, że już „na pobudkę” wypił coś niecoś z Donaldem Bean Lean przed jego odejściem; poczęstował też tym kordialem Alicję i Edwarda, ale oboje wymówili się. Z łaskawości wielkiego pana Evan podał wtedy muszlę Dugaldowi Mahony, swemu pomocnikowi, który nie czekając, by go drugi raz proszono, pociągnął z niej z wielkim smakiem.

Następnie Evan skierował się ku łodzi, prosząc Waverleya, by mu towarzyszył. Alicja tymczasem, schowawszy do koszyczka cenniejsze resztki posiłku i zarzuciwszy na siebie pled, z największą prostotą podeszła do Edwarda, ujęła jego rękę i dygnawszy, podsunęła mu policzek do pocałowania. Evan, uważany za galanta wśród góralskich piękności, przybliżył się, jak gdyby żądny podobnej łaski; jednakże Alicja, porwawszy koszyczek, pomknęła pędem sarny wzdłuż skalistego wybrzeża, a odwracając się i śmiejąc wykrzyknęła coś ku niemu po gaelicku, na co i on tym samym tonem i mową odpowiedział; po czym, skinąwszy ręką ku Edwardowi, pobiegła dalej i wnet zniknęła w gęstwinie drzew, choć jeszcze przez czas jakiś słyhać było wesołą jej śpiewkę, gdy żwawo wędrowała samotnie dalej.

Wstąpili teraz znowu w gardziel pieczary i weszli do łodzi; góral odepchnął ją i korzystając z rannego powiewu, rozpiął coś na kształt niezgrabnego żagla, gdy tymczasem Evan zasiadł u steru, kierując, jak się Edwardowi wydało, nieco dalej w głąb jeziora niż ku miejscu, skąd poprzedniego wieczora odpłynął. Kiedy przesuwali się po srebrnym zwierciadle, Evan rozpoczął rozmowę unosząc się nad Alicją, która jak się wyraził, jest i miła i pracowita, a w dodatku najlepiej w całej okolicy tańczy *strathspey*, taniec góralski. Edward wtórował tym pochwałom, o ile je rozumiał, litując się nad nią jednocześnie, że pędzić musi tak pełne niebezpieczeństw i ponure życie.

---

<sup>182</sup> pistolet - mowa tu o ówczesnej broni palnej, której nabój zapalał się z zewnątrz za pomocą iskry powstałej z krzesania o skałę lub kamień.

- Och! Jeśli o to chodzi - rzekł Evan - nie ma takiej rzeczy w Perthshire, której by nie dostała, gdyby tylko poprosiła o nią ojca - chyba żeby zachciało jej się piorunu lub góry.

- Ale być córką złodzieja bydlą - prostego złodzieja!

- Prostego złodzieja?... Nic podobnego: Donald Bean Lean nigdy w swoim życiu nie zadowolił się mniejszym łupem niż stado.

- Więc nazywacie go niezwykłym złodziejem?

- Nie! Ten, co ukradnie krowę biednej wdowie albo cielę chałupnikowi, jest złodziejem; ale kto zabierze stado saskiemu panu, ten jest szlachetnym zbójnikiem. A zresztą: zabrać drzewo z lasu, łososia z rzeki, jelenia z gór albo krowę z doliny, tego się żaden góral wstydzić nie potrzebuje.

- Ale czym się to może skończyć, gdyby go na takim przywłaszczaniu przyłapano?

- Z pewnością umarłby dla prawa, jak niejeden dzielny człowiek przed nim.

- Umarłby dla prawa?

- Tak; to znaczy wedle prawa czy na skutek prawa, powieszono by go na swojskiej szubienicy w Crieff<sup>183</sup>, gdzie zginął jego ojciec i dziadek i gdzie, mam nadzieję, zginie i on, jeżeli go nie zastrzelą albo nie zarąbią w czasie jakiej wyprawy.

- Macie nadzieję, że śmierć taka spotka waszego przyjaciela, Evanie?

- A właśnie, że tak; czyżby pan chciał, żebym mu życzył śmierci na garści mokrej słomy w tej jego pieczarze jak parszywemu psu?

- I cóż by się wtedy stało z Alicją?

- Doprawdy, gdyby taki wypadek miał się zdarzyć i przestałaby być potrzebna ojcu, nic by nie stało na przeszkodzie, żebym ja sam z nią się ożenił.

- Bardzo to godne postanowienie - odpowiedział Edward.- Ale tymczasem, Evanie, co wasz przyszły teść - w wypadku jeśli będzie miał szczęście zostać powieszony - zrobił z krowami barona?

- Ach! - odpowiedział Evan. - Wszystkie kroczyły już przed waszym towarzyszem i Allanem Kennedy, zanim słońce wyrzało nad Ben-Lawers dziś rano; teraz będą już pewnie w wąwozie Bally-Brough, w powrotnej drodze do Tully-Veolan, wszystkie oprócz dwóch, które na nieszczęście zarżnięto, zanim zdołałem wczoraj dotrzeć do *Uaimh an Ri*.

- A dokąd się udajemy, Evanie, jeśli wolno zapytać?

---

<sup>183</sup> Stawną tę szubienicę, wznoszącą się na zachodnim krańcu miasta Crieff w Perthshire, pamiętało jeszcze ostatnie pokolenie. Dlaczego nazywano ją swojską szubienicą, nie mogę czytelnika dokładnie objaśnić; stwierdzono jednak, że górale, przechodząc koło tego miejsca, tak fatalnego dla wielu ich współziomków, dotykali czapek, wydając okrzyk: „Błogosław jej, Boże, a was niech licho weźmie!” (*Z przypisów autora: „Swojska szubienica w Crieff*).

- Gdzieżbyście mogli dążyć, panie, jeżeli nie do dworu dziedzica w Glennaquoich? Chybabyście nie chcieli być w jego kraju i nie odwiedzić go? Przecież to tyle warte, co życie człowieka!

- A daleko stąd do Glennaquoich?

- Tylko pięć małych mil, a Vich Ian Vohr wyjdzie na nasze spotkanie.

W jakie pół godziny dopłynęli do przeciwległego brzegu jeziora; po wysadzeniu Waverleya obaj górale zaciągnęli łódź w małą zatoczkę pomiędzy gęste sitowie i trzciny, gdzie leżała całkowicie ukryta. Wiosła schowali w innym miejscu, najwidoczniej po to, by wszystko było przygotowane na użytek Donalda Bean Lean, gdy wypadnie mu znaleźć się znów w tym miejscu.

Szli teraz przez czas pewien wzdłuż prześlicznej doliny wśród gór, na dnie której mały strumyk toczył się ku jezioru. Uszedłszy kawałek drogi, Waverley jął dalej rozpytywać o gospodarza groty.

- Czy on tam zawsze przebywa w tej pieczarze?

- Ależ nie! To przechodzi rozum człowieka odgadnąć, gdzie on się czasem podziewa; nie ma w całym kraju takiego jaru, kotliny czy koliby, których by on nie znał.

- A czy też i inni osłaniają go, czy tylko wasz pan?

- Mój pan... Mój pan jest w niebie - odpowiedział Evan wyniośle; natychmiast jednak powracając do zwykłej uprzejmości mówił dalej: - Ale wy, panie, macie na myśli mojego naczelnika; nie, on nie osłania Donalda Bean Lean ani nikogo z tego grona, ot tylko nie broni mu - tu się uśmiechnął - drzewa i wody.

- Niewielkie to, jak sądzę, dobrodziejstwo, Ewanie, boć jednego i drugiego chyba tu nie brak.

- Ależ nie zrozumieliście o co chodzi, panie! Gdy mówię o drzewie i wodzie, mam na myśli jezioro i ziemię; przypuszczam, że Donald nie zdołałby się wywinąć, gdyby wódz na czele sześćdziesięciu ludzi chciał go poszukać w tych tam lasach w Kailychat i gdyby nasze łodzie, jeszcze z jakimi dwudziestoma w dodatku, przepłynęły jezioro do *Uaimh an Ri* pod dowództwem moim lub innego zucha.

- Ale przypuścimy, że silny oddział wyruszyłby przeciw niemu z Nizin, czy wasz naczelnik by go nie bronił?

- Nie, nie wykrzesaliby w jego obronie ani jednej iskry z krzemienia, gdyby przyszli w imię prawa.

- A wtedy co by Donald uczynił?

- Musiałby opuścić ten kraj i może przeniósłby się poza góry, gdyby rozesłano za nim



listy gończe.

- A gdyby go i tam ścigano?

- Z pewnością schroniłby się u swego krewniaka w Rannoch.

- No dobrze, a gdyby za nim do Rannoch?

- Tego to już nawet przypuścić nie można - oświadczył Evan - i zaprawdę powiadam panu, żaden człowiek z Nizin w całej Szkocji nie ośmieli się ścigać kogokolwiek choćby o krok dalej niż do Bally-Brough, jeśli nie może liczyć na pomoc *Sidier Dhu*.

- Kogóż to tak nazywacie?

- *Sidier Dhu* - czarny żołnierz; tak nazywają wolne drużyny utworzone ongi dla zaprowadzenia pokoju i prawa w krainie górskiej. Vich Ian Vohr dowodził jedną z nich przez pięć lat, a ja sam byłem w niej sierżantem, daję panu słowo. Nazywają ich *Sidier Dhu*, ponieważ noszą tartany, tak jak nazywają waszych ludzi - ludzi króla Jerzego - *Sidier Roy*, czyli czerwonymi żołnierzami.

- No tak, Evanie, ale skoro byliście na żołdzie króla Jerzego, byliście przecież i wy jego żołnierzami.

- Doprawdy, o to to już proszę zapytać Vich Ian Vohra, bo my trzymamy z jego królem i niewiele nas obchodzi, który to z nich jest. W każdym razie nikt nie może nazywać nas ludźmi króla Jerzego teraz, kiedy już od roku nie oglądaliśmy jego żołdu.

Ten ostatni argument nie dopuszczał odpowiedzi ani też Edward nie kusił się o nią. Wolał rozmowę naprowadzić znowu na Donalda Bean Lean.

- Czy Donald ogranicza się do bydła, czy też ściąga, jak wy to nazywacie, także i wszystko inne, co mu wpadnie pod rękę?

- Naprawdę nie jest on taki znów wybredny i wzięłby też i co innego, ale najchętniej bierze bydło, konie i żywych chrześcijan; owce wloką się zbyt powoli, a domowy sprzęt zawadza w drodze i niełatwo go zbyć za srebro w tym kraju.

- Ale czy uprowadza on mężczyzn i kobiety?

- O, tak! Czy nie słyszeliście, panie, jak mówił o tym podstarościm z Perth? Osoba ta musiała dać pięćset grzywien, by się wydostać na południe od Bally-Brough. Ale raz udała się Donaldowi nie lada sztuka. Miało się odbyć huczne wesele lady Cramfeezer z Mearns (była to wdowa po starym lordzie i sama nie tak już świeża jak niegdyś) z młodym Gilliewhackit, który swoje dziedzictwo i ruchomości przetrwonił na bój kogutów, walkę byków, wyścigi konne i inne pańskie rozrywki. Otóż Donald Bean Lean miarkując, że pan młody jest

pożądany, a mając ochotę pobrzakać trochę srebrem, zręcznie porwał Gilliewhackita<sup>184</sup> pewnej nocy, gdy wracał do domu drzemiąc (piwo mu poszło do głowy), i z pomocą swoich chłopców piorunem uwiózł go w góry, tak że obudził się dopiero w jaskini *Uaimh an Ri*. No i miała stara kłopot z wykupieniem narzeczonego, bo Donald nie chciał opuścić ani grosza z tysiąca funtów...

- A to szelma!

- Funtów szkockich, trzeba panu wiedzieć. Ale pani nie stać było na tyle, choćby nawet zastawiła własną suknię; udali się tedy do komendanta zamku Stirling i do majora Czarnej Straży, ale kasztelan orzekł, że to za daleko ku północy i poza jego okręgiem, a znów major powiedział, że ludzie jego rozeszli się do domu na strzyżę owiec i że on ich nie zwoła, póki się żniwa nie skończą, dla żadnych Cramfeezarów na świecie, a tym mniej tych z Meams, gdyż to by było ze szkodą kraju. A tymczasem któż mógł zabronić Gilliewhackitowi rozchorować się na ospę?... Nie było takiego doktora w Perth ani w Stirling, który by chciał zajrzeć do biednego chłopca; a ja im tego nie mogę wziąć za złe, gdyż Donald, którego kiedyś jakiś doktor nabrał w Paryżu, zaprzysiągł, że do jeziora wrzuci pierwszego, którego spotka poza przełęczą. Ale jakoś kilka starych bab, które Donald znalazł pod ręką, zaopiekowało się Gilliewhackitem tak dobrze, że w czystym powietrzu pieczary i na świeżej serwatce wyleczył się może równie dobrze, jak gdyby był leżał w oszklonym pokoju, w łóżku z firankami, karmiony czerwonym winem i białym mięsem. Donalda tak ta choroba zmartwiła, że kiedy tamten wrócił do sił i zdrowia, puścił go nawet wolno z powrotem do domu i powiedział, że zadowolony się czymkolwiek, co mu dadzą, za to straszne utrapienie i kłopot, jaki miał z Gilliewhackitem. Nie umiem panu dokładnie powiedzieć, na czym między nimi stało; w każdym razie ugodzili się tak sprawiedliwie, że Donalda zaproszono na wesele, gdzie tańczył w swoich góralskich spodniach aż miło; a mówiono, że nigdy przedtem ani potem tyle srebra nie brząkało w jego sakiewce. Na domiar tego wszystkiego Gilliewhackit powiedział, że gdyby kiedy miał szczęście brać udział w sądzie na Donaldem, to choćby tam były nie wiedzieć jakie dowody, uniewinniłby go od wszelkich zarzutów z wyjątkiem chyba tylko rozmyślnego podpalenia lub morderstwa dla zysku.

W takiej to urywanej a błahej gawędzie Evan w dalszym ciągu malował istniejący w górach stan rzeczy, co może więcej interesowało Waverleya niż naszych czytelników. Na koniec, po dłuższym marszu przez góry i doliny po mchach i po wrzosach, Edward, chociaż

---

<sup>184</sup> Historia narzeczonego, uprowadzonego przez zbójników w dzień ślubu, jest fragmentem opowiadania, które autor przed wielu laty słyszał z ust nieżyjącego już właściciela ziemskiego, Mac-Naba. Uprowadzanie ludzi z Nizin i wyznaczanie za nich okupu było często praktykowane wśród dzikich górali... (Z przypisów autora: „Zbójnicy”).

wiedział już, jak dowolnie Szkoci obliczają odległości, zaczął myśleć, że pięć mil Evana chyba się zdwoiło. Na uwagę jego, że Szkoci hojniejszą miarę stosują do swego kraju, niż zwykli to czynić z pieniędzmi, Evan natychmiast odpowiedział starym żartem: „Do diabła z tym, kto ma najmniejszy dzban kwartowy<sup>185</sup>”.

Nagle dał się słyszeć huk wystrzału i w górnym końcu doliny ukazał się myśliwy z psami i posługaczem.

- Patrzcie - rzekł Dugald Mahony - oto naczelnik.

- To nie on - odpowiedział Evan porywczo. - Czy ty myślisz, że on by wyszedł na spotkanie angielskiego *Duinhe-wassel* w ten sposób?

Gdy jednak podeszli bliżej, rzekł z miną zdradzającą dotkliwy zawód:

- A jednak to on, rzeczywiście, i to bez swego ogona; nie ma przy nim żywej duszy prócz Calluma Beg.

W istocie też, Fergusowi Mac-Ivor, o którym Francuz mógłby powiedzieć równie słusznie, jak o każdym innym góralu, „*qu'il connait bien ses gens*”<sup>186</sup>, nie przyszło do głowy podnosić się w oczach młodego Anglika z zamożnych sfer, przedstawiając mu się w orszaku rodaków, nie dostosowanym do okoliczności. Mac-Ivor dobrze zdawał sobie sprawę, że taka niepotrzebna świta wydałaby się Edwardowi raczej śmieszną niż budzącą uszanowanie. Choć mało kto przywiązywał większą od niego wagę do pojęć o roli naczelnika i feudalnej władzy, dlatego właśnie ostrożny był w popisywaniu się zewnętrznymi oznakami godności, zachowując je na takie tylko chwile, gdy mogło to wywrzeć istotnie korzystne wrażenie. Gdyby mu więc wypadło przyjmować drugiego naczelnika, byłby zapewne miał dokoła siebie cały ten orszak, który Evan z takim namaszczeniem opisywał; teraz jednak uważał, że będzie o wiele właściwsze wyjść na spotkanie Waverleya z jednym tylko sługą, bardzo ładnym góralczykiem, który nosił torbę myśliwską i szablę swego pana, bez których Fergus rzadko wyruszał z domu.

Przy spotkaniu z Fergusiem uderzyły Waverleya szczególny wdzięk i godność naczelnika. Wzrostu więcej niż średniego, pięknie zbudowany, przedstawiał się bardzo korzystnie w prostym góralskim stroju. Miał na sobie *trews*, czyli obcisłe spodnie z tartanu, w kratkę szkarłatną i białą; w innych szczegółach strój jego niczym się nie różnił od stroju Evana z tym tylko wyjątkiem, że nie nosił innej broni prócz puginału, bardzo bogato wysadzanego srebrem. Paż jego, jak powiedzieliśmy, niósł za nim szablę, strzelba zaś, którą

---

<sup>185</sup> dzban kwartowy - szkocka kwarta równała się zawartości dwóch kwart angielskich, natomiast wartość pieniądza obiegowego (funt szkocki) stanowił tylko część funta angielskiego.

<sup>186</sup> *qu'il connait bien ses gens* (franc.) - zna dobrze swoich ludzi

sam trzymał w ręku, zdawała się służyć wyłącznie do polowania. W ciągu spaceru zastrzelił kilka młodych dzikich kaczek, gdyż - jakkolwiek wtedy nie znano czasu ochronnego dla zwierzyny - młode jarząbki nie nadawały się jeszcze do bicia. Twarz jego była wybitnie szkocka, ze wszystkimi cechami północnej rasy, ale w rysach jej tak niewiele było ostrości i przesady, że w każdym kraju uznano by ją za niezwykle piękną. Marsowy wygląd czapki, z zatkniętym w nią jednym orlim piórem, dodawał wiele męskiego uroku jego głowie ozdobionej ponadto czupryną czarnych, gęstych loków, o wiele naturalniejszych i wdzięczniejszych niż te, które bywają wystawione na sprzedaż na Bond Street.

Wyraz szczerości i uprzejmości zwiększał jeszcze korzystne wrażenie wywołane tą piękną i pełną godności powierzchownością. Bieglego jednak fizjonomistę mniej by zachwycała ta twarz po bliższym przyjrzeniu się jej. Brew i górna warga zdradzały skłonności do arbitralnego rozkazywania i dumnej wyniosłości. Nawet uprzejmość jego, choć otwarta, szczerą i niehamowaną, zdawała się świadczyć o poczuciu własnego znaczenia, przy każdym zaś oporze lub przypadkowym podnieceniu nagły, choć przemijający, błysk oka wykazywał temperament gwałtowny, pyszny i mściwy, który mimo pozorów opanowania nie stawał się przez to mniej niebezpieczny. Jednym słowem, twarz naczelnika przypominała pogodny dzień letni, w którym po pewnych drobnych oznakach możemy spodziewać się przed zmierzchem grzmotów i błyskawic.

Nie za pierwszym jednakże spotkaniem miał Edward sposobność poczynić te mniej korzystne spostrzeżenia. Naczelnik przyjął go jako przyjaciela barona Bradwardine z najwyższym wyrazem uprzejmości i wdzięczności za odwiedzin; żartował z niego z lekka, że wybrał sobie tak niewygodny nocleg ostatniej nocy, i żywo począł z nim omawiać gospodarstwo Donalda Bean, najmniejszą wzmianką nie dotykając jego złodziejskich obyczajów ani bezpośredniego powodu wizyty Waverleya, którego to tematu unikał - wobec tego również i nasz bohater. Rozmawiając tak, szli rażno ku dworowi w Glennaquoich, podczas gdy Evan pozostawał teraz skromnie w tyle z Callumem Beg i Dugaldem Mahony.

Skorzystamy tu ze sposobności, by zaznaczyć czytelnika z pewnymi szczegółami charakteru i historii Fergus Mac-Ivor, które Waverley poznał dokładnie dopiero w dalszym toku ich znajomości; chociaż okoliczność ta powstała zupełnie przypadkowo, miała ona jednak przez dłuższy czas głęboki wpływ na charakter Waverleya, jego czyny i dalszą przyszłość. Ale ponieważ jest to przedmiot ważny, niechaj stanowi początek nowego rozdziału.

## ROZDZIAŁ XIX

### Naczelnik i jego domostwo

Przodek Fergusa Mac-Ivor przed jakimiś trzystu laty zapragnął godności naczelnika licznego i potężnego klanu, do którego należał, a którego nazwiska nie potrzebujemy tu wymieniać. Zwyciężony przez współzawodnika, mającego za sobą większą słuszność, a w każdym razie pokaźniejsze siły - usunął się wraz ze swymi stronnikami na południe, szukając jak Eneasz<sup>187</sup> nowych dziedzin do osiedlenia się.

Stan rzeczy w górskiej krainie Perthshire sprzyjał jego zamiarom. Jeden z wybitnych tamtejszych możnowładców sprzeniewierzył się w tych czasach koronie; Jan, gdyż takie było imię naszego poszukiwacza przygód, połączył się z tymi, którym król polecił uśmierzyć barona, i tak się przy tym zasłużył, że nadano mu włości zdrajcy, które odtąd stały się dziedziczną jego własnością. Zapuścił się następnie, idąc za królem na wojnę, w żyzne okolice Anglii, gdzie wolny swój czas tak czynnie zużywał na zbieranie danin od chłopów Northumberland i Durham, iż za powrotem zdołał wystawić kamienną wieżę, czyli fortalicję; wzbudziła ona tak wielki podziw u jego podwładnych i sąsiadów, że on, który nazywał się dotąd Ian Mac-Ivor, czyli Jan syn Ivora, uzyskał odtąd, tak w pieśni, jak i w rodowodach, zaszczytny przydomek Jana z Wieży, *Ian non Chaistel*.

Potomkowie tego dostojnika tak się nim szczyli, że panujący naczelnik zawsze nosił rodzinny tytuł *Vich Ian Vohr*, to znaczy syn Jana Wielkiego, podczas gdy cały klan dla odróżnienia od szczepu, z którego się oderwał, nazywano *Sliochd nan Ivor*, plemieniem Wora.

Ojciec Fergusa, dziesiąty w prostej linii potomek Jana z Wieży, przyłożył się sercem i ręką do powstania w roku 1715 i zmuszony został uciec do Francji, gdy ta próba przywrócenia panowania Stuartów zawiodła. Szczęśliwszy od innych zbiegów, otrzymał w tym królestwie stanowisko służbowe i pojął za żonę tamtejszą damę dobrego rodu, z którą miał dwoje dzieci, Fergusa i siostrę jego Florę. Szkockie dobra skonfiskowano i wystawiono na sprzedaż, lecz zostały odkupione za niewielką cenę na rzecz młodego właściciela, który w następstwie tego wrócił i zamieszkał w rodzinnej posiadłości. Spostrzeżono wkrótce, że posiada on charakter niezwykle ambitny, pełen bystrości i ognia, a gdy się obznajmił ze stanem kraju, nabrał stopniowo tych swoście zróżnicowanych cech, jakie tylko „sześćdziesiąt

---

<sup>187</sup> Eneasz - bohater epopei pt. Eneida poety rzymskiego Wergiliusza. Trojańczyk, który po upadku Troi schronił się w Lacjum (Italia), gdzie ożenił się z córką króla Latinusa i sam został królem.

lat temu” osiągnąć było można.

Gdyby Fergusowi Mac-Ivor dane było żyć o sześćdziesiąt lat wcześniej, nie posiadałby prawdopodobnie tych manier gładkich i tej znajomości świata, jaką się teraz odznaczał; gdyby zaś żył o sześćdziesiąt lat później, ambicji jego i żądzy panowania nie dostawałoby tego paliwa, którego obecne położenie mu dostarczało. Był on w istocie w swym szczupłym zakresie równie doskonałym politykiem, jak sam Castruccio Castrucani<sup>188</sup>. Bardzo gorliwie zajmował się uspokajaniem wszelkich zatargów i waśni, częstych wśród innych okolicznych klanów, tak że bywał nieraz rozjemcą w tych sporach. Własną patriarchalną władzę wzmacniał wszelkim kosztem, na jaki tylko fortuna jego dozwalała i w istocie wszelkimi sposobami starał się podtrzymać tę prostą a hojną gościnność, którą uważano za najważniejszą zaletę naczelnika.

W tym samym celu gęsto zapelniał dobra swoje dzierżawcami, którzy stanowili wprawdzie ludność dzielną i zdatną do boju, ale zbyt liczną, by ją ziemia zdolna była wyżywić. Byli to przeważnie członkowie jego klanu, z których żadnego nie wypuszczał ze swych dóbr, jeśli tylko mógł temu zapobiec. Utrzymywał poza tym wielu awanturników z macierzystego szczepu, którzy porzucali mniej wojowniczego, choć bogatszego naczelnika, by oddać się pod jego opiekę. Nie gardził również innymi osobnikami i w rezultacie przyjmował pod swe zwierzchnictwo każdego, kto jak Poin<sup>189</sup> miał ręce nie od parady, a gotów był przybrać miano Mac-Ivora.

Otrzymawszy komendę nad jednym z luźnych oddziałów, utworzonych przez rząd dla utrzymania pokoju w górach, zyskał sposobność do wyćwiczenia i ujęcia w karby tego wojska. W charakterze dowódcy działał energicznie i odważnie i utrzymywał wielki ład w powierzonych sobie okolicy. Żądał, ażeby wasale jego wstępowali na zmianę do tej drużyny i służyli tam przez pewien czas, co ich wszystkich po kolei wdrażało do karności wojskowej. Zauważono, że w wyprawach przeciw bandytom korzystał on z najwyższą dowolnością z owej nieograniczonej władzy, którą w górach, gdzie zwykle prawo nie działało, uważano za przywilej oddziałów wojskowych, mających je podtrzymywać. I tak, na przykład, stosował wielką, aż podejrzaną pobłażliwość względem tych rabusiów, którzy na jego żądanie zwracali łup i osobiście mu się podporządkowywali, natomiast ścigał surowo, chwycił i oddawał w ręce prawa wszelkich takich przestępców, którzy ośmielili się zlekceważyć jego przestrogi czy rozkazy. Z drugiej strony, jeżeli jaki urzędnik prawa, oddział wojskowy lub ktokolwiek

---

<sup>188</sup> Castruccio Castrucani (1281-1328) - włoski polityk i wódz, walczący po stronie gibelinów (zwolenników cesarstwa niemieckiego) przeciwko gwelfom (stronnikom papieża)

<sup>189</sup> Poin - przyjaciel młodości Henryka V. Występuje w sztuce Szekspira Henryk IV.

inny pozwolił sobie ścigać złodziei lub maruderów na obszarze jego władania, nie prosząc go o pozwolenie ani o współudział, z największą pewnością spotykało go jakieś niepowodzenie albo nawet klęska; w tych wypadkach Fergus Mac-Ivor pierwszy wyrażał im swoje współczucie i łagodnie zganiwszy ich nieostrożność, zawsze głęboko ubolewał nad bezprawiem panującym w kraju. Te ubolewania jednak nie uspiły podejrzeń i sprawę w ten sposób przedstawiono rządowi, że naszemu naczelnikowi odebrano wojskową komendę<sup>190</sup>.

Jakkolwiek dotknęło to Fergus Mac-Ivor, potrafił on ukryć wszelkie objawy niezadowolenia, wnet jednak cała okolica odczuwać zaczęła w przykry sposób skutki jego niełaski. Donald Bean Lean i inni ludzie jego pokroju, których rabunki ograniczały się dotychczas do dalszych okęgów, odtąd jak gdyby się uwzięli trapić to nieszczęsne pogranicze; spustoszenia swoje zaś przeprowadzali prawie bez oporu, gdyż szlachta nizinna składała się przeważnie z jakobitów, którym broń odebrano. To zmusiło wielu okolicznych właścicieli do zawierania umów o okup z Fergus Mac-Ivor, co nie tylko uczyniło go ich opiekunem i dało mu wielkie znaczenie we wszystkich ich naradach, ale nadto dostarczało mu funduszków na wydatki związane z jego feudalną gościnnością którą, nie pobierając już pensji, byłby musiał znacznie ograniczyć.

Postępując w ten sposób, Fergus miał na widoku inne jeszcze cele poza zdobyciem decydującego znaczenia w swojej okolicy i zapewnieniem sobie despotycznej władzy nad małym klanem. Od najmłodszych lat poświęcił się sprawie wygnanej rodziny i wyobrażał sobie, że powrót Stuartów na tron Brytanii szybko nastąpi, a ci, co im w tym dopomogą, dostąpią zaszczytów i wysokich godności. W tej myśli pracował nad pogodzeniem górali między sobą i zwiększał własne siły do ostatecznych granic, aby być gotowym do powstania przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Z tymże zamiarem zjednywał sobie względy tych nizinnych panów, którzy sprzyjali dobrej sprawie, toteż pokłóciwszy się nieopatrznie z panem Bradwardine, bardzo mimo swych dziwactw poważanym w okolicy, skorzystał z napaści Donalda Bean Lean, by załagodzić spór we wspomniany już sposób. Niektórzy nawet przypuszczali, że z jego to inicjatywy podsunęto umyślnie Donaldowi to przedsięwzięcie, ażeby utorować drogę do zgody, co, gdyby było prawdą, sprowadzałoby się dla barona Bradwardine do utraty dwóch dobrych mlecznych krów. Za gorliwość dom Stuartów odpłacał

---

<sup>190</sup> Ten rodzaj gry politycznej, przypisywany Mac-Ivorowi, uprawiany był istotnie przez niektórych przywódców z gór... *Laird Mac* był również wodzem niezależnej kompanii, zbyt jednak cenił wypłacaną sobie pensję, by miał się narażać na jej stratę przez przystanie do jakobitów. Jego wojownicza żona zwołała klan i stanęła na jego czele w 1745 r. Ale sam przywódca nie chciał mieć nic wspólnego z ustanawianiem królów, uważając się za stronnika tego tylko monarchy, który da mu „pół gwinei co dnia a drugie pół co ranka”. (*Przypis autora: „Polityka wśród górali”*).

Fergusowi dużym zaufaniem, dorywczymi zasiłkami w luidorach<sup>191</sup>, obfitością pięknych słów i pergaminem z wielką woskową pieczęcią, w którym sam Jakub III król Anglii, onże Jakub VIII król Szkocji nadawał tytuł hrabiowski swojemu wiernemu poddanemu, wielce miłemu Fergusowi Mac-Ivor z Glennaquoich, w hrabstwie Perth, królestwie Szkocji.

Mając przed oczami tę błyszczącą mu w przyszłości hrabiowską koronę, Fergus pogrążył się cały w tajnych porozumieniach i spiskach owego nieszczęsnego okresu; podobnie też jak inni tego typu czynni agenci, uspił w sobie sumienie co do pewnych działań w służbie swego stronnictwa, od których honor i duma byłyby go powstrzymały, gdyby jedynie własną korzyść miał na oku. Przeniknąwszy w ten sposób śmiały, ambitny i zapalczywy, a jednocześnie chytry charakter polityka, podejmujemy przerwana nić naszego opowiadania.

Naczelnik i gość jego doszli tymczasem do dworu w Glennaquoich, składającego się z dworca *lana nan Chaistel*, wysokiej kwadratowej wieży o surowym wyglądzie, z dobudowanym do niej podwyższonym domem, to jest dwupiętrowym budynkiem, postawionym przez dziadka Fergusa po powrocie z owej wyprawy, którą zachodnie hrabstwa wspominają pod nazwą Wojska Góralskiego<sup>192</sup>. W czasie tej „krucjaty” przeciwko wigom i członkom konfederacji w Ayrshire<sup>193</sup> ówczesnemu Vich Ian Vohrowi powiodło się zapewne nie gorzej niż przodkowi jego pustoszącemu Northumberland, toteż pozostawił on potomkom równorzędną budowlę jako pomnik swej świetności.

Dokoła domu, który stał na wzniesieniu pośrodku wąskiej doliny, nie było widać ani śladu dbałości o udogodnienia, a tym mniej o ozdobę i tło, czego przestrzegano zazwyczaj w otoczeniu domów pańskich. Kilka zagonów przedzielonych murem z luźno ułożonych kamieni stanowiło jedyną ogrodzoną część posiadłości. Pozostałe, wąskie równinne skrawki, leżące nad brzegiem potoku, obsiane były rzadkim jęczmieniem, nieustannie tratowanym przez stada czarnego bydła i małych koników pasących się na przyległych wzgórkach.

Szkodników tych, coraz to wpadających na orne pole, wypląsała głośnym, hałaśliwym, drażniącym uszy krzykiem gromada góralskich pastuchów, którzy w liczbie pół tuzina biegali jak szaleńcy, przywołując tyleż na pół zagłodzonych psów na ratunek

---

<sup>191</sup> luidor - złota moneta francuska.

<sup>192</sup> Wojsko Góralskie - w r. 1674 Lauderdale, namiestnik Jakuba II Stuarta, przyciągnął kilka „tysięcy górali do walki z wigami.

<sup>193</sup> konfederacja w Ayrshire - zgromadzenie prezbiterian w 1638 r. w Ayrshire (południowo-zachodnia Szkocja), na którym spisany został Kowenent, tj. dokument zawierający przysięgę prezbiterian szkockich, że bronić będą Kościoła w tej postaci, w jakiej został utworzony za czasów reformacji. Był to akt wymierzony przeciw Karolowi I Stuartowi, który zamierzał narzucić prezbiterianom obrzędowość anglikańską. Kowenent zjednoczył szerokie masy ludowe, wybuchło nawet powstanie znane pod nazwą „wojen biskupich”. W r. 1644 kowenantyści poparli zbrojnie prezbiterian londyńskich, stanowiących wówczas większość w Parlamencie, w ich



zagrożonych zbiorów. W niewielkiej odległości od polanki rósł mały laszek karłowatych brzoź; wysokie porosłe wrzosem wzgórza uderzały swą jednostajnością; cały więc krajobraz był raczej dziki i pusty niż wspaniały i samotny. A jednak tej posiadłości, takiej, jaką ona była, żaden potomek *lana nart Chaistel* nie byłby zamienił na Stowe<sup>194</sup> ani na Blenheim<sup>195</sup>.

Było tam jednakże przed bramą coś, co mogłoby pierwszemu właścicielowi Blenheimu sprawić większą przyjemność niż najpiękniejszy widok w posiadłości, którą go wdzięczność ojczyzny obdarzyła. Stało tam ze stu górali, w pełnym stroju i uzbrojeniu, na widok których naczelnik od niechcienia przeprosił Waverleya. Zapomniał o tym - tłumaczył się - że kazał wystąpić pewnej grupie członków swego klanu, by się przekonać, czy trwają oni w pogotowiu do obrony kraju i zapobiegania takim wypadkom jak ten, który - z żalem się o tym dowiedział - spotkał barona Bradwardine. Zanim się tych ludzi rozpuści, może by kapitan Waverley zechciał przyjrzeć się niektórym ich ćwiczeniom.

Edward zgodził się chętnie, a ludzie sprawnie i dokładnie wykonali kilka zwykłych wojskowych ruchów. Następnie strzelali pojedynczo do celu, wykazując nadzwyczajną zręczność we władaniu pistoletem i strzelbą. Celowano zależnie od rozkazu z postawy stojącej, siedzącej, pochylej lub leżącej, a strzał nigdy nie chybiał tarczy. Następnie stanęli parami do ćwiczeń szablą, a kiedy tak każdy z osobna wykazał swą umiejętność i wprawę, połączyli się w dwie grupy i odbyli rzekome starcie, przy czym atakowi, walce wręcz, ucieczce, pogoni i całemu przebiegowi gwałtownego boju towarzyszyły dźwięki wielkiej wojennej kobzy.

Na dany przez naczelnika znak walkę przerwano. Teraz odbyły się zawody w bieganiu, mocowaniu się, skokach, przeciąganiu drąga i innych grach, w czym feudalna milicja wykazała niebywałą szybkość, siłę i zwinność, osiągając cel, jaki naczelnikowi leżał na sercu; wywarł bowiem na Waverleyu poważne wrażenie, ukazując wartość żołnierzy i potęgę tego, który jednym skinieniem nimi rządził.<sup>196</sup>

---

walce z rojalistami, zwolennikami Stuartów.

<sup>194</sup> Stowe - rezydencja ks. Buckingham (1592-1628), faworyta Stuartów: Jakuba I i Karola I.

<sup>195</sup> Blenheim - rezygnacja księcia Marlborough (1650-1722), generała i dowódcy angielskiego, który w czasie hiszpańskiej wojny sukcesyjnej (1701-1713) odniósł szereg zwycięstw.

<sup>196</sup> Dla wytłumaczenia ćwiczeń wojskowych oglądanych przed zamkiem Glennaquoich, autor zwraca uwagę, że górale nie tylko umieli się doskonale obchodzić z szablą i strzelbą oraz uprawiali rozmaite wyrabiające dzielność gry i próby sił, rozpowszechnione w całej Szkocji, lecz odbywali też specjalną musztrę, dostosowaną do ich stroju i sposobu walki. Istniały np. rozmaite sposoby noszenia pledu, inny w czasie spokojnej wędrówki, inny gdy groziło niebezpieczeństwo; inaczej się też nim otulano, gdy można się było spodziewać niezakłóconego spoczynku, inaczej zaś, gdy przy najbliższym alarmie należało stanąć w pogotowiu bojowym z szablą i pistoletem w rękę...

Przy gwałtownym natarciu zarzucano wszelkie okrycia i klan szedł do walki w samych kaftanach nie licząc ułożonych specjalnie koszul, które podobnie jak u Irlandczyków bywały zawsze obszerne, oraz dużych trzósów z kozłej skóry. (*Z przypisów autora: „Dyscyplina wśród górali”*)

- Iluż to takich zuchów ma szczęście nazywać pana swoim dowódcą? - zapytał Waverley.

- Za dobrą sprawę i pod kochanym przez siebie naczelnikiem plemię Ivora rzadko wychodziło w pole w liczbie niższej od pięciuset szabel. Ale pan pojmuje, kapitanie Waverley, że ustawa o rozbrojeniu, uchwalona przed mniej więcej dwudziestu laty, nie pozwala na utrzymanie ich w stanie pełnego pogotowia jak w dawniejszych czasach, toteż utrzymywać mogę pod bronią tylu tylko członków mego klanu, ilu ich potrzeba dla obrony własności mojej i moich przyjaciół zagrożonej przez takich ludzi jak pański wczorajszy gospodarz; rząd zaś, który zniósł inne środki bezpieczeństwa, musi się godzić na naszą samoobronę.

- Ależ z pańskim wojskiem mógłby pan zniszczyć albo uśmierzyć takie bandy jak drużyna Donalda Bean Lean.

- Tak jest niewątpliwie, ale w nagrodę byłbym wezwany do oddania generałowi Blakeney w Stirling tych niewielu szabel, które nam zostały; nie byłoby to zręczne posunięcie, wszak prawda? Ale proszę, chodźmy, kapitanie, głos piszczałek oznajmia nam, że obiad gotowy. Niechże mam zaszczyt wprowadzić pana do mego skromnego domu.

## ROZDZIAŁ XX

### Uczta góralska

Zanim Waverley wszedł do sali jadalnej, zaproponowano mu patriarchalne odświeżenie w postaci obmycia nóg, które ze względu na duszne powietrze i przebyte bagniska stało się czynnością wielce pożądaną. Nie był on wprawdzie przy tej sposobności obsłużony tak świetnie jak bohaterscy wędrowcy z Odysei<sup>197</sup>, gdyż roli kąpielowej nie pełniła tu nadobna dziewczyna, umiejętnie rozcierająca członki i polewająca je wonną oliwą, lecz zasuszona w dymie, koścista, stara góralka, która bynajmniej nie czuła się zaszczycona tym nałożonym na nią obowiązkiem, gdyż mruknęła pod nosem:

- Stada naszych ojców nie pasły się razem, żebym ja musiała świadczyć wam tę posługę.

Mały datek jednakże całkowicie wynagrodził tej wiekowej pokojówce jej rzekome poniżenie, gdy zaś Edward przechodził do jadalni, pożegnała go gaelickim przysłowiem:

- „Niech hojna ręka jak najwięcej zagarnie”!

Sala, w której przygotowano ucztę, zajmowała całe dolne piętro starożytnej budowli *lana nan Chaistel*, a wielki stół dębowy - całą jej długość. Zastawa stołowa była skromna aż do pierwotności, a towarzystwo liczne, nawet tłumne.

Na czołowym miejscu zasiadł sam naczelnik z Edwardem i kilkoma gośćmi z sąsiednich klanów; starsi z jego własnego szczepu, trzymający części jego dóbr zastawem lub dzierżawą, siedzieli w dalszej kolejności, następnie synowie ich, bratankowie i młeczni bracia, za nimi urzędnicy domu naczelnika rozsądzeni wedle godności, najniżej zaś czynszownicy, którzy własnoręcznie uprawiali ziemię. Oprócz tego długiego szeregu biesiadników Edward dostrzegł na trawniku, widocznym przez otwarte na oścież, ogromne podwójne drzwi, wielką liczbę górali o jeszcze mniejszym znaczeniu, którzy byli jednak uważani za gości i uczestniczyli zarówno w oglądaniu oblicza gospodarza, jak i w samej uczcie. W pewnej odległości, snując się dokoła tej ostatniej granicy bankietu, widniała gromada kobiet, obdartych chłopaków i dziewcząt, żebraków różnego wieku, wielkich psów gończych, terierów, wyźłów i kundli pośledniego gatunku, a wszystko to brało mniej lub więcej bezpośredni udział w głównej akcji przedstawienia.

Ta gościnność, na pozór nieograniczona, nosiła jednak w sobie pewien rys oszczędności. Zadano sobie sporo trudu w przyprawianiu dań z ryby czy zwierzyny oraz

---

<sup>197</sup> wędrowcy z Odysei - mowa o Odyseuszu, gościnnie przyjętym przez króla Feaków Alkinoja i jego córkę Nauzykaę (Odyseja - Homera).

innych potraw ustawionych w górnej części stołu, tuż przed oczami angielskiego gościa. Poniżej stały olbrzymie, nieforemne udźce baranie i wołowe, co, gdyby nie brak wieprzowiny<sup>198</sup>, nie cierpianej w górach, przypominałoby prostackie biesiady zalotników Penelopy<sup>199</sup>. W środku stołu ustawiono roczne jagnię upieczone w całości. Stało ono na nogach, z pękiem pietruszki w zębach - a to prawdopodobnie dla zadowolenia ambicji kucharza, który więcej dbał o obfitość niż o wytworność stołu swego pana. Boki biednego zwierzęcia atakowali zaciekle członkowie klanu, ten puginałem, inni nożami, które zwykli trzymać w jednej pochwie ze sztyletem - tak że niebawem przedstawiało już ono obraz oplakany. W niższej części stołu dania wydawały się jeszcze prostsze jakością, choć wystarczająco obfite. Polewka, cebula, ser i resztki biesiady raczyły synów Ivora uczujących na wolnym powietrzu.

Trunków dostarczano w tej samej proporcji i wedle podobnego porządku. Wyborowym winem czerwonym i szampanem częstowano hojnie najbliższych sąsiadów naczelnika: *whisky*, pełne albo rozcieńczone, oraz mocne piwo krzepiło tych, którzy siedzieli bliżej szarego końca. Nikogo też widocznie owa nierówność w poczęstunku nie obrażała. Każdy z obecnych rozumiał, że gust swój winien stosować do zajmowanego przy stole miejsca; toteż dzierżawcy ze swą czeladzią stale utrzymywali, że wino ziębi im żołądki, i prosili, niby to z własnego wyboru, o ten napój, który im przez oszczędność wyznaczono<sup>200</sup>. Kobziarze, których było trzech, wygrywali przez cały czas trwania obiadu jakąś straszliwą wojenną melodię, a echo sklepionego pułapu i dźwięk celtyckiej mowy wytwarzały taki hałas, przypominający wieżę Babel, że Waverley lękał się ogłuchnięcia. Mac-Ivor przeproszał gościa za zamęt spowodowany tak licznym zgromadzeniem, lecz bronił się wymogami swego stanowiska, którego pierwszym obowiązkiem była nieograniczona gościnność.

---

<sup>198</sup> Mięsa wieprzowego we wszelkiej postaci aż do ostatnich czasów nie znoszono w Szkocji, a i teraz jeszcze nie zalicza się ono tam do potraw ulubionych. Przesąd ten wprowadzi! do Anglii król Jakub, który czuł do wieprzowiny odrazę niemal równie silną jak do tytoniu. Ben Johnson (angielski poeta dramat. (1571-1637) - *obj. red.*) upamiętnił tę jego właściwość. Bankiet przygotowany dla diabła przez Jakuba składać się miał z wieprzowej polędwicy i łba jesiotra oraz fajki z tytoniem dla lepszego trawienia. (*Z przypisów autora: „Wstret Szkotów do wieprzowiny”*).

<sup>199</sup> Penelopa - żona Odyseusza, która mimo natarczywości licznych zalotników, wiernie oczekiwała powrotu Odysa z długoletniej wędrówki (Odyseja)

<sup>200</sup> Co się tyczy osób rozmaitej rangi, zasiadających przy tym samym stole, lecz wcale nie do tych samych potraw, przywódcy góralscy utrzymali tylko zwyczaj przyjęty dawniej w całej Szkocji. „Ja sam - odpowiada podróżnik Fynes Morrison, opisując nizinną dzielnicę Szkocji pod koniec panowania królowej Elżbiety - byłem w domu pewnego rycerza, obsługiwane przez liczną służbę, która podawała mu potrawy, nosząc na głowach błękitne czapeczki. Większa część stołu była zastawiona wielkimi misami z owsianką, w której pływał kawałek gotowanego mięsa. Podawany obiad, służba również zasiadała do stołu, tylko że w górskiej jego części zamiast owsianki stały pulardy ze śliwkami w sosie”. (*Travels*. str. 155). Aż do ubiegłego stulecia (XVIII w. - *obj. red.*) nawet zamożni farmerzy jadaliby razem ze służbą. Różnicę stanowiska biesiadników oznaczano przez zajmowanie miejsc powyżej lub poniżej solnicy a niekiedy też za pomocą linii nakreślonej na stole kredą. (*Z przypisów autora: „Szkocki stół”*).

- Ci dziarscy, ale leniwi moi współplemieńcy - mówił - uważają moje dobra za powierzone mi dla ich utrzymywania, ja zatem muszę starać się dla nich o wołowinę i piwo, gdy tymczasem te nicponie nie chcą wcale na siebie pracować, woląc odbywać ćwiczenia szablą albo wędrować po górach, strzelać, łowić ryby, polować, pić i umizgiwać się do dziewcząt po dolinach. Ale cóż ja na to poradzę, kapitanie Waverley? Każdy chce żyć wedle swego przyrodzenia, czy to będzie jastrząb, czy góral.

Edward odpowiedział tak, jak wypadało, winszując naczelnikowi posiadania tylu odważnych i oddanych sobie ludzi.

- No tak - rzekł naczelnik. - Gdybym miał ochotę, tak jak mój ojciec, narazić się na oberwanie guza na głowie albo paru cięć w kark, sądzę, że te szelmy stanęłyby przy mnie. Ale któż by o tym myślał, gdy przeważa zdanie, że „lepsza stara baba z sakiewką w ręku niż trzech mężczyzn z szablami u pasa”?

Tu, zwracając się do całego towarzystwa, wznosił toast „za zdrowie kapitana Waverleya, godnego przyjaciela miłego mu sąsiada i sprzymierzeńca, barona Bradwardine”.

- Radzi mu tu jesteśmy - odezwał się jeden ze starszych- skoro przybywa od Cosmo Comyne Bradwardine.

- A ja się temu sprzeciwię - przemówił jakiś starzec, który widocznie nie zamierzał spełnić tego toastu. - Ja na to powiem: Nie! Póki choć jeden liść zieleni się w lesie, nieszczerłość gościć będzie w duszy Comyne’a.

- Honor tylko mieszka w duszy barona Bradwardine - wmieszał się inny sędziwy biesiadnik - a gość, który tu przychodzi od niego, powinien być mile powitany, choćby nawet miał rękę skrwawioną, byleby to nie była krew plemienia Wora.

Starzec, którego kielich stał przed nim dalej nie tknięty, odpowiedział:

- Dostyc już krwi plemienia Wora splamiło rękę Bradwardine’a.

- Ach, Ballenkeiroch! - odpowiedział poprzedni. - Ty wolisz pamiętać o błysku strzelby na pastwisku Tully-Veolan niż o cięciach szabli, co pod Preston walczyła za sprawę.

- I mam prawo - odparł Ballenkeiroch. - Błysk strzelby zabrał mi jasnowłosego syna, szabla niewiele zdziałała dla króla Jakuba.

Naczelnik w krótkich słowach wyjaśnił po francusku Waverleyowi, że baron zastrzelił temu starcowi syna w potyczce w pobliżu Tully-Veolan, przed jakimś siedmiu laty, po czym pospieszył zażegnać uprzedzenia Ballenkeirocha, tłumacząc mu, że Waverley jest Anglikiem, nie złączonym ani pokrewieństwem, ani powinowactwem z rodziną Bradwardine, wobec czego starzec podniósł swój pełny dotąd kielich i uprzejmie wychylił go za zdrowie Waverleya. Gdy tenże wypił na podziękowanie, naczelnik skinieniem uciszył kobzy i

przemówił głośno:

- Gdzież się to pieśń ukryła, moi przyjaciele, że jej Mac-Murrough odnaleźć nie może?

Mac-Murrough, bard rodu, człowiek wiekowy, natychmiast posłuchał wezwania i zaczął śpiewać, cicho i szybko wygłaszając długi szereg celtyckich wierszy, które słuchacze przyjmowali z objawami entuzjazmu. W miarę jak się w swej deklamacji posuwał, zapal jego rósł. Rozpoczął pieśń z oczyma utkwionymi w ziemię, teraz jął wodzić nimi dokoła, jak gdyby prosząc coraz natarczywiej o uwagę, a głos jego przybierał dziką i namiętą nutę, której towarzyszyła odpowiednia gestykulacja. Zdawało się Edwardowi, gdy słuchał go z wielkim napięciem, że wymienia on wiele imion własnych, że oplakuje umarłych, zwraca się do nieobecnych, że upomina, błaga i wzywa słuchaczy. Waverley odniósł nawet wrażenie, że dosłyszał swoje własne imię, a że domysł był trafny, dowiodły tego spojrzenia, które równocześnie skierowały się ku niemu. Zapal poety zdawał się udzielać słuchaczom. Śmiałe ich i ogorzałe twarze przybrały wyraz dzikszyszy i bardziej ozywiony, wszyscy pochylali się ku pieśniarzowi, wielu zerwało się i w uniesieniu wymachiwało rękoma, a niektórzy chwywali za rękojeść szabli. Gdy pieśń ucichła, zaległo głębokie milczenie, dopóki wzburzone uczucia poety i słuchaczy nie powróciły stopniowo do zwykłego stanu.

Naczelnik, który podczas tej sceny zdawał się raczej śledzić obudzone wrażenia niż uczestniczyć w żywiołowym zapale, napelnił winem małą, stojącą przed nim, srebrną czarękę.

- Daj to - rzekł do jednego ze służby - Mac-Murroughowi *nan Fonn* (to znaczy „od pieśni”), a gdy wypije sok, proś go, by na pamiątkę Vich Ian Vohra zatrzymał skorupę tykwy, która go zawierała.

Edwardowi szczególnie zależało na tym, by dowiedzieć się znaczenia tej pieśni, która tak silnie odbiła się na uczuciach towarzystwa, i o tej chęci swej napomknął gospodarzowi.

- Ponieważ uważałem - powiedział naczelnik - że uchylił się pan od trzech ostatnich kolejek, miałem właśnie zaproponować panu przejście na herbatę do stołu mojej siostry, która potrafi wytłumaczyć te rzeczy lepiej ode mnie.

Edward chętnie zgodził się na tę propozycję, naczelnik zaś, powiedziawszy parę słów sąsiadom, wstał od stołu, a za nim Waverley. Gdy się drzwi za nim zamknęły, Edward posłyszał, jak wznoszono zdrowie Vich Ian Vohra głośnym i ozywionym okrzykiem, świadczącym o zadowoleniu gości i o tym, jak z głębi duszy są mu oddani.

## ROZDZIAŁ XXI

### **Siostra naczelnika**

Salon Flory Mac-Ivor umeblowany był nader prosto i skromnie; w Glennaquoich bowiem o ile możliwości ograniczano wszelkie wydatki, ażeby móc należycie i godnie podtrzymać gościnność naczelnika i utrzymać oraz pomnożyć ilość jego klientów i stronników. Nie było jednak widać tej oszczędności w stroju samej damy, który sporządzony był z materiału eleganckiego, a nawet bogatego, a w układzie łączył modę paryską ze skromnym krojem góralskim w sposób - pełen wytworności i dobrego smaku. Włosów jej nie szpeciła sztuka fryzjerska, więc opadały one swobodnie kruczymi kędziorami na szyję, powstrzymane tylko przepaską, bogato wysadzaną diamentami. W tym względzie zastosowała się do pojęć góralskich, nie znoszących, by kobieta przed zamążpójściem nakrywała głowę.

Flora Mac-Ivor była uderzająco podobna do swego brata Fergusa, do tego stopnia nawet, że mogliby byli zagrać Violę i Sebastiana<sup>201</sup>, osiągając w tych rolach to samo wrażenie, co pani Henry Siddons<sup>202</sup> i brat jej William Murray. Mieli oboje tę samą klasyczną regularność profilu, te same ciemne oczy, rzęsy, brwi, tę samą nieskazitelną cerę - z tą tylko różnicą, że u Fergusa była ona ogorzała od słońca i wiatru, a u Flory zaś zachowała iście kobiecą delikatność. Wyniosła jednak i trochę surowa regularność rysów Fergusa przepięknie była złagodzona w obliczu Flory. Głosy również miały ton podobny, choć różniły się wysokością. Głos Fergusa, zwłaszcza gdy podwładnym swoim wydawał rozkazy podczas ich wojskowych ćwiczeń, przypominał Edwardowi ulubiony ustęp z opisu Emetriusa:

...którego rozkaz rozlegał się<sup>203</sup> głośny,

Jako srebrzystej trąbki głos donośny.

Głos Flory przeciwnie, łagodny był i słodki - „doskonała rzecz w kobiecie”<sup>204</sup>; dotykając jednak jakiegoś ulubionego tematu, co czyniła z wrodzoną łatwością wymowy, umiała nadać mu ton budzący cześć i uległość, a jednocześnie zręcznie przekonywający.

---

<sup>201</sup> Viola i Sebastian - bliźniacze, niezwykle podobne do siebie rodzeństwo ze sztuki Szekspira Wieczór trzech króli.

<sup>202</sup> Henry Siddons - znana aktorka angielska (1783-1849), siostra słynnego aktora Williama Murraya, z którym prowadziła teatr w Edynburgu. (W teatrze tym wystawiano inscenizacje powieści Waltera Scotta)

<sup>203</sup> którego rozkaz rozlegał się... itd. - słowa z poematu Palamon i Arcyte Johna Drydena (1651-1700), angielskiego poety dramaturga.

<sup>204</sup> głos... doskonała rzecz w kobiecie - słowa ze sztuki Szekspira Król Lir.

Żywe spojrzenie bystrych, czarnych oczu, które u naczelnika zdawało się wyrażać zniecierpliwienie wobec wszelkich napotykaných przeszkód, u siostry jego powlekało się łagodną zadumą. Jego spojrzenia zdawały się szukać chwały, potęgi, wszystkiego tego, co w wyścigu życiowym wynieść go mogło nad innych; natomiast u niej, jak gdyby osiągnęła już poczucie swej umysłowej wyższości, wzrok świadczył nie tyle o zazdrości, co raczej o politowaniu dla tych, którzy ubiegają się jeszcze o dalsze zaszczyty.

Uczucia jej były w zgodzie z wyrazem jej twarzy. Wczesne wychowanie zaszczerpiło w jej duszy, podobnie jak i w duszy naczelnika, najwierniejsze przywiązanie do wygnanej rodziny Stuartów. Wierzyła, że obowiązkiem jej brata, jego klanu, każdego wreszcie człowieka w Brytanii, jest dążenie, z wszelkim narażeniem osobistym, do przyspieszenia jej powrotu do władzy, którego stronnicy kawalera de St. George nie przestawali oczekiwać. Dla tej sprawy gotowa była zrobić wszystko, ścierpieć wszystko, poświęcić wszystko. Lecz lojalność jej, przewyższająca jeszcze fanatyzmem gorliwość brata, górowała nad nią także i czystością. Przywykły do małostkowych intryg i z konieczności wciągnięty w tysiące marnych i samolubnych sporów, ambitny zresztą z przyrodzenia Fergus - jeśli nie skaził swej politycznej wiary, to przynajmniej zabarwił ją nadziejami korzyści i kariery, tak łatwo z nią idącymi w parze: z chwilą zaś gdyby mu przyszło dobyć z pochwy miecza, trudno może byłoby orzec, czy silniej przyświeca mu chęć uczynienia Jakuba Stuarta królem, czy też Fergusa Mac-Ivor hrabią. Był to splot uczuć, do którego sam się nie przyznawał, lecz który tkwił w nim z niewątpliwą potęgą.

W sercu Flory, przeciwnie, lojalna gorliwość paliła się czystym płomieniem, bez przymieszki jakiegokolwiek samolubnego uczucia.

Szczególnie względy ze strony kawalera de St. George i księżnej, jego żony, dla rodziców Fergusa oraz dla nich samych w ich sieroctwie, utwierdziły jeszcze ich wierność. Fergus po śmierci rodziców był przez czas jakiś honorowym paziem w orszaku księżny, a dzięki swej urodzie i żywemu usposobieniu stale był przez nią wyróżniany. To samo odnosiło się do Flory, którą przez pewien czas księżna własnym kosztem utrzymywała w pierwszorzędnym klasztorze, a odebrawszy ją stamtąd, umieściła w gronie własnej rodziny, gdzie Flora spędziła prawie dwa lata. Oboje, tak brat jak i siostra, zachowali jej dobroć w najgłębszej i najwdzięczniejszej pamięci.

Dotknąwszy w ten sposób zasadniczego pierwiastka w charakterze Flory, mogą pobieżnie potraktować pozostałe jej cechy. Była bardzo wykształcona i nabrała tych wytwornych manier, jakich się można spodziewać u osoby, która we wczesnej młodości była towarzyszką księżniczki; mimo to nie przyjęła zwyczaju zastępowania prawdziwych uczuć



pozorami grzeczności. Osiadłszy w bezludnej okolicy Glennaquoich, przekonała się, że książki francuskie, angielskie i włoskie docierać do niej będą tylko dorywczo i w ograniczonej mierze; dla wypełnienia więc wolnego czasu część jego poświęciła muzyce i poetyckim tradycjom górali, w czym zaczęła znajdować rzeczywistą przyjemność; brat jej natomiast, obdarzony tępszą wrażliwością w sprawach literackich, udawał raczej ze względu na popularność, niż rzeczywiście odczuwał, zainteresowania w tym kierunku. Do tych badań dodawała jej bodźca niezmierna radość, jaką pytania jej sprawiały tym, do których zwracała się po objaśnienia.

Miłość Flory do swego klanu, tkwiąca niemal ze dziedzicznie w jej duszy, była w niej - podobnie jak i lojalność - uczuciem czystszy niż u brata. Fergus był zanadto przejęty polityką i upatrywał w patriarchalnym swoim wpływie zbyt wyłącznie środek do własnego wywyższenia, ażebyśmy mogli nazwać go wzorem góralskiego przywódcy. I Flora również dbała o podtrzymanie i rozszerzenie ich patriarchalnego wpływu, ale wynikało to ze szlachetnego pragnienia obrony przed biedą, a przynajmniej przed nędzą i obcym uciskiem tych, którymi wedle ówczesnych pojęć tego kraju brat jej miał prawo rządzić. Oszczędności z własnego dochodu (otrzymywała bowiem niewielką pensję od księżny Sobieskiej<sup>205</sup>) przeznaczala nie na wygody ludu, bo tego wyrazu ani nie znali, ani zapewne znać nie pragnęli, ale na zaspokajanie jego najkonieczniejszych potrzeb w chorobie lub starości. W innych okresach życia lud ten raczej starał się zdobyć cośkolwiek, czym by się mógł w dowód przywiązania podzielić z naczelnikiem, nie oczekując z tytułu więzi rodowej innej od niego pomocy prócz prostej gościnności w jego zamku i korzystania z udziału w części jego dóbr. Zarówno przebywanie na ustroniu, jak i własne upodobania panny Mac-Ivor złożyły się na to, że towarzyskie jej stosunki były niezmiernie ograniczone. Jej najbliższą przyjaciółką była Róża Bradwardine, do której bardzo była przywiązana; widziane razem, mogłyby dostarczyć artyście znakomitych modeli dwóch muz - wesołej i melancholijnej. W istocie zakres potrzeb Róży tak był skromny, a ojciec otaczał ją tak wielką tkliwością, że wszelkie jej życzenia wypełniał chętnie, a nie było takiego, które by przechodziło jego możliwość. Inaczej rzecz się miała z Florą. Jeszcze jako niedorośle dziewczę doświadczyła zupełnej zmiany warunków przechodząc od wesołości i świetności do zupełnej samotności i względnej biedy; te zaś pojęcia i życzenia, które ją głównie przejmowały, odnosiły się do wielkich spraw narodowych, do zmian, których bez ryzyka i rozlewu krwi przeprowadzić się nie da, o których przeto z lekkim sercem niepodobna było myśleć. Usposobienie jej cechowała zatem

---

<sup>205</sup> księżna Sobieska - Klementyna, żona Jakuba Edwarda Stuarta (Starego Pretendenta)

powaga; mimo to jednak chętnie umiała czas towarzystwu swoimi talentami i bardzo ceniona była przez starego barona, który śpiewał z nią duety francuskie o Lindorze i Kloryndzie i inne, będące w modzie u schyłku panowania starego Ludwika Wielkiego.

Wierzono ogólnie, choć nikt nie śmiałyby wspomnieć o tym staremu baronowi Bradwardine, że wstawiennictwo Flory przyczyniło się do uśmierzenia gniewu Fergusa, wywołanego ich sprzeczką. Umiała trafić w słabą stronę brata, najpierw kładąc nacisk na wiek barona, a następnie przedstawiając, jaką krzywdę mogłaby ponieść sprawa, a jaką szkodę jego własna opinia pod względem przezorności, tak koniecznej politycznemu działaczowi, gdyby spór ten przeciągnął do ostateczności., W przeciwnym razie mogłoby się to zakończyć pojedynkiem zważywszy, że baron przy jakimś dawniejszym zajściu przelał krew klanu (co prawda, sprawę tę w porę załagodzone) i że miał on opinię doskonałego szermierza, której mu nawet Fergus nieomal raczył zazdrościć. Z tych też powodów należała, żeby się pogodzili, na co naczelnik zgodził się tym chętniej, że sprzyjało to pewnym dalszym jego zamysłom.

Do tej to młodej damy, prezydującej w niewieścim królestwie przy herbacianym stole, wprowadził teraz Fergus kapitana Waverleya, którego ona przyjęła według zwykłych prawideł grzeczności.

## ROZDZIAŁ XXII

### Poezja górska

Moja droga Floro - przemówił po pierwszych przywitaniach Fergus do siostry - zanim powrócę do barbarzyńskiego obrzędu naszych praojców, muszę ci powiedzieć, że kapitan Waverley jest wielbicielem celtyckiej muzy, tym bardziej może, że nie rozumie ani słowa jej mowy. Powiedziałem mu, że jesteś wybitną tłumaczką góralskiej poezji, a Mac-Murrough podziwia twoje przekłady jego pieśni na tej samej zasadzie, na jakiej kapitan Waverley podziwia oryginał - a mianowicie ponieważ ich nie rozumie. Czy byłabyś tak dobra przeczytać albo wyrecytować naszemu gościowi po angielsku ten nadzwyczajny szereg imion, które Mac-Murrough razem nanizął po gaelicku? Założyłbym się, że posiadasz tłumaczenie, gdyż wciąż masz jakieś narady z bardem i znasz zawsze jego pieśni na długo przedtem, nim on je wygłosi w sali.

- Jak możesz tak mówić, Fergusie? Wszak wiesz, jak mało te wiersze mogą interesować obcego, zwłaszcza Anglika, nawet gdybym potrafiła przetłumaczyć je, jak mówisz.

- Nie mniej, niż mnie samego interesują, piękna pani. Dziś wasz wspólny utwór - gdyż powtarzam, że miałaś w nim swój udział - kosztował mnie ostatnią srebrną czarkę na zamku, a przypuszczam, że nie obejdzie się bez czegoś podobnego, gdy następnym razem odbywać będę *cour pleniere*<sup>206</sup>, a muza zstąpi na Mac-Murrougha. Bo przecież znasz przysłowie: „Gdy ręka naczelnika przestaje darzyć, marzenie dech w piersi barda”. Co prawda, sam chciałbym nawet, żeby tak było; trzy są bowiem rzeczy zbyteczne dla dzisiejszego górala: szabla, której nie wolno mu dobyć, bard dla opiewania czynów, których nie śmie naśladować, i sakwa z koziej skóry, w którą nie może wpuścić luidora. Teraz wy sobie tu porozmawiajcie we dwoje o bardach i poezji, jeśli nie o szablach i sakiewkach, ja zaś powrócę czynić ostatnie honory starszyźnie ze szczepu Ivora. - To mówiąc wyszedł z pokoju.

Rozmowa potoczyła się dalej pomiędzy Florą a Waverleyem, gdyż dwie dobrze ubrane młode osoby, które zdawały się zajmować stanowiska pośrednie pomiędzy towarzyszką a służebną, nie brały w niej udziału. Obie były ładnymi dziewczynami, lecz służyły tylko za tło dla wdzięku i piękności swej pani. Rozmowa nie odbiegła od kierunku nadanego jej przez naczelnika, a Waverleya nie tylko zajęło, ale i zdziwiło sprawozdanie, jakie mu dała Flora o poezji celtyckiej.

---

<sup>206</sup> *cour pleniere* (franc.) - nazwę taką nosiły w średniowieczu zgromadzenia zwoływane przez monarchów w okolicznościach ważnych lub szczególnie uroczystych.

- Wygłaszanie wierszy - mówiła - sławiących dzieła bohaterów, skargi kochanków i wojny wrogich szczepów, stanowi w górach najmiłą rozrywkę w zimowe wieczory przy ognisku. Niektóre z tych poezji są podobno bardzo starożytne i jeżeli je kiedy przetłumaczą na jakiś język cywilizowanej Europy, niewątpliwie sprawią one powszechnie głębokie wrażenie. Inne są świeższej daty; stanowią utwory tych rodowych bardów, których naczelnicy o wybitniejszym nazwisku lub znaczeniu utrzymują jako poetów i dziejopisów swojego szczepu. Wartość ich bywa oczywiście różna; wiele ztraca się w tłumaczeniu lub nie trafia do wyobraźni tych, którzy nie umieją dostroić się do uczuć poety.

- A wasz bard, którego uczuciowe wylewy wywarły dziś, jak się zdaje, tak wielkie wrażenie na obecnych, czy zalicza się do ulubionych poetów w górach?

- To jest trudne pytanie. Cieszy się on znaczną sławą wśród współplemieńców i niech pan nie sądzi, że jej nie doceniam.

- Ale ta pieśń, panno Mac-Ivor, zdawała się wzruszać wszystkich tych wojaków, tak młodych, jak i starych.

- Pieśń ta zawiera niewiele więcej niż wykaz nazw góralskich klanów z ich swoistymi właściwościami oraz wezwanie do nich by pamiętały o czynach przodków i starały się godnie im dotrzymać kroku.

- Czyżbym się mylił, że (jakkolwiek brzmi to mało prawdopodobnie) była też jakaś wzmianka o mnie w wierszach, które on recytował?

- Pilny z pana słuchacz, kapitanie Waverley, a w tym wypadku uwaga nie zawiodła pana. Język gaelicki, będąc niezmiernie płynnym, dobrze nadaje się do improwizacji, rzadko też bard pomija sposobność zwiększenia wrażenia obmyślanej z góry pieśni przez wtrącenie paru zwrotek dostosowanych do okoliczności, wśród których ją wygłasza.

- Dałbym najlepszego konia za to, by móc się dowiedzieć, co ten góralski bard mógł znaleźć do powiedzenia o tak niegodnym południowcu jak ja.

- Nie będzie to pana kosztowało nawet pasma włosów z końskiej grzywy. Una, Mavourneen! - Powiedziała słów parę do jednej z młodych dziewczyn, która natychmiast dygnęła i wybiegła z pokoju. - Posłałam Unę, by się dowiedziała od barda, jakich wyrażenń użył, a ja panu służyć będę za tłumaczkę.

- Una powróciła po pewnym czasie i powtórzyła pani swojej kilka wierszy po gaelicku. Flora zastanawiała się przez chwilę, po czym, lekko się rumieniąc, zwróciła się do Waverleya:

- Nie mogę zaspokoić pańskiej ciekawości, kapitanie Waverley, bez narażenia swej miłości własnej. Jeżeli pan zdobędzie się na nieco cierpliwości, spróbuję wpleść znaczenie

tych wierszy do ustępu oryginału, który przetłumaczyłam na angielski. Obowiązki gospodyni przy herbacie są już, zdaje się skończone, a że wieczór jest cudowny, Una zaprowadzi pana do jednego z moich ulubionych zakątków, dokąd i ja z Katliną przyjdę za chwilę.

Una, po otrzymaniu wskazówek w swej rodzinnej mowie, wyprowadziła Waverleya z pokoju innym, nie znanym mu jeszcze przejściem. Z dala dochodził wciąż gwar sali rozbrzmiewającej dźwiękiem kobz i ochoczymi okrzykami gości. Wyszedszy tylnymi drzwiami, skierowali się zrazu dnem dzikiej, ciemnej i wąskiej doliny, w której stał dom, dążąc wzdłuż wijącego się po niej strumienia. O jakie ćwierć mili od zamku doszli do miejsca, gdzie dwa małe potoki łączyły się tworząc wspomnianą już rzeczkę. Większy spływał z długiej, pustej doliny, ciągnącej się jednostajnie aż tam, dokąd pozwalały sięgnąć wzrokiem wzgórza stanowiące jej granicę. Natomiast drugi potok, mający swe źródła w górach po lewej stronie równiny, zdawał się wypływać z bardzo wąskiego i ciemnego żlebu pomiędzy dwiema wielkimi skałami. Różny był też charakter obu strumyków. Większy był spokojny, a nawet leniwy w biegu, tworzył gdzieśgłębokie wiry lub drzemał w ciemnoniebieskich stawkach, mniejszy potoczek - przeciwnie - był rączy i porywisty, wynurzał się spośród stromych przepaści z pianą i rykiem niby szalenie z zamknięcia.

W górę tego właśnie potoczka prowadziła Waverleya, jak rycerza z bajki, nadobna góralska panienka, milcząca jego przewodniczka. Wąska ścieżka, w wielu miejscach poprawiona dla wygody Flory, wiodła go przez krajobraz zupełnie odmienny od tego, który dopiero co opuścił. Dokoła zamku wszystko było chłodne, nagie i puste, ale nawet w tej pustce sprawiało wrażenie krainy zamieszkaney; ta zaś dolina, choć tak mało odległa, zdawała się prowadzić w świat Bajki. Skały przybierały tysiąc dziwacznych i różnorodnych kształtów. W jednym miejscu wielki głaz stawał całym swym ogromem w poprzek drogi, jak gdyby broniąc przechodniowi dalszego przejścia; dopiero przybliżywszy się do samej jego podstawy Waverley dostrzegł nagły i ostry zakręt ścieżki obiegającej tę groźną przeszkodę dokoła. W innym miejscu wystające z obu stron, wysokie skały tak się ku sobie zbliżyły, że parę przerzuconych pni drzewnych, pokrytych darnią, tworzyło kładkę na wysokości przynajmniej stu pięćdziesięciu stóp. Mostek ten był bez poręczy i miał zaledwie trzy stopy szerokości.

Przyglądając się temu niebezpiecznemu przejściu, rysującemu się czarną linią na błękitnym pasku nieba pomiędzy dwiema wystającymi skałami, Waverley ujrzał z przerażeniem Florę i jej towarzyszkę zawieszoną w powietrzu, jak zjawy z innego świata, na tej chwiejącej się kładce. Flora zatrzymała się widząc go na dole i z wdzięczną swobodą, wobec której zadrżał, skinęła mu chusteczką. Edward, tknięty zawrotem głowy na widok tej sytuacji, nie zdołał nawet odpowiedzieć jej ukłonem, nigdy też nie odczuł takiej, ulgi, jak

wówczas gdy piękne zjawisko minęło ryzykowne przewieszenie, na którym tak niedbale zdawało się unosić, i zniknęło po stronie przeciwnej.

O kilka kroków dalej przewinąwszy się pod owym mostkiem, który Edward oglądał z takim przerażeniem, ścieżka wznosiła się dość stromo znad brzegu strumyczka i dolinka rozszerzała się w leśny amfiteatr, pełen brzoź, dębczaków i leszczyny z tu i ówdzie pojawiającym się cisem. Skały odsunęły się teraz w głąb, nie przestając jednak ukazywać swych siwych, poszarpanych grzbietów sponad zieleni gajów. Dalej wznosiły się wyżyny i szczyty, niektóre nagie, inne pokryte lasem, jeszcze inne kopiaste i purpurowe od wrzosów lub wreszcie połupane w skały i turnie.

Po nagłym ostrym zakręcie ścieżka, która na pewnej przestrzeni odbiegła od potoku, doprowadziły Waverleya niespodziewanie tuż przed malowniczy wodospad. Nie odznaczał się on ani wielką wysokością, ani obfitością wody, ale przede wszystkim pięknnością otoczenia. Spadając przerywaną kaskadą z wysokości jakich dwudziestu stóp, potok spływał w obszerny naturalny zbiornik zapełniony po brzegi wodą tak niezmiernie czystą, że tam gdzie znikły już bańki powietrza, wzniecone przez pęd siklawy, pomimo wielkiej głębi rozróżnić było można każdy kamyczek dna. Wijąc się w burzliwych skrętach dokoła tego basenu, potok znajdował sobie ujście poprzez wyrąbaną jakby część skalnej półki i rzucał się drugim wodospadem w dół, niby w samą przepaść; następnie, wytaczając się tam w dole pomiędzy gładkich, czarnych skał, które wypolerował w ciągu długich wieków, biegł szemrząc dnem dolinki i tworzył - ten właśnie strumień, wzdłuż którego Waverley dopiero co się wspinał<sup>207</sup>. Brzegi tego romantycznego zbiornika wód dostosowane doń były urodą, lecz było to piękno surowe, nieledwie wkraczające w stan grozy. Zielone smugi trawnika, poprzegradzane wielkimi głazami, zdobne były w drzewa i krzewy, niektóre zasadzone pod dozorem Flory, ale tak umiejętnie, że dodawały uroku krajobrazowi nie zmniejszając jego romantycznej dzikości.

Tutaj, niby jedną z tych pięknych postaci zdobiących krajobrazy Poussina<sup>208</sup>, zastał Waverley Florę przyglądającą się wodospadowi. O dwa kroki dalej stała Katlina trzymając małą szkocką harfę, na której grać nauczył Florę Rory Dall, jeden z ostatnich harfiarzy w zachodniej połaci gór. Słońce, chylące się już do spoczynku, zabarwiało tęczowo wszelkie przedmioty otaczające Waverleya i zdawało się udzielać nadludzkiego blasku ciemnym,

---

<sup>207</sup> Opis wodospadu wspomnianego w tym rozdziale wzorowany jest na kaskadzie Ledoard obok fermy tejże nazwy po północnej stronie Lochard. w pobliżu źródeł jeziora, o cztery czy pięć mil od Aberfoyle. Wodospad to niedużych rozmiarów, lecz jeden z najpiękniejszych, jakie sobie wyobrazić można. (*Z przypisów autom: „Wodospad”*).

<sup>208</sup> Poussin Nicolas (1594-1663) - malarz francuski.

wyrazistym oczom Flory, uwydatniać czystość i gładkość jej cery, dodawać godności i wdzięku jej wspaniałym kształtom. Edward pomyślał, że nigdy, w najśmielszych nawet snach, nie widywał postaci tak doskonale pięknej i powabnej. Dzikie piękno tego ustronia działało na niego jak czar, potęgując uczucie zachwyty i czci, z jaką zbliżał się do niej, niby do pięknej wróżki Boiarda<sup>209</sup> czy Ariosta<sup>210</sup>, za której skinieniem powstał ten krajobraz, raj wśród dzikiego pustkowia.

Flora, jak każda piękna kobieta, świadoma była swojej potęgi i rada z wrażenia, o którym świadczył pełen szacunku i zmieszania powitalny ukłon młodego żołnierza.

Będąc jednak nieprzeciętnie rozsądną brała w pełni pod uwagę romantyczność otoczenia i inne przypadkowe okoliczności przy ocenie uczuć, które widocznie opanowały Waverleya; nie znając zaś kapryśnego i wrażliwego jego charakteru, uważała hołd jego za haracz przelotny, który w podobnym położeniu byłby złożył innej, mniej pięknej kobiecie. Toteż spokojnie zaprowadziła go do miejsca, na tyle oddalonego od wodospadu, że szum jego mógł, nie przeszkadzając, towarzyszyć jej głosowi i dźwiękom instrumentu, a zasiadłszy na omszałym kamieniu, odebrała harfę z rąk Katliny.

- Naraziłam pana na tak uciążliwą drogę, kapitanie Waverley, raz dlatego, że sądziłam, iż krajobraz się panu spodoba, a po wtóre, ponieważ pieśń góralska ucierpiałaby jeszcze bardziej na moim nieudolnym tłumaczeniu, gdybym ją panu zaśpiewała bez właściwego jej, dzikiego a zgranego z nią wtóru. Mówiąc poetyckim językiem mego kraju, siedziba celtyckiej muzy kryje się w mgle tajemniczego wzgórza, a głosem jej jest szmer górskiego potoku. Ten, kto mojej łaski zabiega, musi bardziej kochać nagą skałę niż żyzną dolinę i samotność pustki przenosić nad huczny gwar sal biesiadnych.

Flora zastąpiła rytmiczne i monotonne *recitatho* bardzo wzniosłą i niezwykłą góralską melodią, która w dawnych wiekach służyła za pieśń bojową. Parę dorywczych akordów wprowadziło przygrywkę o dzikiej i oryginalnej nucie, dobrze harmonizującej z dalekim wodospadem i cichymi westchnieniami wiecznego wietrzyka w szemrzących liściach osiki, w której cieniu usiadła piękna harfiarka. Następujące wiersze słabe tylko dać mogą pojęcie o uczuciach, z jakimi Waverley słuchał pieśni śpiewanej w takich warunkach i przy tak niezwykłym akompaniamencie.

---

<sup>209</sup> Boiardo Matteo (1434-1494) - autor opowieści (epopei) o Rolandzie pt. Orlando Innamorato (Orland Zakochany).

<sup>210</sup> Ariosto Lodovico (1479-1533)-autor poematu Orlando Furioso (Orland Szalony). Roland (Orlando) - bohater wojen w Hiszpanii prowadzonych przez Karola Wielkiego (742-814), króla Franków, założyciela dynastii Karolingów. Ronald zginął w wąwozie Roncevaux (778 r.) i śmierć jego jest tematem wielu podań,

Mgła się snuje po górach, noc doliny zaściela.  
Lecz ciemniejszym niż one jest sen synów Gaela.  
Obcy człowiek go zrzucił, na krainę spadł całą,  
Każda ręka zdrętwiała, każde serce zaspalo.

Noże leżą beczynn timer w brudnym prochu z tarczami,  
A bezkrwawe szablimer jeno ruda rdza plami.  
Gdy po górach, dolinach strzał się echem rozniesie.  
Jeno głuszec legł martwy, jelen tylko padł w lesie.

Jeśli przodków śmimer czyny wskrzesić głos i pieśń barda,  
Wzrok mu gniewny odpowie czasem nawet pięść twarda!  
Niechaj zmilknimer głos wszelki, niechaj struna ta pęknie,  
Co odradza w nas pamięć o minionych chwil pięknie!

Ale skończył się okres snu i nocy ponury,  
Bo zaranim już jasne rozświeciło nam góry.  
Glenaladalu szczyty już złoci promień brzasku,  
A strugi Glenfinnanu w wesołym skaczą blasku.

Wielkoduszny Morrayu! Ty, wygnańczer nasz drogi,  
Podnieś w jutrzni rumieńcu sztandar sławny na wrogi!  
Niech północne go wiatry hen szeroko rozwina.  
Jak błysk słońca ostatni przed Orkanu godziną.

„O synowie mocarzy! Kiedy świt ten nastanie,  
Czy was jeshczer ma budzić starca harfy brząkanie?”  
Bo każdy z waszych przodków w tej świtania godzinie  
Z łoża zrywał się wiedząc, że - zwycięży lub zginie!

Hej! Od królów Islayu ród wywodzi się stary,  
Dumni klanów wodzowie: Ranald, Sleat i Glengarry!  
Trzem potokom z lodowców jedna ściele się droga!



Złączcie więc się i społem szturm przypuście na wroga!

Tu wielki pies gończy, przybiegłszy z doliny, skoczył na Flore i przerwał śpiew jej swą niewczesną pieszczotą. Na dochodzące z daleka gwizdnięcie zawrócił i pędem strzały puścił się z powrotem.

- To wierny towarzysz Fergus, kapitanie Waverley, - a ów gwizd - to znak mego brata. Uznaje on tylko wesołą poezję i nadchodzi w sam czas, by przerwać długi wyraz szczepów, o których jeden z waszych dowcipnych angielskich poetów tak się wyraża:

Nasi żebracy wysokiego rodu,  
Co boso chodząc, przymierają z głodu.  
Mac-Leany, Mac-Kenzie i Mac-Gregory,  
Jest ich tu zastęp wcale spory.

Waverley wyraził żal, że śpiew został przerwany.

- O, pan nawet nie zgadnie, ile pan stracił! Bard, świadom swych obowiązków, sławi w trzech długich zwrotkach naczelnika Vich Ian Vohr, wyliczając wszystkie jego wielkie dobra i nie zapominając wspomnieć o tym, że jest on pocieszycielem harfiarza i barda, „szafarzem szczodrych darów”. Prócz tego byłby pan usłyszał wezwanie, skierowane do jasnowłosego syna cudzoziemca, który żyje w krainie, gdzie trawa jest zawsze zielona, a dosiada lśniącego, strojnego rumaka, którego maść przypomina skrzydło kruka, a rzenie jest jak krzyk orła gotującego się do boju. Tego dzielnego jeźdźca zaklina się, by pamiętał o tym, że przodkowie jego odznaczyli się zarówno lojalnością, jak odwagą. Wszystko to stracone jest dla pana! Ale skoro pan ciekaw, a gwizdnięcie mego brata odezwało się dość daleko, zdążę, być może, zaśpiewać panu końcowe zwrotki, nim on nadejdzie, by wyśmiać mój przekład.

Czas wam wstawać na górach! Wam na wyspach wstać pora!

Zbudź się, synu odważny gór, zatoki, jeziora!

Róg rozbrzmiewa, lecz dzisiaj nie zwołuje na łowy!

Kobzy głos was przyzywa nie na taniec godowy!

Hej! Na śmierć lub zwycięstwo! Bohaterski zew stary

Liczy na was. Na szczytach świecą jasno sztandary.

Za nóż chwytać, brać tarczę, miecz przypasać, pod znakiem

Stanąc w szyku bojowym, iść na wrogów atakiem!

Niech dowódca swym mieczem niby Fin wrogów żenie!  
Niech krew w żyłach mu krąży jako płynne płomienie!  
Niech, jak jarzmo odrzucić, przykład przodków wam służy  
Albo zgińcie, jak oni, i nic znoście go dłużej!

## ROZDZIAŁ XXIII

### Waverley przedłuża swój pobyt w Glennaquoich

Zaledwie Flora dokończyła pieśni, stanął przed nimi Fergus.

- Pewien byłem, że was tutaj znajdę, nawet bez pomocy pocziwego Brana. Mój prosty i niewyrefinowany gust wolałby wodotrysk w Wersalu niż tę kaskadę z dodatkiem skał i huku; ale to Parnas<sup>211</sup> Flory, kapitanie Waverley, a to źródło jest jej Helikonem<sup>212</sup>. Bardzo by na tym dobrze wyszła moja piwnica, gdyby siostra potrafiła przekonać swego współpracownika, Mac-Murrougha, jak zbawiennie działa ten zród; dopiero co wypił pół kwarty *whisky*, żeby rozgrzać żołądek, jak mówił, po zimnym winie... Niechże ja choć spróbuję, jakie ono ma własności.

Zaczerpnął dłonią trochę wody i wypił, po czym natychmiast zaczął z gestem teatralnym:

Witaj, pustyni królowo!

Co kochasz pieśń Gaelową,

Którą ten żyzny kraj rodzi,

Gdzie ruń ni zboże nie wschodzi.

Ale angielska poezja nigdy nie zakwitnie pod wpływem góralskiego Helikonu - *Allons, courage*<sup>213</sup> ...

*O vous*<sup>214</sup> *qui buvez; a tasse pleine,*

*A cette henreuse fontaine,*

*Ou on ne voit sur le rivage*

*Que quelques vilains troupeaux,*

*Suivis de nymphes de village,*

*Qui les escortent sans sabots...*

- Drogie Fergusie, tyś z pewnością zaczerpnął natchnienia raczej z kielicha Mac-Murrougha niż z mojego.

---

<sup>211</sup> Parnas - według mitologii greckiej góra uważana za siedzibę Apolla i dziewięciu muz opiekujących się sztuką.

<sup>212</sup> Helikon - góra w Beocji (Grecja) poświęcona muzom. Wg mitologii greckiej woda ze źródeł Helikonu budziła twórcze natchnienia.

<sup>213</sup> *Allons, courage...* (franc.) - A więc odważnie...

<sup>214</sup> *O vous...* itd. (piosenka franc.) - O wy, co pijecie pełną czarą z tego szczęśliwego źródła, na którego brzegu widzi się tylko liche trzódki poganiane przez wiejskie nimfy bez sabotów.

- Śmiem zaprzeczyć, *ma belle demoiselle*<sup>215</sup>, choć przyznaję, że z nich obu tamten byłby odpowiedniejszy. Któryż to z waszych narwanych włoskich poetów powiada:

*...Io d'Elicono niente*<sup>216</sup>

*Mi curo; in fe de Dio, che'l bere d'acque*

*(Bea chi ber ne vuol) sempre mi spiacque!*

Ale jeżeli woli pan mowę gaelicką, kapitanie Waverley, to tu obecna Katlinka zaśpiewa panu Drimmindhu. No dalej, Katlinko, *astore* (moja droga), zaczynaj; nie wymawiaj się przed *Cean-kinne*.

Katlinka żywo zaśpiewała piosenkę gaelicką, żartobliwą elegię wieśniaka po stracie krowy, a jej zabawna nuta pobudziła parę razy Waverleya do śmiechu, chociaż nie rozumiał słów.

- Doskonale, Katlinko! - zawołał naczelnik. - Muszę ci wyszukać wkrótce ładnego męża spośród chłopców klanu.

Katlinka roześmiała się, zarumieniła i schowała za Florę.

W powrotnej drodze do zamku naczelnik gorąco prosił Waverleya, aby zechciał pozostać z tydzień lub dwa, by zobaczyć wielkie polowanie, w którym gospodarz zamierzał wziąć udział wraz z kilku innymi panami z sąsiedztwa. Urok pieśni i piękna zbyt silnie opanował serce Edwarda, by zdołał odmówić tak miłemu zaproszeniu. Umówiono się przeto, że napisze do barona Bradwardine, uwiadamiąjąc go o zamiarze pozostania przez dwa tygodnie w Glennaquoich i prosząc o odesłanie przez posłańca listów, które mogły w tym czasie doń nadejść.

To skierowało rozmowę na barona, którego Fergus wynosił pod niebiosą jako człowieka honoru i żołnierza. Charakter jego trafnie jeszcze określiła Flora, zauważywszy, że jest on istotnie wzorem rycerskiego Szkota starej daty, ze wszystkimi jego wielkimi zaletami, ale i dziwactwami.

W dalszym ciągu wspomniano o miłej Róży, jak najżyczliwiej oceniając jej osobę, sposób bycia i umysłowość.

- Ten człowiek - oświadczyła Flora - który będzie miał szczęście pozyskać uczucia Róży Bradwardine, znajdzie w niej skarb nieoceniony. Całą duszą tkwi ona w rodzinnym

---

<sup>215</sup> *ma belle demoiselle* (franc.) - moja piękna paniątko.

<sup>216</sup> *Io d'Elicono niente...* itd. (włoski) - ja sobie nic nie robię z waszego Helikonu. Niech pije wodę, kto chce, ja pić jej nie będę.

domu, poświęcając się tym cichym cnotom, których on jest ogniskiem. Mąż będzie dla niej tym, czym dziś jest ojciec, przedmiot wszystkich jej starań, troskliwości i przywiązania. Patrzałaby na świat jego tylko oczyma, nie zajmując się niczym, co z nim nie miałyby związku. Jeżeli okaże się człowiekiem rozumnym i cnotliwym, będzie brała udział w jego smutkach, będzie się starała rozerwać go w zmęczeniu, będzie z nim dzieliła wszelkie przyjemności. Gdyby stać się miała własnością szorstkiego i zaniedbującego ją męża, to i takiemu także by dogodziła, gdyż nie przeżyłaby długo jego niepocziwości. A niestety, jakże wielkie zachodzi prawdopodobieństwo, że taki właśnie niegodny los przypadnie w udziale mej biednej przyjaciółce! Ach, gdybym mogła na chwilę zostać królową i rozkazać najmilszemu i najgodniejszemu młodzieńcowi mego królestwa, by przyjął szczęście wraz z ręką Róży!

- Pragnąłbym, byś *en attendant*<sup>217</sup> rozkazała jej przyjąć moją! - powiedział ze śmiechem Fergus.

Nie wiem, jaki tu kaprys wchodził w grę, dość że życzenie to, choć wyrażone żartem, jakoś drażniąco ubodło Edwarda, pomimo rosnącej jego skłonności ku Florze, a obojętności względem Róży. Jest to jeden z tych trudnych do wytłumaczenia odruchów natury ludzkiej, o których wyjaśnienie nie mamy zamiaru się kusić.

- Twoją, bracie? - odrzekła Flora rzuciwszy nań przeciągłe spojrzenie. - Nie, tyś już poślubiony - Honorowi, a niebezpieczeństw, które ci grożą w jego obronie, nie przetrzymałoby serce biednej Róży.

Tak rozmawiając doszli do zamku, gdzie Waverley spiesznie przygotował listy do Tully-Veolan. Ponieważ wiedział, jak bardzo baron był w takich sprawach wrażliwy, chciał list zapieczętować sygnetem, lecz nie znalazłszy go przy zegarku, pomyślał, że musiał go zostawić w TullyVeolan. Wspomniał o swojej zgubie, pożyczając równocześnie rodową pieczętą naczelnika.

- Przecież chyba - rzekła panna Mac-Ivor - Donald Bean Lean nie byłby...

- Głowę za niego daję w tych warunkach - odparł jej brat. - Zresztą nie byłby pozostawił zegarka.

- A jednak daruj, Fergusie - powiedziała Flora - pomimo wszystko dziwię się, że ty popierasz takiego człowieka. Dlaczego nie wypędzisz zaraz z kraju tego Donalda Bean Lean, którego ja nie cierpię bardziej jeszcze za jego gładkość i dwulicowość niż dla jego grabieży? Żaden wzgląd nie skłoniłby mnie do tolerowania takiego człowieka!

---

<sup>217</sup> *en attendant* (franc.) – tymczasem.

- Żaden wzgląd, Floro? - zapytał z naciskiem naczelnik.

- Żaden, Fergusie; nawet ta sprawa, która najbliższa jest memu sercu. Oby tacy źli poplecznicy nie stali się dla niej złą wróżbą!

- Ależ, siostrze - odpowiedział wesoło naczelnik - nie bierzesz wcale w rachubę respektu, jakim otaczam *la belle passion*<sup>218</sup>. Przecież Evan Dhu Maccombich kocha się w córce Donalda, Alicji, a nie przypuszczasz chyba, żebym chciał zamać te jego zaloty. Toć cały klan zganilby mnie za to. Wiesz dobrze, co mówi jedno z ich mądrych powiedzeń: „Krewny jest częścią ciała człowieka, ale brat mleczny jest częścią jego serca”.

- Już dobrze, Fergusie, widzę, że z tobą spierać się nie można; pragnęłabym jednak szczerze, by to wszystko dobrze się skończyło.

- Pobożne życzenie, moja droga siostrze prorokini, i najlepszy w świecie sposób zamknięcia wątpliwej dysputy... Ale czy pan nie słyszy kobz, kapitanie Waverley? Może będzie pan wolał zatańczyć pod ich takt w sali niż dać im się tylko ogłaszać, nie biorąc udziału w zabawie, na którą nas zapraszają.

Waverley ujął rękę Flory. Tańce i śpiewy zakończyły uroczystości tego dnia na zamku Vich Ian Vohra. Wreszcie Edward udał się na spoczynek, czując w duszy tyle różnych nowych i sprzecznych uczuć, że przez dłuższy czas nie mógł usnąć trwając w tym wcale miłym stanie, kiedy to wyobraźnia staje u steru, a umysł pozwala się unosić rwącym i zmaconym prądom wspomnień, nie siląc się na ich pochwylenie, uporządkowanie i zbadanie. Zasnawszy o późnej godzinie, śnił o Florze Mac-Ivor.

---

<sup>218</sup> *la bella passion* (franc.) - gorąca namiętność.

## ROZDZIAŁ XXIV

### **Polowanie na jelenia i jego skutki**

Roczniki i dokumenty, które mam w ręku, niewiele mówią o górskich łowach, mogą jednakże znaleźć obfity materiał opisowy gdzie indziej. Mam na przykład przed sobą dzieło starego Lindsaya z Pitscottie<sup>219</sup>, który z okazji polowania u księcia Athole opisuje wysoki pałac sklecony z nieciosanego drzewa; wszelkiego rodzaju napitki, jakie tylko można było dostać na wsi i w mieście, jak piwo jasne i ciemne, wino, muszkatela, małmazja<sup>220</sup>, krupnik korzenny i okowita; najrozmaitsze jadlo, a więc chleb biały i czarny, pierniki, mięso wołowe, baranie, jagnięca, cielęcina, udźce jelenie, gęsina, warchlaki, kapłony i króliki, żurawie, łabędzie i kuropatwy, kaczki dzikie i swojskie, czajki i łyski, pawie, głuszce, jarząbki, cietrzewie, „nie zapominając też wymienić” kosztownej pościeli, naczyń i nakrycia stołowego; jak również - i to nie w najnowszej mierze - wszystkich tych „znakomitych pokojowych, zręcznych piekarzy, wybornych kucharzy i cukierników wyrabiających konfitury i przysmaki na wety”. A poza szczegółami, jakie dałoby się zebrać z owego dzieła ku chwale tej górskiej uroczystości (światłość jej skłoniła legata papieskiego do zmiany dotychczasowego przekonania, a mianowicie, że Szkocja leży... jak by to powiedzieć... na samym końcu świata) - czyż nie mógłbym uświetnić tych kart opisem łowów Taylora<sup>221</sup>, poety wód, nad brzegami rzeki Mar, gdzie to:

Przez wrzos i mech po zamglonym moczarze.

Wśród turni ostrych, które piorun krzesze.

Ludzie i psy gonią zające, sarny.

Łanie i byki; w dwóch godzin uciesze.

Pada jeleni kopa. - Niżu marny!

Tonąc w zabawie jako i ty malej -

Nie zaznasz górskich dusz i łowów chwały!

Dla różnych przyczyn opóźniono uroczyste polowanie mniej więcej o trzy tygodnie. Czas poprzedzający je spędził Waverley w Glennaquoich, z wielkim zadowoleniem, gdyż wrażenie, jakie przy pierwszym spotkaniu sprawiła na nim Flora, wzrastało z dniem każdym.

---

<sup>219</sup> Lindsay z Pitscottie - szkocki historyk z XVI w.

<sup>220</sup> muszkatela, małmazja - gatunki win

<sup>221</sup> Taylor John (1580-1653) - zwany „poetą wody”, był przewoźnikiem na Tamizie i poetą. Odbył pieszo drogę z Londynu do Szkocji i opisał tę podróż.

Był to właśnie ten typ, który musiał pociągać młodzieńca o romantycznej wyobraźni. Usposobienie, mowa oraz talent poetycki i muzyczny dodawały jeszcze różnorodnego wdzięku jej wybitnej osobistej urodzie. Nawet wtedy, gdy bywała wesoła, marzenia jego wynosiły ją ponad zwykle córę Ewy, mniemał bowiem, że tylko na chwilę zniża się ona do tego poziomu rozrywek i zalotności, który dla innych stanowi cel życia. W pobliżu tej czarodziejki, spędzając czas w ten sposób, że zabawy na świeżym powietrzu wypełniały ranne godziny, a muzyka i taniec - wieczorne, Waverley z każdym dniem coraz bardziej zachwycał się swym gościnnym gospodarzem i coraz głębiej pogrążał się w miłości ku jego uroczej siostrze..

Nadszedł na koniec termin wielkich łowów i Waverley z naczelnikiem wyruszyli na miejsce spotkania, leżące o dzień drogi na północ od Glennaquoich. Fergusowi towarzyszyło przy tej sposobności ze trzystu ludzi z jego klanu, dobrze uzbrojonych i przybranych w najpiękniejsze stroje.

Waverley zastosował się o tyle do zwyczajów miejscowych, że przywdział długie, obcisłe spodnie (do spódniczki zwanej *kilt* nie mógł się przekonać), góralskie kierzki i ciapkę, uważając, że strój taki będzie najwygodniejszy, a przy tym nie ściągnie na niego ogólnej uwagi, jako na obcego przybysza, kiedy staną w umówionym punkcie zbornym.

Na oznaczonym miejscu zastali kilku potężnych naczelników, którym Waverley został ceremonialnie przedstawiony doznając z ich strony serdecznego przyjęcia. Wasale ich i towarzysze klanowi, których feudalne obowiązki obejmowały między innymi powinność uczestniczenia w tego rodzaju wyprawach, wystąpili w tak znacznej liczbie, że stanowili jakby małą armię. Czynni ci pomocnicy rozproszyli się po okolicy bliższej i dalszej, tworząc kocioł, technicznie zwany *tinchel*, który zamykając się stopniowo, spędzał zwierzynę całymi stadami ku dolinie, gdzie naczelnicy i główni myśliwi mieli na nią czekać. Dostojnicy ci tymczasem, otuleni w pledy, biwakowali wśród kwitnących wrzosów, co wydało się Waverleyowi wcale miłym sposobem spędzenia letniej nocy.

Przez wiele jeszcze godzin po wschodzie słońca na grzbietach i przełęczach górskich panowała zwykła cisza i pustka, a naczelnicy z towarzyszami swymi spędzali czas na różnych rozrywkach, przy czym nie zapomniano także o „rozkoszach letnich”, jak się wyraża Osjan<sup>222</sup>. „Inni osobno zasiadali na ustronnym wzgórku”<sup>223</sup>, prawdopodobnie równie głęboko pogrążeni w dyskusjach o polityce i ostatnich nowinach, jak duchy Milтона w metafizycznych

---

<sup>222</sup> Osjan - legendarny bard celtycki z III w. Poeta szkocki James Macpherson (1736-1796) wydał Pieśni Osjana, które nie są jednak oryginalnym zabytkiem ludowej poezji celtyckiej, lecz jego własnym poetyckim opracowaniem tematów z niej zaczerpniętych.

<sup>223</sup> Inni osobno zasiadali na ustronnym w zgórk - słowa cytowane z poematu Milтона pt. Raj utracony.



dociekaniach.

Wreszcie dostrzeżono i posłyszano z oddali oznaki zbliżania się zwierzyny. Odległe nawoływania rozbrzmiewały po dolinach, w miarę jak różne gromady górali, wspinając się po skałach, przedzierając się przez zarośla, mijając w bród strumyki i przeszukując leśne gęstwiny, zbliżały się do siebie coraz bardziej, zganiając zdziwione jelenie wraz z inną pędzącą przed nimi zwierzyną, w coraz ciaśniejszy obręb. Raz po raz dawał się słyszeć wystrzał muszkietu, powtarzany tysięcznym echem. Ujadanie psów dołączyło się niebawem do chóru, który stawał się coraz głośniejszy. Na „koniec najbardziej naprzód wysunięte gromadki zwierzyny zaczęły się ukazywać, w miarę zaś jak po dwie, trzy sztuki wyłaniały się w susach z wąwozu, naczelnicy wykazywali swe znanstwo w rozróżnianiu najtęższych i zręczność w powalaniu ich strzałem. Fergus odznaczył się niezwykle sprawnością, a i Edward miał szczęście zwrócić na siebie uwagę i zdobyć uznanie myśliwych.

Ale teraz główne stado jeleni ukazało się u wyjścia do dolinki, gęsto zbite, a przedstawiające tak ogromną rzeszę, że wieńce ich rogów wyglądały z dala, spoza grzbietu stromego parowu jak bezlistny gaj. Wielka była ich mnogość, a wnosząc z tego, jak rozpaczliwie zatrzymywały się w biegu, w pełnym bojowym szyku - przy czym stojące na czele najpotężniejsze byki wpatrywały się uporczywie w grono ludzi zagradzających im drogę przez dolinę - doświadczeni myśliwi zaczęli przewidywać niebezpieczeństwo. Mimo to - dzieło zniszczenia rozpoczęło się teraz na całej linii. Naganiacze wraz z psami ostro nacierali, muszkiety i strzelby myśliwskie rozbrzmiewały gęsto. Jelenie, doprowadzone do ostateczności, wykonały w końcu straszliwą szarżę wprost na miejsce, gdzie obrali stanowisko najwybitniejsi myśliwi. Padła po gaelicku komenda, wszyscy rzucili się twarzą na ziemię, Waverley jednak, dla którego angielskich uszu hasło to nie było zrozumiałe, o mało nie padł ofiarą nieznajomości owej starożytnej mowy. Fergus, widząc go w niebezpieczeństwie, poskoczył i obalił go na ziemię właśnie w chwili, gdy całe stado runęło ku nim. Wobec tego, że niepodobna było oprzeć się tej nawale, a rany zadane rogami jelenia bywają wielce niebezpieczne, zdawało się nie ulegać wątpliwości, że naczelnik czynem swoim uratował życie gościowi. Przytrzymał go też silnym chwytem, dopóki całe stado nie przebiegło ponad nimi. Wtedy Waverley usiłował powstać, ale przekonał się, że doznał kilku bardzo poważnych uderzeń, a przy bliższym zbadaniu stwierdził, że miał silnie zwichniętą nogę w kostce.

Wypadek ten zakłócił wesoły nastrój zgromadzenia, chociaż ci ludzie z gór, przyzwyczajeni do podobnych zdarzeń i przygotowani na nie, sami żadnej nie ponieśli szkody. W jednej nieledwie chwili zbudowano rodzaj namiotu, w którym ułożono Edwarda

na posłaniu z wrzosów. Chirurg czy też ten, który tę rolę spełniał, zdawał się łączyć w sobie cechy znachora i zamawiacza. Był to stary, jakby zawędzony góral z czcigodną, siwą brodą, mający za całe ubranie tartanową sukmanę<sup>224</sup> z krajami sięgającymi kolan, a że nie była ona z przodu rozcięta, służyła mu zarazem za kaftan i za spodnie. Przystąpił on do Edwarda, z całą obrzędową powagą, a chociaż nasz bohater wił się z bólu, nie chciał zabrać się do uśmierzania go czymkolwiek, dopóki nie obszedł posłania po trzykroć, idąc za biegiem słońca od wschodu ku zachodowi. Ceremonię tę zwaną *deasil*<sup>225</sup> tak lekarz, jak i wszyscy obecni zdawali się uważać za sprawę pierwszorzędnej wagi dla dalszego przebiegu kuracji, a Waverley, któremu ból odejmował mowę i który zresztą rozumiał, że w sprawie tej nie ma żadnego głosu, poddał się losowi w milczeniu.

Po dopełnieniu tej wstępnej czynności stary eskulap<sup>226</sup> puścił pacjentowi swemu bardzo zręcznie krew za pomocą ciętej bańki i - mrużąc coś przez cały czas pod nosem po gaelicku - zaczął warzyć na ogniu zioła, z których przyrządził jakąś maść. Następnie wysmarował nią miejsca stłuczone, nie przestając mrużyć modlitw czy zamawiań, których Waverley nie mógł rozróżnić, chwytając uchem tylko takie wyrazy, jak Kasper, Melchior, Baltazar, max-prax-fax i tym podobne brednie. Smarowanie podziałało szybko, zmniejszając ból i opuchlinę, co bohater nasz przypisywał własnościom ziół lub rozgrzaniu, lecz wszyscy obecni jednomyślnie kładli to na karb zamawiania towarzyszącego zabiegom. Wy tłumaczono Edwardowi, że żaden ze składników tego leku nie był zebrany inaczej niż w noc pełni księżycowej, zbierający zaś w czasie tej pracy nieprzerwanie powtarzał zaklęcia brzmiące jak następuje:

Święte ziele, dato ciebie  
Ziemi Świętej łono -  
Bo na Górze cię Oliwnej  
Najpierw znaleziono.

Ty stłuczone goisz kości  
I ran leczysz wiele.  
W imię Matki Bożej zrywam

---

<sup>224</sup> tartanowa sukmana - strój góralski. Każdy klan miał swoje barwy i wzór tartanów, według których można się było orientować, do jakiego klanu dany góral należy.

<sup>225</sup> *deasil* - stary obyczaj szkocki. Obrzęd odprowadzany przez trzykrotne obchodzenie dokoła osób, którym życzy się pomyślności, przy czym w tym wypadku musiał być zachowany kierunek od wschodu na zachód. Obchodzenie osób w przeciwnym kierunku wg utartego przesądu sprowadzało na nie nieszczęście.

Ciebie - święte ziele.

Edward zauważył z pewnym zdziwieniem, że nawet Fergus, pomimo swego rozsądku i wykształcenia, zdawał się podzielać zabobonne pojęcia swych rodaków, czy to z tego względu, że uważał za niewskazane zdradzać sceptycyzm<sup>227</sup> w przedmiocie ogólnej wiary, czy też może raczej dlatego, że - jak większość ludzi, nie dość głęboko i dokładnie zastanawiających się nad takimi sprawami - miał w duszy pewien podkład przesądów, równoważący swobodę wyrażania się i czynów w innych wypadkach. Toteż Waverley wstrzymał się od wszelkich uwag nad sposobem leczenia, wynagradzając natomiast uczonego medyka z hojnością przekraczającą najśmielsze jego nadzieje. Starzec wypowiedział przy tej sposobności tyle beładnych błogosławieństw po gaelicku i po angielsku, że Mac-Ivor, nieco zgorszony nadmiarem jego wdzięczności, przerwał mu krótko, krzyknąwszy: *Ceud mile mhalloich ort!* to znaczy: „Sto tysięcy przekleństw na twoją głowę!” - i słowami tymi wypędził z namiotu dobroczyńcę ludzkości.

Pozostawiony w samotności Waverley, wyczerpany bólem i zmęczeniem po całodziennym trudzie, zapadł w głęboki, lecz gorączkowy sen, który zawdzięczał głównie nasennemu środkowi danemu mu przez starego górala, a wywarzonemu z jakichś, jemu tylko znanych, ziół leczniczych.

Nazajutrz rano - wobec tego, że cel, w jakim się zjechało, został osiągnięty, a łowy pokrzyżował niefortunny wypadek, przyjęty przez Fergusa i wszystkich jego przyjaciół z najwyższym współczuciem - powstało zagadnienie, jak ruszyć w drogę z okaleczonym myśliwym. Rozstrzygnął je Mac-Ivor, kazawszy sporządzić nosze z gałęzi brzoź i leszczyn, które ludzie jego ponieśli tak ostrożnie i zręcznie, że można przypuszczać, iż byli to przodkowie tych dzielnych Gaelczyków, którzy dziś mają szczęście przenosić w lektykach piękne damy Edynburga na dziesięć rautów w ciągu jednego wieczora. Edward z wysokości niosących go ramion z przyjemnością oglądał malowniczy obraz zwijania tego leśnego obozowiska<sup>228</sup>.

Poszczególne szczepy gromadziły się, każdy przy dźwięku bojowej pobudki własnego

---

<sup>226</sup> eskulap - w mitologii greckiej bożek sztuki lekarskiej; w przenośni: lekarz.

<sup>227</sup> sceptycyzm - starożytna grecka doktryna filozoficzna, wyrażająca wątpliwość w możliwość poznania obiektywnej prawdy. Sceptyk - człowiek wyrażający wątpliwość w stosunku do prawd ogólnie przyjętych.

<sup>228</sup> Niekiedy zarzucano autorowi, że twory wyobraźni miesza z rzeczywistością. Dlatego też uważa on za potrzebne stwierdzić, że polowanie opisane w tekście jako przygotowanie do powstania w 1745 r. jest, jeśli mu wiadomo, całkowicie zmyślone. Znaną natomiast jest rzeczą, że tego rodzaju wielkie łowy odbyły się w lasach Brae-Mar pod przewodem hrabiego Mar, stanowiąc wstęp do buntu z 1715 r., przy czym wzięta w nich udział większość przywódców góralskich, którzy później uczestniczyli w tych rozruchach. (*Przypis autora: „Polowanie w górach”*).

klanu i pod przewodnictwem swego patriarchalnego władcy. Te, które już zaczęły wyruszać, widać było, jak krętym pochodem wspinały się pod górę lub spuszczały ku wąwozom, a głos ich kobz zamierał w oddali. Inne snuły się jeszcze żywo po wąskiej polanie, tworząc różne zmienne grupy; poranny wiatr swobodnie rozwiewał zarzucone plecy oraz pióra u czapek, a broń połyskiwała w świetle wschodzącego słońca. Większość naczelników przysła pożegnać się z Waverleyem i wyrazić życzenie ponownego rychłego spotkania, jednakże troskliwość Fergusza kładła kres ceremoniom pożegnalnym. Na koniec, gdy już własni jego ludzie zebrali się wszyscy i zostali ustawieni w szeregu, Mac-Ivor rzucił hasło wymarszu, ale nie w tę stronę, skąd przyszli. Edwardowi dał do zrozumienia, że przeważna część zebranych tu jego ludzi ma ruszyć na daleką wyprawę; że umieści go w domu pewnego pana, który z pewnością otoczy go wszelkimi względami, sam zaś Fergus będzie musiał towarzyszyć swemu oddziałowi przez większą część drogi, ale w niedługim czasie powróci do przyjaciela.

Waverley zdziwił się, że w chwili wyruszenia na łowy Fergus nic mu nie wspominał o tych dalszych zamiarach, jednakże położenie jego nie pozwalało zadawać wielu pytań. Większość członków klanu poszła naprzód pod przewodnictwem starego Ballenkeirocha i Evana Dhu Maccombich, pełna, jak się zdawało, wesela i ochoty. Garść tylko pozostała dla towarzyszenia naczelnikowi, który siedł obok noszy Edwarda i czuwał nad nim z najserdeczniejszą troskliwością. Około południa, po podróży niewymownie bolesnej ze względu na sposób transportowania, na odniesione potłuczenia i na wyboistość drogi, Waverley został gościnnie przyjęty w domu krewnego Fergusza, który przygotował dlań wszelkie wygody, jakim rozporządzał przy prostym trybie życia, powszechnym wówczas w górach.

W osobie tego stracą prawie siedemdziesięcioletniego Edwarda podziwiał zabytek pierwotnej prostoty. Nie znał on innego ubrania poza tym, którego dostarczały jego ziemie; suknie sporządzone były z wełny własnych owiec, tkanej przez własną służbę, a farbowanej na tartan barwnikami wyciąganymi z ziół i porostów okolicznych wzgórz. Płótno przedły mu córki i dworki z własnego lnu, a na stole obficie zastawionym różnorodną zwierzyną i rybami, nie było nic, czego by nie wytwarzano w kraju rodzinnym.

Nie rosząc sobie praw do dowodzenia klanem ani też do posiadania wasali, korzystał z powinowactwa i protekcji Vich Ian Vohra oraz innych śmiałych i przedsiębiorczych naczelników, którzy osłaniali go w tym spokojnym, pozbawionym większych ambicji życiu, jakie umiłował. Wprawdzie młodzież urodzoną na jego ziemiach nakłaniano często do porzucenia go na rzecz służby u jego ruchliwszych przyjaciół, ale nieliczni starzy słudzy i dzierżawcy wstrząsali siwymi głowami, słysząc, jak ich panu

zarzucano brak energii, i mawiali: „Gdy nie ma wiatru, deszcz łagodnie pada”.

Dobry ten starzec, bezmiernie miłosierny i gościnnie, byłby życzliwie przyjął pod swój dach każdego człowieka w potrzebie, choćby był on nawet najmarniejszym chłopem angielskim; Waverleya więc, jako przyjaciela i gościa Vich Ian Vohra, otoczył tym troskliwszym staraniem i opieką. Na chorą nogę zastosowano świeże maści, odprawiając też nowe uroki. Wreszcie po wielu staraniach, może aż nazbyt licznych, Fergus pożegnał się z Edwardem, obiecując powrócić do Tomanrait za kilka dni, kiedy już Waverley będzie zapewne mógł dosiąść jednego z górskich koników gospodarza, by tym sposobem powrócić do Glennaquoich.

Gdy nazajutrz gospodarz się ukazał, Edward dowiedział się od niego, że przyjaciel ich wyruszył o świcie, nie pozostawiając nikogo prócz Calluma Beg, pazika, który jemu osobiście usługiwał, a teraz miał obowiązek zająć się Waverleyem. Zapytany, czy wie, dokąd się naczelnik udał, starzec za całą odpowiedź spojrział na gościa z nieco tajemniczym i smutnym uśmiechem. Waverley powtórzył swoje pytanie, na co mu gospodarz odpowiedział przysłowiem:

Za co posłańcy w piekle siedzieli?

Bo się pytali, chociaż wiedzieli.

Chciał dalej mówić, ale Callum Beg, w sposób, który się Edwardowi wydawał z lekka bezczelnym, wtrącił uwagę, że „naczelnik nie życzy sobie, żeby *Sassenagh Duinhe-wassel* za bardzo się męczył rozmową, gdyż nie jest jeszcze zupełnie zdrow”. Waverley wyciągnął stąd wniosek, że przyjaciel jego nie byłby zadowolony z wypytywania obcego o cel podróży, o którym sam nic mu nie wspomniał.

Zbyteczne byłoby opisywać, jak bohater nasz powracał do zdrowia. Szósteo dnia, gdy mógł już chodzić o lasce, Fergus pojawił się w towarzystwie około dwudziestu ludzi. Zdawał się być w najlepszym humorze; wieszował Edwardowi wyzdrowienia, a przekonawszy się, że może on już usiedzieć na koniu, zaproponował natychmiastowy powrót do Glennaquoich. Waverley zgodził się na to z radością, gdyż postać pięknej pani tego domu żyła w snach jego przez cały czas przymusowej niewoli.

A teraz jechał przez mchy i moczary.

Przez wzgórki i mnogie wąwozy.

Fergus zaś ze swym orszakiem dzielnie kroczył przez cały czas pieszo obok niego, zbaczając tylko niekiedy dla ustrzelenia rogowca lub cietrzewia. Serce Waverleya zabiło mocniej, gdy przybliżyli się do starej wieżycy *Iana nan Chaistel* na tyle, że mógł już dojrzeć nadobną postać jej pani idącej na ich spotkanie.

Fergus natychmiast, z właściwym sobie ożywieniem, zaczął wykrzykiwać:

- Otwórz bramy swe<sup>229</sup>, księżniczko nieporównana, rannemu Maurowi Abindarezowi, którego Rodrigo de Narvez, konstabl Antiquery, prowadzi do twego zamku; lub jeśli wolisz, otwórz je sławnemu markizowi Mantui, smutnemu towarzyszowi na pół zarąbanego przyjaciela swego, Baldwina z Gór. Niech dusza twa spoczywa w spokoju, o Cervantesie! Gdybym ciebie nie mógł przytaczać, jakżebym potrafił ukształtować mowę tak, by nie raziła romantycznych uszu!

Teraz zbliżyła się Flora i witając bardzo życzliwie Waverleya wyraziła mu współczucie z powodu wypadku, o szczegółach którego już słyszała; dziwiła się zarazem, że brat nie postarał się przestrzec obcego o niebezpieczeństwie łowów, na które go namówił. Edward gorliwie wziął w obronę naczelnika, który w istocie narażając siebie ocalił mu prawdopodobnie życie.

Po przywitaniu Fergus powiedział do, siostry kilka słów po gaelicku. Łzy natychmiast zabłyśły w jej oczach, ale w zdawało się, że to łzy hołdu i radości, gdyż spojrzawszy ku niebu złożyła ręce z uroczystym wyrazem dziękczynnej modlitwy. Po chwili milczenia wręczyła Edwardowi kilka listów, przysłanych podczas jego nieobecności z TullyVeolan, a równocześnie oddała też kilka pism bratu. Przekazała mu ponadto trzy czy cztery numery „Merkurjusza Kaledońskiego”<sup>230</sup>, jedynej gazety, jaką wtedy wydawano na północ od rzeki Tweed.

Obaj panowie poszli przejrzeć swą korespondencję, a Edward wkrótce przekonał się, że listy, które odebrał, zawierają wieści o sprawach niezwykle dlań ważnych.

---

<sup>229</sup> Otwórz bramy swe... itd. - słowa z Don Kichota Cervantesa

<sup>230</sup> Kaledoński - szkocki. Szkocja nosiła za czasów rzymskich nazwę Kaledonii

## ROZDZIAŁ XXV

### Wiadomości z Anglii

Listy, które Waverley dotychczas odbierał od rodziny, nie zasługiwały na szczególniejszą uwagę w tym opowiadaniu. Ojciec jego pisywał zazwyczaj z pompatyczną przesadą człowieka, którego zbyt przytłaczają sprawy publiczne, by miał czas wolny na zajmowanie się rodzinnymi drobiazgami. Od czasu do czasu wymieniał osoby wybitnego znaczenia w Szkocji i wyrażał życzenie, by syn złożył im uszanowanie; jednakże Waverley, zajęty jak dotąd przyjemnościami, jakie znalazł w Tully-Veolan i Glennaquoich, pozwalał sobie puszczać mimo uszu wzmianki tak chłodno rzucone, zwłaszcza że odległość, krótkość urlopu i tym podobne względy dostarczały mu łatwej wymówki. W ostatnich jednak czasach ojcowskie epistoły pana Ryszarda Waverleya zawierały pewne tajemnicze napomknienia o czekających go niebawem dostojeństwach i wpływach, dzięki którym syn będzie miał zapewniony jak najszybszy awans, jeżeli pozostanie w służbie wojskowej.

Listy sir Everarda inny nosiły charakter. Były one krótkie - zacny baronet bowiem nie zaliczał się do tych nieumiarkowanych korespondentów, którzy zapełniają szczerlnie wielkie arkusze papieru listowego, nie pozostawiając miejsca na pieczętkę - ale za to dobrotliwe i serdeczne, rzadko zaś kończyły się bez zapytań o stan jego sakiewki i o losy tych rekrutów, którzy z Waverley-Honour wyprzedzili Edwarda. Ciotka Rachel zalecała mu, by pamiętał o zasadach religii, dbał o zdrowie, strzegł się szkockich mgieł, które - jak słyszała - przenikają każdego Anglika do kości, nie wychodził nigdy wieczorem bez ciepłego okrycia i zawsze nosił flanelową bieliznę.

Pan Pembroke napisał tylko jeden list do naszego bohatera, za to dorównujący rozmiarami co najmniej sześciu epistołom dzisiejszych zepsutych czasów; obejmował on ni mniej, ni więcej jak dziesięć wielkich kart gęsto zapisanego papieru, będących streszczeniem dodatkowego manuskryptu *in quarto*<sup>231</sup>; zawierającego *addenda*” *delenda et corrigenda*<sup>232</sup> do dwóch traktatów, którymi uprzednio obdarzył Waverleya.

Tak dotychczas wyglądały listy, jakie Edward otrzymywał z Anglii; te jednak, które przed chwilą odebrał w Glennaquoich, zawierały treść odmienną, a wielce zajmującą. Niepodobieństwem byłoby dla czytelnika - nawet gdybym miał listy te zamieścić w całości - zrozumieć rzeczywistą przyczynę ich napisania bez wniknięcia w pewne wewnętrzne sprawy brytyjskiego rządu w omawianym okresie.

---

<sup>231</sup> *in quarto* (łac.) - format książkowy, w którym kartka stanowi czwartą część arkusza drukarskiego.

<sup>232</sup> *addenda, delenda et corrigenda* (łac.) - dodane, odjęte i poprawione.

Zdarzyło się mianowicie, że ówcześni ministrowie (nie nazbyt rzadki to wypadek) dzielili się na dwa stronnictwa; słabsze z nich nadrabiając zabiegami i intrygą niższość rzeczywistego znaczenia zdobyło sobie w ostatnich czasach kilku nowych prozelitów<sup>233</sup>, co wzbudziło w nim nadzieję wysadzenia swych rywali z łask monarchy i uzyskania nad nimi przewagi w Izbie Gmin. Między innymi uważali, że warto zjednać sobie Ryszarda Waverleya. Godna ta osobistość zdobyła pewne imię i poważanie w publicznym życiu, a u wielu nawet opinię głębokiego polityka; przyczyniła się do tego poważna, tajemnicza mina, zważanie na formę zewnętrzną raczej niż na istotną treść danej sprawy oraz łatwość wygłaszania długich, nudnych przemówień, pełnych truizmów<sup>234</sup> i ogólników, a maskujących swą czczość technicznym urzędowym żargonem.

Przekonanie o wartości pana Ryszarda Waverleya jako męża stanu stało się tak ogólne, że wspomniane już rewolucyjne stronnictwo w gabinecie uznało za stosowne wysondować go, oceniwszy zaś korzystnie jego poglądy i umiejętności, zaproponowało mu, w razie powodzenia zamierzonego przewrotu, zajęcie wybitnego stanowiska w nowym układzie stosunków, wprawdzie nie najbardziej czołowego, ale znacznie wyższego pod względem płacy i wpływów niż to, które obecnie zajmował. Trudno było oprzeć się tak ponętnej propozycji, mimo iż wielki mąż, z którego opieki korzystał i przy którego sztandarze stał dotąd wytrwale, miał być głównym celem ataku nowego sprzysiężenia. Niestety, piękna ta i ambitna intryga została skutkiem przedwczesnego posunięcia zniweczona w załączku. Wszyscy zamieszani w nią urzędnicy, którzy wahali się ustąpić dobrowolnie, dostali zawiadomienie, że król usług ich nadal nie potrzebuje; co się tyczy zaś Ryszarda Waverleya, któremu minister zarzucał przy tym niewdzięczność, do dymisji dodano coś w rodzaju osobistej nagany i wzgardy.

Publiczność, a nawet ta partia, w której upadku uczestniczył, mało okazała współczucia dla zawodu samolubnego i wyrachowanego polityka. Wrócił tedy na wieś z niemiłym poczuciem, że stracił równocześnie stanowisko, opinię i co najmniej tyleż dlań wagi mające korzyści materialne.

List Ryszarda Waverleya, pisany przy tej sposobności do syna, był swego rodzaju arcydziełem. Sam Arystydes<sup>235</sup> nie byłby zręczniejszym wybrnął z tak ciężkiej opresji. Niesprawiedliwy monarcha, niewdzięczna ojczyzna - oto co powtarzało się w każdym górnolotnym frazesie. Mówił o długiej służbie i o składanych daremnie ofiarach, jakkolwiek

---

<sup>233</sup> prozelita - zwolennik, gorliwy wyznawca.

<sup>234</sup> truizm - powszechnie uznana i przyjęta prawda.

<sup>235</sup> Arystydes - ateński dowódca i polityk (540-486 przed n.e.), zwycięzca spod Maratonu, wygnany w 483 z Aten, później odwołany z wygnania.



pracę jego równoważyła z nadwyżką pensja, a na czym polegały ofiary, tego by nikt nie odgadł, chyba gdyby nazwano w ten sposób porzucenie bez przekonania, a jedynie dla korzyści, torysowskich zasad rodziny. Wreszcie siłą własnej wymowy podniecił swą urazę do tego stopnia, że nie mógł się powstrzymać od pogroźek mściwych, choć niejasnych i bezsilnych; na zakończenie zawiadamiał syna, iż życzy sobie, ażeby tenże dał dowód zrozumienia krzywdy wyrządzonej ojcu, składając swą szarżę, skoro tylko list ten go dojdzie.

Jest to, dodawał, również życzeniem stryja, który mu o tym niebawem doniesie.

Jakoż następny list, który Edward otworzył, pochodził od sir Everarda. Niełaska brata wymazała widocznie z poczciwego jego serca pamięć ich nieporozumień - że zaś nie mogło dojść do jego wiadomości, iż niełaska ta była tylko naturalnym i sprawiedliwym następstwem nieudanych intryg Ryszarda, ławowierny baronet od razu dopatrywał się w niej dowodu krzyżującej niesprawiedliwości istniejącego rządu.

Sir Everard nie wątpił, że brat jego rozumiał teraz i czuł, jak bardzo pobłądził; toteż będzie już jego (tj. sir Everarda) rzeczą sprawić, by żal ten nie musiał dotyczyć straty materialnej. Dostyc tego, że Waverley doznał publicznego poniżenia - pieniężnej krzywdzie potrafi zaradzić głowa rodziny. Jednakże obaj, tak pan Ryszard Waverley, jak i on, zgadzali się w tym, że Edward, przedstawiciel rodu z Waverley-Honour, nie powinien pozostawać na stanowisku narażającym go na podobne traktowanie jak to, które spotkało jego ojca. Prosił więc bratanka, ażeby skorzystał z najodpowiedniejszej, a zarazem jak najbliższej sposobności i złożył rezygnację w Ministerstwie Wojny; napomykał w dodatku, że nie warto silić się na wielkie ceremonie wobec ludzi, którzy tak bezwzględnie obeszlą się z jego ojcem. Przesyłał też serdeczne pozdrowienia baronowi Bradwardine.

Ciotka Rachel w liście swoim wypowiadała się jeszcze wyraźniej. Uważała, że niełaska brata Ryszarda była słuszną karą za złamanie wiary prawowitemu, choć wygnanemu monarsze i złożenie przysięgi obcemu. Miała nadzieję, że jej kochany Edward pójdzie śladem swoich przodków i jak najprędzej zrzuci z siebie piętno uległości wobec rodziny uzurpatorów, krzywdę zaś poniesioną przez ojca uzna za przestrożę niebios świadczącą o tym, że każde odstępstwo od drogi lojalności samo w sobie mieści karę. Kończyła również wyrazami uszanowania dla pana Bradwardine i prosiła Waverleya o wiadomość, czy córka jego Róża na tyle już wyrosła, by móc nosić śliczne kolczyki, które zamierzała jej posłać w dowód przyjaznych uczuć. Zaczynała być też ciekawa, czy pan Bradwardine zawsze tak dużo zażywa szkockiej tabaki i czy tańczy nadal z tak niezmożonym zapalem, jak wtedy gdy był w Waverley-Honour przed trzydziestu laty.

Listy te, rzecz prosta, wzbudziły w sercu Waverleya wielkie oburzenie. Przy

dorywczym systemie swoich studiów nie Wyrobił sobie żadnych określonych poglądów politycznych, które by mogły przeciwstawić się odruchom oburzenia na rzekomą krzywdę jego ojca. O prawdziwej przyczynie jego niełaski Edward absolutnie nic nie wiedział; nie zwykł też śledzić polityki okresu, w którym żył, ani nie mógł zauważyć intryg, w które tak czynnie wdał się jego ojciec. W istocie wrażenia, jakie sobie przypadkowo przyswoił odnośnie do stronnictw tych czasów, były (dzięki otoczeniu, w jakim żył Waverley-Honour) raczej niekorzystne dla istniejącego rządu i dynastii. Dlatego też bez wahania podzielił pełne urazy uczucia krewnych mających największe prawo do kierowania jego postępowaniem; tym łatwiej mu to przyszło, gdy wspominał o nudach na kwaterze i o podrzędnej roli, jaką odgrywał wśród oficerów swego pułku. Gdyby w tej sprawie odczuwał jakąkolwiek wątpliwość, byłby ją przeciął otrzymany od komendanta następujący list, którego krótką treść przytaczamy tu dosłownie:

„Panie!

Posunąwszy nieco poza wyznaczone mi przez obowiązek granice pobłażliwość, z jaką mądrość nie tylko przyrodzona, ale i chrześcijańska odnosić się każe do błędów młodości i niedoświadczenia, a uczyniwszy to bez żadnego skutku, widzę się zniewolony, acz niechętnie, do użycia jedyne go pozostałego mi w obecnych okolicznościach środka. Otrzymujesz Pan przeto niniejszym rozkaz stawienia się w głównej kwaterze pułku w terminie trzech dni od daty listu. Gdyby Pan tego nie uczynił, byłbym zmuszony podać Pana do Ministerstwa Wojny jako nieobecnego bez usprawiedliwienia, a także przedsięwziąć inne kroki, równie niemile dla Pana, jak i dla Jego powolnego sługi

J. Gardinera, podpułkownika.

Dowódcy...-ego pułku dragonów”

W Edwardzie krew zakipiała, gdy czytał ten list. Wolno mu było od wczesnego dzieciństwa rozporządzać w znacznej mierze samodzielnie swoim czasem, toteż nabrał on przyzwyczajęń, z racji których miał wstręt do reguł wojskowej dyscypliny - i tak skądinąd niezbyt miłych. Wbił sobie też w głowę, że w odniesieniu do niego reguły te nie będą stosowane zbyt surowo, a pobłażliwe postępowanie jego pułkownika jeszcze go w tym utwierdziło. Nic też takiego nie zaszło, co by mogło skłonić komendanta - który poprzednio dotykał tych spraw jedynie lekkimi napomknięciami, wspomnianymi przy końcu czternastego rozdziału - do przyjęcia nagle tak ostrego, a jak się Edwardowi wydało, wprost obraźliwego tonu dyktatorskiej zwierzchności. Wiążąc to z świeżo otrzymanymi listami od rodziny, wysnuł stąd wniosek, że istniał świadomy zamiar dania mu do odczucia tego samego nacisku

władzy, jaki wywarło na jego ojca, i że plan ten był z góry ułożony w celu pogńębienia i upokorzenia wszystkich bez wyjątku członków rodziny Waverleyów.

Bez chwili namysłu Edward napisał więc kilka chłodnych słów do pułkownika, dziękując mu za poprzednią uprzejmość i wyrażając żal, że wolał on zatrzeć jej pamięć, przybrawszy nagle ton wręcz odmienny.” Brzmienie otrzymanego listu, jak również własne poczucie obowiązku w obecnym położeniu, wymagają od Edwarda złożenia szarży, wobec czego załącza formalną rezygnację ze stanowiska, które mu dało powód do tak niemiłej korespondencji, i uprasza pułkownika Gardinera o łaskawe przekazanie jej odpowiednim władzom.

Ukończywszy to wspaniałe orędzie, Edward zawahał się co do formy, w jaką należało ująć rezygnację, postanowił więc poradzić się Fergus Mac-Ivor. Mimochodem należy zauważyć, że śmiały i bystry sposób myślenia, działania i mówienia, właściwy młodemu naczelnikowi, zapewniał mu znaczną przewagę nad Waverleyem. Obdarzony co najmniej równą pojętnością, a o wiele głębszym umysłem, Edward pochylał jednak czoło przed pewną siebie i zdecydowaną postawą wodza, zahartowaną przez zwyczaj planowego i systematycznego działania oraz przez rozległą znajomość świata.

Fergus, gdy go Edward odszukał, trzymał jeszcze w ręku dopiero co przejrzaną gazetę<sup>236</sup>, a przyjaciela swego powitał z zakłopotaniem jak ktoś, kto ma niemiłą wiadomość do udzielenia.

- Czy pańskie listy, kapitanie Waverley, potwierdzają nieprzyjemną wiadomość, jaką w tej gazecie znajduję? - zapytał.

Wsunął mu do ręki gazetę, gdzie dymisję jego ojca odmalowano w bardzo przykrych słowach, przeniesionych zapewne żywcem z jakiegoś londyńskiego dziennika. Na końcu ustępu znajdował się taki znaczący komentarz:

„Rozumiemy, że ów Ryszard, który stał się winnym tego wszystkiego, nie jest jedynym przykładem chwiejnego honoru - W. v. r. ley H. N. R. Patrz w ostatnich wiadomościach”.

Z gorączkowym pośpiechem i lękiem bohater nasz - odszukał odpowiednie miejsce i znalazł w nim, co następuje: „Edward Waverley, kapitan...-ego pułku dragonów, usunięty za samowolną nieobecność” - w wykazie zaś wojskowych awansów, odnoszących się do tego pułku, odkrył tę jeszcze notatkę: „Porucznik Juliusz Butler mianowany kapitanem w miejsce usuniętego Edwarda Waverleya”.

---

<sup>236</sup> gazeta - nazwę taką nosiła w dziennikach angielskich rubryka podająca zmiany stanowisk służbowych

Serce naszego bohatera zapalało gniewem, który niezasłużona i zapewne rozmyślna zniewaga musiała wzbudzić w każdym, kto kochając honor zostałby w ten sposób złośliwie wystawiony na publiczny wstyd i pohańbienie. Porównując datę listu pułkownika z datą artykułu w dzienniku, przekonał się, że groźba doniesienia o jego nieobecności została dosłownie spełniona, i to widocznie bez zbadania, czy Edward otrzymał wezwanie i czy zamierzał się do niego zastosować. Wszystko to przeto wydawało się z góry ukartowanym planem mającym na celu poniżenie go w oczach ogółu; powodzenie tej intrygi przejęło go tak bolesnym wzruszeniem, że po daremnych wysiłkach opanowania go rzucił się w końcu w objęcia Mac-Ivora, dając folgę łzom wstydu i oburzenia.

Nikt nie mógłby naczelnikowi zarzucić obojętności na krzywdy swych przyjaciół; co zaś do Edwarda, to niezależnie od pewnych planów, które z osobą jego wiązał, interesował się nim głęboko i szczerze. Ostatnie zdarzenia wydały mu się, podobnie jak i Edwardowi, czymś niesłychanym. Wprawdzie on sam wiedział więcej od Waverleya o powodach nagłego wezwania go do pułku, to jednak, że dowódca wbrew swej znanej i ustalonej opinii postąpił w sposób tak surowy i niezwykły, nie dochodząc nawet istotnych przyczyn opóźnienia, było dlań tajemnicą nie do przeniknięcia. Mimo to pocieszał, o ile mógł, naszego bohatera i zaczął kierować jego myśli ku zemście za obrazę honoru.

Edward skwapliwie chwycił się tej rady.

- Czy zaniósłbyś ode mnie wyzwanie pułkownikowi Gardinerowi, mój drogi Fergusie? Zobowiązałbyś mnie tym na zawsze.

Fergus milczał przez chwilę.

- Jest to akt przyjacielski, którego bym ci nie odmówił, gdyby był pożyteczny lub zmierzał do oczyszczenia twego honoru; w danym wypadku jednak wątpię, czy twój komendant zgodziłby się na spotkanie z tobą, ponieważ zastosował on środki, które, choć ostre i drażniące, leżały jednak w ścisłych ramach jego służbowych uprawnień. Przy tym Gardiner jest gorliwym hugonotem<sup>237</sup> i wedle jego zasad tego rodzaju potyczki są grzeszne; niepodobieństwem byłoby odwieść go od tych pojęć, zwłaszcza że odwaga jego nie podlega żadnym wątpliwościom. A poza tym, ja... prawdę powiedziawszy... nie śmiem w obecnej chwili, dla pewnych bardzo ważnych powodów, zbliżać się do wojskowych kwater czy garnizonów będących na służbie tego rządu.

- A czyż ja mogę - zawołał Waverley - siedzieć cicho, rad ze zniewagi, jaką mi wyrządzono?!

---

<sup>237</sup> Gardiner jest gorliwszym hugonotem - Fergus Mac-Ivor wychowany we Francji używa francuskiego określenia protestantów, „hugonot”.

- Tego bym nigdy nie radził przyjacielowi - odpowiedział Mac-Ivor. - Ale chciałbym skierować zemstę na głowę zamiast na rękę; na rząd tyrański i uciskający, który uknuł i nakazał te rozmyślnie i powtarzane obelgi, nie zaś na robocze narzędzia, użyte przezeń dla spełnienia zniewag wymierzonych w ciebie.

- Na rząd! - powtórzył Waverley.

- Tak jest - odpowiedział zapalczywy góral. - Na uzurpatorski dom hanowerski, któremu dziad twój tak samo nie chciałby służyć, jak nie byłby przyjął rozżarzonego złota z rąk księcia czarcich zastępów.

- Ale od czasu mojego dziadka już dwa pokolenia tej dynastii zasiadały na tronie - zauważył Edward chłodno.

- To prawda - odparł naczelnik. - Czy jednak sprawa nieszczęsnej rodziny Stuartów stała się mniej słuszna przez to, że tytuł ich spadł na dziedzica, który nie odpowiada osobiście za nadużycie władzy zarzucane jego ojcu? Czy pamiętasz te wiersze twego ulubionego poety?...

Choćby Ryszard się wyrzekł dobrowolnie tronu,

Król więcej dać nie może ponad własność swoją.

Gdyby Ryszard miał syna<sup>238</sup>, on byłby dziedzicem.

Widzisz, mój drogi Waverleyu, że i ja potrafię cytować poezje, równie dobrze jak Flora i ty. Ale pójdź, rozpogódź zachmurzone czoło i zaufaj mi, że wskażę ci honorową drogę zemsty szybkiej i chwalebnej. Chodźmy odszukać Florę, która ma nam może coś więcej do opowiedzenia o tym, co się działo podczas naszej nieobecności. Ucieszy się z wiadomości, że jesteś zwolniony ze służby. Ale wpierw dodaj jeszcze do twego listu *post scriptum*, zaznaczając, kiedy odebrałeś pierwsze wezwanie od kalwińskiego pułkownika, i wyrażając żal, że zbyt pośpieszne jego działanie nie pozwoliło ci uprzedzić go przesłaniem własnej rezygnacji. A wtedy niech się wstydzi swej niesprawiedliwości.

Zapieczerowano odpowiednio list zawierający formalne zrzeczenie się szarży przez Edwarda, po czym Mac-Ivor wysłał go wraz z kilkoma własnymi przez umyślnego posłańca, z poleceniem nadania ich w najbliższym urzędzie pocztowym na Nizinach.

---

<sup>238</sup> Gdyby Ryszard miał syna... itd. - odpowiednio do okoliczności przystosowana zmiana słów pochodzących ze sztuki Szekspira pt. Henryk VI

## ROZDZIAŁ XXVI

### Wyjaśnienie

Wzmianka naczelnika o Florze nie była przypadkowa. Zauważył z wielkim zadowoleniem wzrastający sentyment Waverleya ku siostrze, nie widział też żadnej przeszkody na drodze ich związku, prócz tego stanowiska, jakie ojciec Waverleya zajmował w rządzie, i służby samego Edwarda w armii Jerzego II. Przeszkody te były teraz usunięte, i to w sposób mogący prawdopodobnie pogodzić Edwarda z przejściem pod inny sztandar. Pod każdym innym względem partia ta przedstawiała się jak najkorzystniej.

Związek taki zapewniał bezpieczeństwo, szczęście i godne ustalenie losu siostrze, którą kochał serdecznie; jednocześnie rosło w nim serce na myśl, jak jego własne znaczenie zyskałoby na tym w oczach byłego monarchy, któremu tak był oddany. Zbliżenie się z jednym z tych starych, potężnych i bogatych angielskich rodów o wypróbowanej rycerskiej wierności, których przygasłe przywiązanie do rodu Stuartów czekało tylko na świeżą podniecię - było dla ich domu sprawą żywotnej wagi. Fergus nie widział żadnej przeszkody na drodze do urzeczywistnienia tego planu. Przywiązanie Waverleya było widoczne; że zaś był przystojny i że upodobania mieli podobne, przeto brat nie przewidywał sprzeciwu ze strony Flory. Co prawda, wobec własnych pojęć o patriarchalnej władzy oraz nabytych we Francji poglądów o rozporządzaniu kobietą w sprawach dotyczących się małżeństwa, Fergus nie liczyłby się zbytnio z oporem siostry - mimo iż kochał ją szczerze - choćby nawet zamierzony związek nie był tak dalece pożądanym.

Ożywiony takimi uczuciami naczelnik szedł teraz z Waverleyem szukać panny Mac-Ivor nie bez nadziei, że chwilowe wzburzenie umysłu jego gościa doda mu odwagi do położenia kresu temu, co Fergus nazywał „romansem konkurów”.

Zastali Florę z jej wiernymi służebniczkami, Uną i Katliną, przy sporządzaniu czegoś, co Waverley wziął zrazu za białe weselne kokardki.

Ukrywając w miarę możliwości wzruszenie, Waverley zapytał, na jaką to radosną uroczystość panna Mac-Ivor przygotowuje tak liczne ozdoby.

- To na wesele Fergus - odpowiedziała z uśmiechem.

- Doprawdy! - rzekł Edward. - Dobrze zatem dochowywał tajemnicy. Chyba pozwoli mi zostać swym drużbą.

- Zadanie to przystoi mężowi<sup>239</sup>, lecz nie wam, jak powiada Beatrice - odparła Flora.

---

<sup>239</sup> Zadanie to przystoi mężowi...- słowa ze sztuki Szekspira Wiele hałasu o nic. Tu: aluzja do

- A któż jest piękną młodą panią? Czy wolno mi zapytać, panno Mac-Ivor?

- Czy dawno już panu nie mówiłam, że Fergus nie zaślubi nikogo prócz Czci? - odpowiedziała Flora.

- A dlaczegoż to ja mam być niezdolny do służenia mu pomocą i radą w rzeczach honoru? - powiedział nasz bohater oblewając się gorącym rumieńcem. - Czyż tak mało jestem wart w oczach pani?

- Bynajmniej, kapitanie Waverley. Pragnęłabym, Bóg widzi, ażeby pan był naszych przekonań! A wyrażenia, które się panu nie podobało, użyłam tylko dlatego,

Że ty nie jesteś naszej wiary.

Lecz stoisz przeciw nam jak wróg.

- To czasy minione, siostró - rzekł Fergus. - Możesz powinszować Edwardowi Waverleyowi (już nie kapitanowi), że wyrwał się z niewoli uzurpatora widocznej w tym czarnym, złowróżbnym symbolu.

- Tak jest - powiedział Waverley dopinając kokardę od kapelusza. - Spodobało się królowi, który ten znak na mnie nałożył, odjąć go w sposób nie pozostawiający mi powodów do żalu za jego służbę.

- Dzięki Bogu za to! - zawołała entuzjastka. - I oby byli na tyle zaślepieni, by równie podle potraktować każdego uczciwego człowieka, który im służy; nie potrzebowałabym wtedy drzeć o tyłu, gdy walka nadejdzie!

- A teraz, siostró - przemówił naczelnik - zamień kokardę jego na inną, o żywszym kolorze. Zdaje mi się, że było zwyczajem dam dawniejszych czasów zbroić i wysyłać rycerzy na wielkie i chwalebne czyny.

- Ale dopiero wtedy, Fergusie - odpowiedziała - gdy rycerz szukający przygód dobrze zważył sprawiedliwość i niebezpieczeństwo sprawy. Pan Waverley jest w tej chwili zbyt wzburzony świeżymi wrażeniami, bym mu mogła narzucać tak ważne postanowienie.

Waverley zatrwożył się nieco na myśl o przywdzianiu odznaki tego, co większość królestwa uważała za bunt, niemniej jednak doznał przykrego zawodu, gdy Flora chłodno odrzuciła propozycję brata.

- Panna Mac-Ivor, jak widzę, uważa rycerza za niegodnego jej zachęty i barw - powiedział z odcieniem goryczy.

- Ależ nie, panie Waverley - zaprzeczyła z wielką słodyczą. - Dlaczegoż miałabym

odmawiać wysoce cenionemu przyjacielowi mego brata daru, który rozdaje całemu jego klanowi? Jak najchętniej przyciągnęłabym każdego człowieka honoru do sprawy, której się mój brat poświęcił: ale Fergus miał oczy otwarte, gdy do niej przystępował. Życie swoje oddał na usługi tej sprawy od kolebki, a głos jej jest dlań święty, choćby nawet wzywał go do grobu. Jakżeż więc mogę pragnąć, ażebyś pan, panie Waverley, tak nie znający świata, tak daleki od wszystkich przyjaciół, którzy by mogli poradzić mu i mieć wpływ na niego... i to jeszcze w chwili nagłej urazy i oburzenia... jakże ja mogę pragnąć, żebyś rzucił się na oślepienie w tak ryzykowne i niebezpieczne przedsięwzięcie?

Fergus, który nie rozumiał tych subtelności, chodził po pokoju, zagryzając wargi, aż wreszcie z przymuszonym uśmiechem powiedział:

- A więc, siostrze, opuszczam cię; odgrywaj dalej nową rolę pośredniczki pomiędzy elektorem hanowerskim a poddanymi twojego prawowitego władcy i dobroczyńcy. - To powiedziawszy wyszedł z pokoju.

Nastało przykre milczenie, które w końcu przerwała panna Mac-Ivor.

- Brat mój jest niesprawiedliwy - rzekła - ponieważ nie może znieść niczego, co staje na zawadzie jego lojalnej gorliwości.

- A czy pani nie podziela tych jego uczuć?

- Czy ich nie podzielam? - odpowiedziała panna Flora. - Bóg widzi, że gdyby to było możliwe, prześcignęłabym go jeszcze! Ale nie porywa mnie, tak jak jego wir i zamęt wojskowych przygotowań i nieskończoność szczegółów potrzebnych w obecnym przedsięwzięciu; nie mogę zapomnieć o wzniosłych zasadach sprawiedliwości i prawdy, na których przedsięwzięcie nasze się wspiera; tym zaś zasadom, jestem tego pewna, służyć można tylko środkami, które same przez się są godziwe i słuszne. Wpływać na pańskie obecne uczucia, mój drogi panie Waverley, i nakłaniać cię do nieodwołalnego kroku, którego słuszności ani niebezpieczeństw nie miałeś czasu zważyć, byłoby, wedle mojego skromnego zdania, czynem nie zasługującym zgoła na pochwałę.

- Nieporównana Floro! - zawołał Edward ujmując jej rękę. - Jak bardzo mi potrzeba takiego doradcy!

- O wiele lepszego - odpowiedziała Flora, łagodnie wysuwając rękę - znajdzie pan Waverley zawsze w własnej piersi, jeżeli tylko cichego jego głosu zechce posłuchać.

- Nie, panno Mac-Ivor, nie śmiem się tego spodziewać; w tysiącnych wypadkach zgubne pobłażanie sobie uczyniło ze mnie człowieka rządzącego się raczej wyobraźnią niż rozumem. Gdybym tylko mógł mieć nadzieję, gdybym ośmielił się marzyć, że pani raczy być dla mnie tym przywiązany, tym łaskawym przyjacielem, który by mnie umocnił na drodze



poprawy -moje przyszłe życie...

- Dosyć, dosyć, mój kochany panie! Teraz znów podnosisz radość z tego, żeś umknął z rąk jakobickiego oficera werbunkowego, do wyżyn niesłychanej, przesadnej wdzięczności.

- Nie, droga Floro, nie żartuj pani ze mnie dłużej; pani chyba zrozumiała znaczenie tych uczuć, które prawie mimo woli wyraziłem, a skoro przerwałem zaporę milczenia, pozwól mi korzystać z mej śmiałości... Albo czy wolno mi, za pani zezwoleniem, wspomnieć bratu pani...

- Za nic w świecie, panie Waverley!

- Jak mam to rozumieć? - pytał Edward. - Czy istnieje jaka fatalna przeszkoda... czy może kto uprzedził?...

- Nikt, panie! - odpowiedziała Flora. - Wolno mi sumiennie zapewnić, iż nigdy jeszcze nie spotkałam człowieka, o którym bym pomyślała w związku z tą sprawą.

- Krótkotrwała znajomość nasza, zapewne... Gdyby panna Mac-Ivor raczyła dać mi czas...

- Nawet tego nie mam na swoje usprawiedliwienie. Charakter kapitana Waverleya tak jest przejrzysty... Jest on, krótko mówiąc, taki, że nie można pomylić się ani co do jego siły, ani też słabości.

- I dla tej słabości pani mną pogardza? - szepnął Edward.

- Niech mi pan daruje, panie Waverley, i nie zapomina o tym, że jeszcze pół godziny temu istniała między nami zaporą, z natury swej dla mnie nie do przebycia, ponieważ o oficerze w służbie domu hanowerskiego nigdy bym inaczej pomyśleć nie mogła, jak tylko o przygodnym znajomym. Pozwól mi przeto zebrać myśli co do tej nieoczekiwanej sprawy, a zanim upłynie godzina, będę gotowa podać panu takie powody mojego przyszłego postanowienia, które w każdym razie zadowolą pana, choćby mu nawet nie miały być miłe.

To powiedziawszy Flora wyszła, pozostawiając Waverleya w zadumie nad sposobem, w jaki przyjęła jego oświadczenia.

Zanim zdążył zdać sobie sprawę z tego, czy starania jego mogą mieć widoki powodzenia, Fergus powrócił do komnaty.

- Cóż to, *a la mort*<sup>240</sup>, Waverley? - zawołał. - Przejdź ze mną na podwórze, a ujrzysz widok wart wszystkich tyrad waszych romansów. Sto strzelb, mój drogi, i tyleż szabel, świeżo przysłanych przez dobrych przyjaciół; a dwustu czy trzystu dziarskich chłopców bije się wprost o to, kto je pierwszy dostanie. Ale pozwól, niech ci się lepiej przy pa -

---

<sup>240</sup> a la mort (franc.) - na śmierć.

trze... A to co? Prawdziwy góral powiedziałby, że urzekło cię złe oko... Albo... czy być może, że to ta głupia dziewczyna tak w tobie podcięła ducha? Nie zważaj na nią, kochany Edwardzie; najrozumniejsze z jej płci są w sprawach życiowych niemądre.

- Zaiste, dobry mój przyjacielu - odpowiedział Waverley - jedyną rzeczą, którą zarzucić mogę twojej siostrze, jest chyba to, że zanadto jest mądra, zanadto rozumna.

- Jeżeli o to tylko chodzi, stawiam luidora, że ten nastrój nie będzie trwał dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Żadna niewiasta nie wytrzymała jeszcze w rozumie tak długo; jeśli więc chcesz, założę się, że Flora będzie jutro równie płocha, jak każda inna. Musisz się nauczyć, mój drogi Edwardzie, oceniać kobiety *en mousquetaire*<sup>241</sup> - To mówiąc ujął Waverleya pod ramię i pociągnął go za sobą na przegląd wojskowych przygotowań.

---

<sup>241</sup> en mousquetaire (franc.) - po żołniersku.

## ROZDZIAŁ XXVII

### O tym samym

Fergus Mac-Ivor zbyt wiele posiadał taktu i delikatności, żeby powracać do przerwanej rozmowy. Zresztą głowę tak miał pełną strzelb, szabel, czapek, manierek i pończoch tartanowych, że Waverley przez czas jakiś nie mógł ściągnąć jego uwagi na żaden inny temat.

- Czy już tak prędko zamierzasz wyruszyć w pole, Fergusie - zapytał - że robisz te wszystkie wojenne przygotowania?

- Gdy już postanowimy, że idziesz ze mną, będziesz wiedział o wszystkim, w obecnym stanie rzeczy ta wiadomość mogłaby ci raczej zaszkodzić.

- Czyż jednak poważnie zamierzasz, z siłami o tyle mniejszymi, powstać przeciw ustalonemu rządowi? Przecież to szaleństwo!

- Nie chciałbym - mówił naczelnik - uchodzić w tych oczach za tak szalonego, iżbym miał ruszyć nie poczekawszy na dobrą sposobność; nie wypuszczę psa, póki zwierzyna nie zostanie spłoszona. A więc, czy chcesz się do nas przyłączyć i wiedzieć o wszystkim?

- Jakże ja mogę? - odpowiedział Waverley. - Przecież tak niedawno jeszcze miałem szarżę, którą teraz dopiero odsyłam tym, którzy mi ją dali, wszak przyjęcie jej pociągnęło za sobą obietnicę wierności i uznania legalności rządu.

- Nieopatrzna obietnica to nie stalowe kajdany - odpowiedział Fergus - można ją strząsnąć z siebie, zwłaszcza jeżeli została dana przez nieświadomość, a odpłacona zniewagą. Jeżeli jednak nie możesz zdecydować się natychmiast na chwalebny zemstę, jedź do Anglii, a zanim jeszcze przekroczysz Tweed, usłyszysz wieści, od których świat zabrzmi; jeśli zaś sir Everard jest tak grzecznym kawalerem, jakim go opisują niektórzy nasi zacni panowie z roku 1715, znajdzie ci on lepszy oddział konnicy i lepszą sprawę niż tę, które właśnie straciłeś.

- A siostra twoja, Fergusie?

- Precz stąd, hiperboliczny szatanie<sup>242</sup> - odpowiedział śmiejąc się naczelnik. - Jakże ty męczysz tego człowieka... Czy już o niczym innym nie mówisz, tylko o kobietach?

- Nie, nie żartuj, drogi przyjacielu - rzekł Waverley. - Ja czuję, że całe nieszczęście mego przyszłego życia zależy od odpowiedzi, jaką panna Mac-Ivor da mi na to, co odważyłem się powiedzieć jej dziś rano.

- Czy mówisz to trzeźwo i szczerze? - poważniej odpowiedział Fergus. - Czy też może

---

<sup>242</sup> hiperboliczny szatan - znęcający się ponad miarę. Słowa te pochodzą ze sztuki Szekspira Wieczór trzech króli.

przebywamy w krainie romansu i powieści?

- Mówię z pełnym zastanowieniem, niewątpliwie. Jakże mógłbyś przypuścić, że żartuję na taki temat?

- A więc trzeźwo i szczerze - odpowiedział jego przyjaciel - cieszy mnie ta wiadomość; tak wysoko stawiam Flore, że uważam cię za jedynego człowieka w Anglii, o którym bym to powiedział. Lecz za wcześnie może ściskasz mi rękę tak gorąco - są jeszcze różne względy do rozważenia... choćby twoja rodzina - czy oni pochwalą związek z siostrą „wysoko urodzonego góralskiego żebraka”?

- Majątkowa sytuacja mojego stryja - odpowiedział Waverley - jego zasadnicze przekonania i zgodność usposobienia uprawniają mnie do wyrażenia poglądu, że w związku takim dbałby tylko o urodzenie i osobiste zalety. A gdzież ja znajdę jedno i drugie złączone tak doskonale jak w osobie twojej siostry?

- O, nigdzie... *Cela va sans dire*<sup>243</sup> - odpowiedział Fergus z uśmiechem. - A twój ojciec będzie chciał skorzystać z przywileju ojcowskiego i zapragnie, byś się go poradził.

- Niezawodnie, lecz świeże jego zerwanie z rządem usuwa wszelką obawę oporu z jego strony, zwłaszcza że stryj z całą pewnością gorąco poprze moją sprawę.

- A może wyznanie będzie przeszkodą - mówił Fergus - chociaż my, mimo iż katolicy, bigotami nie jesteśmy.

- Moja babka była wyznania rzymsko-katolickiego, a nigdy rodzina moja nie robiła jej z tego powodu zarzutów. Nie myśl o moich bliskich, drogi Fergusie, użyj mi raczej wpływu twojego tam, gdzie może istotnie trzeba będzie usuwać przeszkody... mam na myśli twoją piękną siostrę.

- Moja piękna siostra - odpowiedział Fergus - podobnie jak jej kochający brat, ma własną, dość stanowczą wolę, której w tym wypadku będziesz musiał się poddać; jednakże ani mojej rady, ani współudziału ci nie zabraknie. W pierwszym tedy rzędzie dam ci jedną wskazówkę. Lojalność jest jej dominującą pasją; od kiedy umiała przesyłabizować angielską książkę, kochała się w pamięci dzielnego kapitana Wogana, który porzucił służbę uzurpatora Cromwella, by stanąć pod sztandarem Karola II; pomaszerował z garstką jazdy z Londynu w góry, połączył się z Middletonem wojującym wtedy po stronie króla i w końcu zginął chwalebnie za sprawę królewską. Proś ją, niech ci pokaże poemat, który napisała na cześć jego dziejów i losu; bardzo te wiersze chwalono, zapewniam cię. Następnym punktem byłoby... zdaje mi się, że widziałem przed chwilą Flore idącą Ku wodospadowi; idź za nią,

---

<sup>243</sup> *Cela va sans dire* (franc.) - rozumie się samo przez się; nie ma o czym mówić.

chłopcze, idź za nią! Nie pozwól, by załoga twierdzy zdążyła się przygotować do obrony. *Alerte a la muraille!*<sup>244</sup> Odszukaj Flore i jak najprędzej dowiedz się, co postanowiła, a Kupidyn niech ci towarzyszy, ja tymczasem dokonam przeglądu pasów i ładownic.

Waverley piął się w górę wąwozu z bijącym niespokojnie sercem. Miłość, z całym jej romantycznym orszakiem nadziei, obaw i życzeń, mieszała się z innymi, nie tak łatwo dającymi się określić. Nie mógł zapomnieć o tym, jak bardzo ranek ten zmienił jego losy i w jakie kłopotliwe powikłania mogło go to wciągnąć. Wschód słońca zastał go na poczesnym stanowisku w czcigodnej karierze wojskowej, przy czym ojciec jego zdawał się szybko rosnać w łaski swojego władcy; wszystko to rozwiało się teraz jak sen. Ojciec jego wpadł w niełaskę, a on sam został pozbawiony czci i stał się mimo woli powiernikiem, jeśli nawet nie współnikiem, zamysłów ciemnych, przepastnych i niebezpiecznych, mogących pociągnąć za sobą albo obalenie rządu, któremu tak niedawno służył, albo też zgubę wszystkich, którzy w nich brali udział.

Gdyby nawet Flora przyjęła przychylnie jego starania, jakaż była nadzieja szczęśliwego ich wyniku - wobec zamętu grożącego powstania? Albo czyż mógł on prosić ją samolubnie, by opuściła Fergusa, do którego tak była przywiązana, i usunąwszy się z nim do Anglii, oczekiwała, jak widz daleki, powodzenia braterskiego przedsięwzięcia lub też ruiny wszystkich jego nadziei i losów?... A znowu, z drugiej strony - zaangażować się, bez żadnej innej pomocy prócz własnego ramienia, w niebezpieczne i pospieszne działania naczelnika, stać się igraszką jego woli i uczestnikiem awanturniczych i gwałtownych posunięć, zrezygnować nieledwie z własnego sądu, z możliwości rozstrzygnięcia o prawości czy przezorności swych czynów - wszystko to nie było miłą perspektywą, do której by tajona duma Waverleya pragnęła się zniżyć.

A jednak jakież inne pozostawało rozstrzygnięcie, jeśli brać pod uwagę odrzucenie starań jego przez Flore; o czym przy wysokim napięciu uczuć nie mógł myśleć w danej chwili bez prawdziwej męki? Rozważając te wątpliwe i niebezpieczne widoki przyszłości doszedł nareszcie w pobliże wodospadu, gdzie, jak to przepowiedział Fergus, zastał już siedzącą Flore.

Była zupełnie sama, a skoro go ujrzała, wstała i podeszła ku niemu. Edward usiłował czymś w rodzaju zwykłego komplementu nawiązać wymianę słów, nie mógł się jednak na to zdobyć. Flora wydawała się zrazu nie mniej zakłopotaną, ale opanowała się prędzej i (co było niepomysłną wróżbą dla Waverleya) pierwsza poruszyła temat ich ostatniej rozmowy.

---

<sup>244</sup> *Alerte a la muraille!* (franc.) - Szybko na mury!

- Sprawa jest pod każdym względem zbyt ważna, panie Waverley - zaczęła - ażebym mogła pozostawić pana w stanie wątpliwości co do moich uczuć.

- Niech pani nie wyjawia ich zbyt pospiesznie - powiedział Waverley mocno wzruszony - chyba że są one takie, jakich pragnę, czego sądząc po pani zachowaniu nie śmiem niestety oczekiwać. Niech raczej czas... Przyszłe postępowanie moje... wpływ brata pani...

- Wybacz mi, panie Waverley - odpowiedziała Flora zarumieniwszy się trochę, ale głosem pewnym i spokojnym - musiałabym sama sobie ciężkie czynić wyrzuty, gdybym się ociągała z wyrażeniem mego szczerzego przekonania, że nigdy pana inaczej traktować nie będę niż jako bardzo cenionego przyjaciela. Wyrzuciłabym panu najwyższą niesprawiedliwość, gdybym ukrywała na chwilę moje uczucia... widzę, że sprawiam panu przykrość i bardzo mnie to boli, ale lepiej teraz niż później! I po tysiącokrotnie lepiej, panie Waverley, abyś obecnie odczuł chwilowy zawód niż w przyszłości te długie a bolesne zgryzoty, które wynikają z nieopatrznie zawartego, źle dobranego małżeństwa!

- Wielki Boże! - zawołał Waverley. - Dlaczego przewiduje pani takie następstwa związku, skoro urodzenie jest równe, warunki materialne pomyślne, upodobania - jeśli wolno mi się tak wyrazić - podobne i skoro pani nie twierdzi, że przenosi raczej innego, a nawet życzliwie się wyraża o tym, którego odrzuca?

- Panie Waverley ja naprawdę korzystnie pana oceniam - odpowiedziała Flora - i to tak szczerze, że chociaż wolałabym przemilczeć przyczyny mojego postanowienia, będzie pan o nich wiedział, jeśli pan żąda takiego dowodu mojego szacunku i zaufania.

Trudno mi - ciągnęła dalej - przedstawić stan moich uczuć, gdyż różnią się one wielce od tych, które zazwyczaj przypisują młodym kobietom w moim wieku; zaledwie też śmiem dotknąć tego, co jest istotą uczuć pańskich, ażeby nie obrazić pana zamiast go pocieszyć, jak bym tego pragnęła. Co do mnie, od dzieciństwa aż po dzień dzisiejszy, miałam tylko jedno pragnienie - przywrócenia moich królewskich dobroczyńców na należny im prawowicie tron. Nie potrafię wyrazić panu, z jak głębokim oddaniem skierowałam wszystkie uczucia ku temu jedynemu celowi - wyznaję to szczerze - o władnął on duszą moją tak silnie, iż wykluczył wszelką myśl o tym, co nazywają ustaleniem losu kobiety. Obym tylko dożyła tej upragnionej chwili, jednaką wartość mieć będą dla mnie chata góralska, francuski klasztor czy angielski pałac.

- Innymi słowy, droga panno Mac-Ivor, pani mnie kochać nie może? - z głębokim smutkiem powiedział Edward.

- Mogłabym pana cenić, panie Waverley, tak samo, a może więcej niż jakiegokolwiek

innego znanego mi mężczyznę, ale nie mogę kochać pana tak, jak pan powinien być kochany. O, nie pragnij pan, dla własnego dobra, tak ryzykownej próby! Kobieta, którą pan zaślubi, powinna mieć uczucia i przekonania ukształtowane wedle pańskich. Jej zainteresowania, skłonności, nadzieje, obawy - wszystko to powinno łączyć się z pańskimi uczuciami. Powinna ona być podniecią twych przyjemności, uczestniczką zmartwień, pocieszycielką w smutku.

- Ale dlaczegoż nie chce pani, panno Mac-Ivor, umiejąc tak dobrze opisać szczęśliwy związek, sama stać się tą opisaną przez siebie osobą?

- Czyż możliwe, żeby mnie pan nie rozumiał? - odpowiedziała Flora. - Przecież mówiłam panu, że każde żywsze uczucie mojego serca kieruje się wyłącznie ku wydarzeniu, którego zaiste nie mogę popierać inaczej niż tylko gorącymi modłami.

- A czy uwzględnienie mojej prośby - mówił Waverley, któremu zbytnie przejęcie się upragnionym celem nie pozwalało zważyć dość dokładnie znaczenia wypowiedzanych słów - nie mogłoby nawet posunąć sprawy, której się pani poświęciła? Rodzina moja jest bogata i potężna, przychylna w zasadzie rodowi Stuartów, i gdyby sprzyjająca sposobność...

- Sprzyjająca sposobność! - odparła Flora trochę wzgardliwie. - Przychylna w zasadzie... Czyż taka letnia postawa może być zaszczytna dla was samych lub miła waszemu prawowitemu władcy? Pomyśl pan przy tym, ile musiałabym wycierpieć wszedłszy do rodziny, gdzie prawa, które ja uważam za najświętsze, podlegają chłodnym dyskusjom i tylko o tyle uważane są za godne poparcia, o ile i bez niego bliskie już są tryumfu!

- Powątpiewania pani - szybko podjął Waverley - nie są uzasadnione, jeżeli mnie dotyczą. Sprawę, przy której się opowiem, odważę się popierać poprzez wszystkie niebezpieczeństwa, równie niezłomnie jak najśmielszy z jej bojowników.

- O tym - odpowiedziała Flora - nie wątpię ani na chwilę. Ale niech pan kieruje się raczej własnym sądem i rozumem niż postanowieniem powziętym prawdopodobnie tylko dlatego, że zdarzyło się panu spotkać na odludziu w romantycznym otoczeniu młodą kobietę o przeciętnym poziomie wykształcenia. Niech rola pańska w tym wielkim a niebezpiecznym dramacie oprze się na przekonaniu, a nie na nagłym i zapewne przelotnym uczuciu.

Waverley chciał odpowiedzieć, ale brakło mu słów. Gdy uszli kawałek drogi w milczeniu po ścieżce, Flora podjęła znowu rozmowę w ten sposób:

- Jeszcze jedno słowo, panie Waverley, zanim porzucimy ten przedmiot na zawsze; daruj mi też moją śmiałość, jeżeli to słowo będzie miało pozór rady. Mój brat Fergus gorąco pragnie, żebyś się z nim połączył w obecnej wyprawie. Jednakże nie przystawaj na to; sama twoja osobista waleczność nie zdołałaby mu zapewnić powodzenia, a nieuchronnie podzieliłbyś jego upadek, jeżeli Bogu spodoba się taki wynik. Opinia pańska ucierpiałaby

także bezpowrotnie. Pozwól mi prosić cię, byś wracał do własnej ojczyzny, a tam - gdy uwolnisz się publicznie od wszelkich więzów łączących cię z uzurpatorskim rządem - ufam, że zrozumiesz słuszność i znajdziesz sposobność służenia twemu pokrzywdzonemu władcy skutecznie, i wystąpisz, za przykładem twych lojalnych przodków, na czele drużyny złożonej z właściwych waszych popleczników, jako godny przedstawiciel domu Waverleyów.

- A gdybym miał szczęście odznaczyć się w ten sposób, czy mógłbym mieć nadzieję?...

- Niech pan pozwoli, że przerwę - odpowiedziała Flora. - Żyjemy jedynie terażniejszością, a ja szczerze wyjaśnić panu mogę tylko te uczucia, które mną w tej chwili rządzą; czy mogłyby się one odmienić przez bieg wypadków, zbyt szczęśliwych może, ażeby na nie liczyć, co do tego trudno snuć jakiegokolwiek przypuszczenia. O tym jednak bądź przekonany, panie Waverley, że po bracie nie mam nikogo, za czyje szczęście i powodzenie modliłabym się szczerzej niż za pańskie.

Z tymi słowami rozstała się z nim, gdyż doszli do miejsca, gdzie ścieżka się rozdwajała. Waverley powrócił do zamku, pogrążony w zamęt sprzecznych uczuć. Unikał spotkania z Fergusem, gdyż nie czuł się na siłach ani słuchać jego drwinek, ani odpowiadać na jego nalegania. Huczny gwar biesiady (Mac-Ivor zastawił właśnie stół dla swojego klanu) zagłuszał mu myśli. Po skończonej uczcie zaczął rozważać, jak ułożą się stosunki jego z panną Mac-Ivor po ciekawym a bolesnym wyjaśnieniu tego ranka. Flora jednak nie pokazywała się. Fergus, któremu oczy zabłyśły, gdy mu Katlina oświadczyła, że pani jej tego wieczora postanowiła nie opuszczać swego pokoju, sam poszedł po nią; lecz widocznie namowy jego były daremne, gdyż wrócił z twarzą zarumienioną i wyraźnymi oznakami niezadowolenia. Reszta wieczoru minęła bez żadnych wzmianek o temacie, który zaprzętał myśli Waverleya, a być może i jego gospodarza również.

Wróciwszy do swego pokoju Edward starał się uporządkować w myśli zdarzenia tego dnia: że Flora wytrwa na razie w odmowie, jakiej mu udzieliła, co do tego nie było wątpliwości. Lecz czy mógłby się spodziewać ostatecznego i powodzenia w razie, gdyby okoliczności pozwoliły mu ponowić starania? Natężał pamięć, by przypomnieć sobie każde słowo, jakiego użyła, wraz z odpowiednimi spojrzeniami i gestami, jakimi je podkreślała, lecz w końcu wracał wciąż do tej samej niepewności. Było już bardzo późno, gdy sen przyniósł ulgę zamętowi jego duszy po najboleśniejszym i najpełniejszym wzruszeń dniu jego życia.



## ROZDZIAŁ XXVIII

### Listy z Tully-Veolan

Rankiem, gdy sen uciszył na pewien czas frasobliwe rozmyślania Waverleya, w jego senne marzenia wplątała się muzyka, ale nie był to głos Selmy<sup>245</sup>. Wyobraził sobie, że jest znowu w Tully-Veolan i że słyszy Dawidka Gellatley, wyśpiewującego na podwórzu owe poranne piosenki, które zazwyczaj bywały pierwszym głosem przerywającym mu spoczynek, gdy bawił w gościnie u barona Bradwardine. Tony, które tę wizję nasunęły, dźwięczały dalej, stając się coraz głośniejsze, aż wreszcie Edward obudził się na dobre. Złudzenie jednakże niezupełnie się rozwiało. Pokój mieścił się wprawdzie w warowni *Iana nan Chaistel*, ale pod oknami brzmiał istotnie głos Dawidka Gellatley, nuący takie oto zwrotki:

Moje serce w górach, tam tylko mój świat.  
Gdzie mknie chyży jelen, a ja za nim w ślad.  
Moje serce w górach, gdzie skaty i wrzos,  
W jakąkolwiek stronę zagnałby mnie los.

Ciekaw, co mogło skłonić pana Gellatley do tak niezwykle dalekiej wycieczki, Edward zaczął się pośpiesznie ubierać, podczas gdy Dawidek kilkakrotnie zmieniał ton swoich piosenek:

Prócz czosnku i rzepy nic góry nie rodzą,  
Długonodzy chłopcy bez portek tu chodzą;  
Bez portek, bez pończoch chodzą nieobuci -  
Zdobędziemy portki, jak król Kubuś wróci.

Zanim Waverley zdążył ubrać się i wyjść, Dawid zawarł znajomość z kilkoma spośród licznych góralskich próżniaków, którzy zawsze obecnością swoją zdobili bramy zamku, i pisał teraz w najlepsze, to kręcąc się, to drobiąc gwałtownie w szkockim poczwórnym *reel* do taktu własnego gwizdania. Trwał tak w podwójnej roli muzykanta i tancerza, aż bezczynny kobziarz, widząc jego zapał, posłuchał jednomyślnego wołania *Seid suas* (to znaczy „nadymaj”) i odjął mu połowę zadania. Wtedy i młodzi, i starzy wmieszali się do tańca, w

---

<sup>245</sup> głos Selmy - wyrażenie to oznacza tu pieśni gaelickie. Selma - stolica państwa króla Fingala, bohatera Pieśni Osjana.

miarę jak udawało im się dobrać parę. Ukazanie się Waverleya nie przeszkodziło Dawidowi tańczyć dalej, chociaż to szczerzeniem zębów w uśmiechu, to kiwnięciem głową, to paru pokłonami, wsuniętymi pomiędzy zgrabne góralskie podrygi, dawał do zrozumienia naszemu bohaterowi, że go poznaje. Następnie wśród pracowitych przysiadów, ciągłego pokrzykiwania i przytkania palcami nad głową, puścił się nagle w bok aż do miejsca, gdzie stał Edward; i wciąż pod takt muzyki, niby arlekin w pantomimie, wsunął mu list do ręki, bez chwili przerwy ciągnąc dalej swoje skoki. Edward spostrzegłszy, że adres jest pisany ręką Róży, poszedł odczytać list, pozwalając wiernemu oddawcy tańczyć dalej, póki jemu lub kobziarzowi sił nie zbraknie.

Treść listu bardzo go zadziwiła. Zaczynał on się pierwotnie nagłówkiem „Drogi Panie”, lecz słowa te zostały starannie wyskrobane, ustępując miejsca zwykłemu tylko „Panie”. Podajemy list ten dosłownie:

„Przepraszam, że pozwalam sobie może w niewłaściwy sposób trudzić Pana, ale nie mogę zaufać nikomu innemu, kto by powiadomił Go o pewnych wypadkach, które się tu zdarzyły, a o których, zdaje mi się, że powinien Pan się dowiedzieć. Proszę mi wybaczyć, jeżeli postępuję niesłusznie, gdyż niestety, Panie Waverley - nie mam nikąd dobrej rady, będąc zdana wyłącznie na własny sąd; drogi mój ojciec opuścił dom i Bogu tylko wiadomo kiedy będzie mógł powrócić, by udzielić mi pomocy i opieki.

Słyszał Pan prawdopodobnie, że na skutek pewnych niepokojących wieści z gór - wydano rozkaz aresztowania niektórych panów w tych stronach, a wśród nich i mego drogiego ojca. Pomimo mych łez i błagań, by poddał się rządowi, ojciec mój po połączeniu się z panem Falconerem i kilku innymi sąsiadami wyruszył na północ z oddziałem, liczącym jakich czterdziestu konnych. Toteż nie tyle obawiam się o jego chwilowe bezpieczeństwo, ile o to, co może później nastąpić, gdyż te niepokoje dopiero się zaczynają. Ale to wszystko niewiele Pana obchodzi, Panie Waverley; pomyślałam tylko, że Pan będzie rad dowiedzieć się, że ojciec mój uszedł, na wypadek gdyby pan usłyszał o jego zagrożeniu.

Na drugi dzień po wyjeździe mojego ojca przybył do Tully-Veolan oddział żołnierzy, którzy bardzo szorstko obeszlą się z panem Macwheeble, ale względem mnie oficer był bardzo grzeczny i oznajmił tylko, że ma obowiązek przetrząsnąć dom w poszukiwaniu broni i papierów. Mój ojciec przewidział to, zabierając wszystką broń z wyjątkiem starych nieużytecznych sztuk, które wiszą w hallu, a papiery wszystkie usunął. Ale jakże ja, Panie Waverley, doniosę ci o tym, że oni bardzo dokładnie wypytywali się o Ciebie, dowiadując się, kiedy Pan był w Tully-Veolan i gdzie Pan się teraz znajduje? Oficer ze swoim oddziałem odjechał, ale pozostał tu podoficer z czterema ludźmi jako rodzaj stałej załogi w naszym

domu. Dotychczas zachowywali się bardzo poprawnie, tym bardziej że musimy dogadzać im we wszystkim.

Żołnierze ci jednak napomykali, że gdybyś Pan wpadł w ich ręce, znalazłbyś się w wielkim niebezpieczeństwie. Nie mogę się zdobyć na to, by Ci powtórzyć szkaradne kłamstwa, które opowiadali, jestem bowiem pewna, że to są kłamstwa, ale Pan sam najlepiej osądzi, co Mu wypada uczynić. Oddział, który odjechał, uwiózł jako jeńca Pańskiego sługę, zabierając też oba konie i wszystkie rzeczy, jakie Pan zostawił w Tully-Veolan. Ufam, że Pan Bóg osłoni Cię swoją opieką i że bezpiecznie wrócisz do Anglii, gdzie, jak mi Pan opowiadałeś, nie ma wojskowych gwałtów ani walk między klanami, wszystko zaś dzieje się zgodnie z prawem, równym dla wszystkich i osłaniającym tych, którzy są niewinni i szkody żadnej nie czynią.

Mam nadzieję, że Pan daruje mi śmiałość, z jaką się do Niego zwracam, ponieważ odniosłam - mylne być może - wrażenie, że chodzi tu o Pańskie bezpieczeństwo i honor. Jestem pewna - a raczej przypuszczam, że ojciec pochwaliłby mnie za ten postępek, pan Rubrick bowiem uciekł do swoich krewnych w Duchran, ażeby uniknąć niebezpieczeństwa ze strony żołnierzy i wigów, a Macwheeble nie lubi się mieszać - jak powiada - w cudze sprawy, chociaż ja sędzę, że przysługi oddanej w takich czasach, jak obecne, przyjacielowi mego ojca, nie można nazwać niewłaściwym wtrącaniem się. Zegnam Pana, kapitanie Waverley. Prawdopodobnie nigdy już Pana nie zobaczę, gdyż byłoby bardzo nie na czasie życzyć sobie, by Pan wstąpił teraz do Tully-Veolan, nawet gdyby ci ludzie sobie poszli; ja w każdym razie zawsze z wdzięcznością pamiętać będę o dobroci, z jaką Pan wspierał me skromne studia, oraz o względach okazywanych memu najdroższemu ojcu.

Pozostaję z należnym szacunkiem

Róża Comyne Bradwardine

P.S. Mam nadzieję, że mi Pan prześle parę słów przez Dawida Gellatley, tyle tylko, bym wiedziała, żeś to pismo moje otrzymał i że będziesz ostrożny; niech mi Pan też wybaczy, że Go błagam, dla własnego Jego dobra, by nie brał udziału w tych nieszczęsnych intrygach, ale schronił się jak najprędzej do swej szczęśliwej ojczyzny. Pozdrowienia dla mojej kochanej Flory i dla całego Glennaquoich. Czy nie jest ona tak piękna i wykształcona, jak ją przedstawiałam?”

Tak się kończył list Róży Bradwardine, którego treść zarówno zdziwiła, jak i zaniepokoiła Waverleya. Że na barona mogły paść podejrzenia rządu w związku z obecnym ruchem wśród stronników domu Stuartów, to zdawało się być tylko naturalnym następstwem jego politycznych sympatii; ale jakim sposobem on sam mógł być objęty tymi podejrzeniami,

on, który do dnia wczorajszego nie dopuścił się żadnej myśli niechętniej względem panującej dynastii, tego zupełnie nie mógł zrozumieć.

Tak w Tully-Veolan, jak w Glennaquoich gospodarze szanowali jego stosunek do obecnego rządu, a chociaż niejedno dawało mu do zrozumienia, że baron i naczelnik zaliczają się do tych niezadowolonych panów, których w Szkocji było jeszcze wielu, to jednak - dopóki jego własny stosunek do wojska nie został zerwany przez odebranie mu szarży - nie miał najmniejszego powodu przypuszczać, że knują oni jakieś bezpośrednio wrogie zamachy przeciw istniejącemu porządkowi. Czuł mimo to, że jeżeli nie zamierza przyjąć od razu propozycji Fergus Mac-Ivor powinien opuścić podejrzane sąsiedztwo niezwłocznie i udać się tam, gdzie postępowanie jego będzie mogło zostać należycie zbadane. Postanowił też to uczynić, dlatego że tak radziła mu Flora, a po wtóre - ponieważ sam czuł niewypowiedziany wstręt do mieszania się w tę największą klęskę, za jaką poczytywał wojnę domową.

Jakiegokolwiek były pierwotne prawa Stuartów, spokojny namysł mówił mu, że Jakub II - bez względu na to, w jakim stopniu zaprzepaścić mógł roszczenia swych potomków - w każdym razie, zgodnie z jednomyślnym orzeczeniem całego narodu., słusznie utracił prawa własne. Gdyby nawet nabrał w końcu przekonania o słuszności sprawy Stuartów lub dał się nakłonić rozkazom ojca czy stryja do jej poparcia, to przede wszystkim należało oczyścić się z fałszywych zarzutów działania w tym kierunku, w czasie gdy jeszcze piastował szarżę otrzymaną z rąk panującego monarchy.

Serdeczna prostota Róży, jej troska o jego bezpieczeństwo, a także myśl, że pozostaje ona bez opieki, narażona być może na strach i rzeczywiste niebezpieczeństwo - wszystko to wywarło na nim silne wrażenie; toteż natychmiast odpisał dziękując w najżyczliwszych wyrazach za jej troskliwość, życząc jej i ojcu najlepszego powodzenia i zapewniając ją o własnym bezpieczeństwie. Uczucia obudzone tym listem zatarły się szybko wobec konieczności pożegnania Flory Mac-Ivor, może na zawsze. Niewymowny ból towarzyszył myśli o tym, gdyż wielkoduszność jej charakteru, bezgraniczne poświęcenie się dla sprawy oraz bezwzględna prawość w doborze środków służenia jej, usprawiedliwiały całkowicie wybór dokonany przez uczucie. Ale czas naglił, a potwarz igrała z jego dobrym imieniem, któremu każda godzina zwłoki przynieść mogła dalszą szkodę. Powinien natychmiast wyruszyć.

Z tym postanowieniem odszukał Fergus, zwierzył mu treść listu Róży i oznajmił o postanowieniu niezwłocznego udania się do Edynburga, by tam w ręce którejś z tych wpływowych osobistości, do których miał listy od ojca, złożyć swe uniewinnienie od zarzutów, jakie by przeciw niemu mogły być wysunięte.

- Wsadzasz głowę w paszczę lwa - odpowiedział Mac-Ivor. - Nie wiesz, jak surowy bywa rząd dręczony słusznymi obawami oraz świadomością własnej nieprawości i niepewności. Będę cię jeszcze musiał uwalniać z jakiegoś lochu w Stirling albo w zamku Edynburskim. Albo co byś powiedział na *un petit pendement hien joli*<sup>246</sup>, gdyż nie mógłbym zareczyć uniknięcia tej niemiłej ceremonii w razie spotkania oddziału zbrojnych wigów z zachodniego kraju.

- Ale dlaczego mieliby się tak ze mną obejść? -zapytał Waverley.

- Dla stu doskonałych powodów - odpowiedział Fergus. - Przede wszystkim jesteś Anglikiem, po drugie - szlachcicem, po trzecie - obrzydłym zwolennikiem Kościoła episkopalnego, po czwarte wreszcie - dawno już nie mieli sposobności wykazać swych umiejętności w tym względzie. Ale nie martw się, najmilszy, wszystko to odbędzie się „bogobojnie”.

- Trudno muszę zaryzykować.

- Jesteś więc zdecydowany?

- Jestem.

- Chcącemu krzywda się nie dzieje - rzekł Fergus. - Ale nie możesz iść pieszo, a mnie koń niepotrzebny, gdyż muszę maszerować na czele dzieci Ivora, dostaniesz więc gniadego Dermida.

- Gdybyś mi go mógł sprzedać, z pewnością byłbym ci bardzo wdzięczny.

- Jeżeli twoje dumne angielskie serce nie może ścierpieć daru ani pożyczki, to nie odmówię przyjęcia pieniędzy u wstępu do wyprawy; cena jego wynosi dwadzieścia gwinei (pamiętaj, czytelniku, że to było sześćdziesiąt lat temu). A kiedy zamierzasz wyruszyć?

- Im wcześniej, tym lepiej - odpowiedział Waverley.

- Masz słuszość, skoro już musisz iść albo raczej, skoro zachciało ci się iść; ja wezmę kuca Flory i odprowadzę cię aż do Bally-Brough. Callum Beg, przygotuj do drogi konie i kuca dla siebie, bo będziesz towarzyszył panu Waverleyowi i odwieziesz jego rzeczy aż do... (tu nazwał małe miasteczko), gdzie dostanie on konia i przewodnika do Edynburga. Włóż nizinny ubiór, Callum - a trzymaj język za zębami, jeżeli nie chcesz, żebym ci go uciął. Pan Waverley pojedzie na Dermidzie. - Po czym zwracając się do Edwarda: - Chciałbyś się pożegnać z moją siostrą?

- Oczywiście - to znaczy, jeżeli panna Mac-Ivor zechce mi ten zaszczyt uczynić.

- Katlino, powiedz mojej siostrze, że pan Waverley chciałby ją pożegnać. Ale Róża

---

<sup>246</sup> *un petit pendement bien joli* (franc.) - wcale miłutkie powieszenie.

Bradwardine... trzeba się nią zająć... chciałbym, żeby tu była... Dlaczego by miała nie być?... Tylko cztery czerwone kurtki są w Tully-Veolan, a muszkiety ich bardzo by się nam przydały.

Na te urywane uwagi Edward nic nie odpowiedział; wpadały mu, co prawda, do ucha, ale całą duszą oczekiwał nadejścia Flory. Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich tylko Katlina: pani kazała przeprosić i przesyła kapitanowi Waverleyowi życzenia zdrowia i szczęścia.

## ROZDZIAŁ XXIX

### **Powrót Waverleya na Niziny po jego wycieczce w góry**

Było już południe, gdy dwaj przyjaciele stanęli na przełęczy Bally-Brough.

- Nie mogę ci dalej towarzyszyć - powiedział Fergus Mac-Ivor, który podczas drogi na próżno starał się rozpogodzić humor przyjaciela. - Jeżeli moja kapryśna siostra ponosi winę twego przygnębienia, to wierzaj mi, że wysoko stoisz w jej opinii, chociaż obecnie niepokój o sprawę publiczną nie pozwala jej zajmować się niczym innym. Powierz mi twoją sprawę: ja jej nie zdradzę, jeżeli ty nie przypniesz z powrotem tej podłej kokardy.

- Nie ma obawy, zważywszy, w jaki sposób mi ją odebrano. Zegnaj, Fergusie, nie pozwól siostrze twej zapomnieć o mnie!

- Bywaj zdrow, Waverleyu, może wkrótce posłyszysz o niej z pięknym tytułem przy nazwisku. Wracaj do domu, pisuj listy i zdobądź jak najprędzej liczne grono przyjaciół, niebawem bowiem niespodziewani goście zjawią się na wybrzeżach Suffolk<sup>247</sup>, jeżeli nie mylą mnie wieści otrzymane z Francji<sup>248</sup>.

Tak więc rozstali się przyjaciele: Fergus powrócił do swojego zamku, podczas gdy Edward z Callumem Beg, przekształconym od stóp do głów w nizinnego masztalerza, pociągnął dalej ku wskazanemu im miasteczku.

Edward jechał przejęty bolesnymi, ale niekoniecznie gorzkimi uczuciami, jakie rozstanie, i niepewność rozniecają w duszach młodocianych zakochanych. Ona, którą tak całkowicie pochłaniało poczucie obowiązku względem dobroczyńcy, do jakich wyżyn uczuciowych byłaby zdolna wobec człowieka, który by miał szczęście pozyskać jej względy! A teraz nasuwało się wątpliwe pytanie, czy on sam mógłby stać się tym szczęśliwcem, pytanie, które wyobraźnia starała się rozstrzygnąć twierdząco, przywołując na pamięć wszystko, co powiedziała na jego pochwałę, z dodaniem komentarza o wiele pochlebniejszego, niż to uzasadnia rzeczywistość. Wszystko, co pospolite i codzienne, odpadło i zatarło się w tych rojeniach, gdzie zalety wdzięku i godności, wyróżniające Florę z ogółu kobiet, przesłaniały wszelkie cechy, które ją do nich upodabniały. Edward, krótko mówiąc, był na najlepszej drodze stworzenia sobie bogini ze szlachetnej, wykształconej i pięknej młodej kobiety; toteż czas upływał mu na budowaniu zamków na lodzie, dopóki, spuszczać się ze stromego pagórka, nie dojrzał w dole miasteczka targowego, będącego

---

<sup>247</sup> Suffolk - hrabstwo na wschodnim wybrzeżu Anglii, posiadające kilka portów położonych względnie blisko Londynu.

<sup>248</sup> jeżeli nie mylą mnie wieści otrzymane z Francji - Fergus ma tu na myśli pogłoski o mającym nastąpić lądowaniu wojsk francuskich w Anglii celem poparcia akcji powstańczej.

najbliższym celem jego podróży.

Górska dworność Calluma Beg - a mało narodów, nawiasem mówiąc, może się pochwalić tak wielką wrodzoną uprzejmością jak górale - grzeczność zatem jego towarzysza nie pozwoliła mu przerywać marzeń naszego bohatera. Zauważywszy jednak, że ocknął się na widok osady, Callum przysunął się bliżej i wyraził prośbę, by „skoro zajadą do gospody, jego dostojność nic nie mówił o Vich Ian Vohrze, gdyż ten naród to zatracone wigi, niech ich lichy porwie!”

Waverley zapewnił przezornego giermka, że będzie się miał na baczności; tymczasem jednak usłyszał nie tyle dźwięk dzwonów, co brzękanie młotka o brzeg starego pozieleniałego i przewróconego dnem do góry garnka, wiszącego w otwartej komórce, wielkości i kształtu klatki dla papugi, która zdobiła wschodnią ścianę budynku przypominającego starą stodołę; zapytał tedy Calluma Beg, czy to czasem nie niedziela?

- Nie mógłbym dokładnie tego powiedzieć... o niedzieli niewiele wiemy poza przełęczą Bally-Brough.

Gdy wkroczyli do miasteczka i zaczęli się przybliżać do widocznej z daleka gospody, ujrzeli gromadę starych kobiet odzianych w tartanowe spódnice i czerwone płaszcze; niewiasty te, wychodząc z podobnego do stodoły budynku, rozprawiły po drodze o tym, kto wart więcej, czy błogosławiony młodzian Jabesh Rentowel<sup>249</sup>. czy też wybrane naczynie łaski, duchowny Goukthrapple<sup>250</sup>; wtedy Callum Beg oświadczył swemu chwilowemu panu, że „widocznie musi to być wielka prawdziwa niedziela albo też ta mała rządowa niedziela, którą oni nazywają postem”.

Skoro zsiadli z koni pod szyldem „Siedmioramiennego Złotego Świecznika”, który ku większemu zbudowaniu gości ozdobiony był dodatkowo krótkim hebrajskim napisem, powitał ich oberżysta; była to wysoka, chuda, typowo purytańska postać zdająca się roztrząsać w duchu, czy godzi się przyjąć pod dach swój ludzi podróżujących w takim dniu. Pomyślawszy jednak prawdopodobnie, że w mocy jego leży srogie pokaranie ich za tę niewłaściwość, której to grzywny mogliby uniknąć, przenosząc się do Grzegorza Duncansona pod znak „Dziarskiego Górala”, pan Ebenezer Cruickshanks<sup>251</sup> raczył wpuścić ich do swego domu.

Do tego to uświęconego dostojnika Waverley zwrócił się z prośbą, by mu się wystarał o przewodnika i wierzchowca celem przewiezienia jego rzeczy do Edynburga.

---

<sup>249</sup> Rentowel - nazwisko, które znaczy, podarty ręcznik. Zawarta tu jest złośliwość w stosunku do szkockich presbiterianów nie uznających szat liturgicznych ani obrzędów Kościoła anglikańskiego.

<sup>250</sup> Goukthrapple - nazwisko charakteryzujące nosiciela: gardło głupca.

<sup>251</sup> Cruickshanks - nazwisko, które znaczy: - krzywe golenie.



- A skąd pan przybywa? - zapytał gospodarz spod znaku Świecznika.

- Powiedziałem, dokąd chcę jechać, a nie widzę potrzeby udzielania dalszych wyjaśnień przewodnikowi ani jego koniowi.

- Hm! Hm!... - odparł władca Świecznika, trochę stropiony tą odpowiedzią. - Jest teraz wielki post, panie, a ja nie mogę zajmować się cielesnymi interesami w takim dniu, gdy ludzie powinni się upokarzać, a grzesznicy nawracać, jak to powiedział wielebny Goukthrapple; a do tego, jak słusznie zauważył świętobliwy Jabesh Rentowel, kraj jest w żałobie, gdyż pakta spalono, złamano i pogrzebiono.

- Mój zacny przyjacielu - rzekł Waverley - jeżeli nie możesz dostarczyć konia i przewodnika, służący mój poszuka ich gdzie indziej.

- Ach tak! Pański służący?... A dlaczego on sam dalej z panem nie jedzie?

Waverley miał w sobie niewiele temperamentu kawalerzysty - mam na myśli ten rodzaj sprytu, który nieraz podziwiałem, gdy zdarzyło mi się spotkać w pocztowym dylizansie wojskowego poskramiającego posługaczy lub sprawdzającego rachunki. Trochę tej pożytecznej umiejętności nabrał jednak nasz bohater podczas swej służby wojskowej; wobec tak wyzywającego zachowania odezwała się ona natychmiast:

- Słuchaj no, mój panie, wstąpiłem tutaj dla własnej wygody, a nie po to, by odpowiadać na bezczelne pytania. Mów zaraz, czy możesz, czy nie możesz dać mi to, czego mi potrzeba; tak czy owak, ja pojedę dalej.

Pan Ebenezer Cruickshanks wyszedł z pokoju mrucząc coś tak niewyraźnie, że Edward nie mógł zrozumieć, czy zgadza się, czy też odmawia. Gospodyni, układna, cicha i pracowita kobiecina, przyszła odebrać zlecenia dotyczące obiadu: jednakże nie odpowiedziała na pytanie o konia i przewodnika: widocznie zatem prawo salickie<sup>252</sup> rozciągało swą moc na zajazd pod Złotym Świecznikiem.

Przez okno wychodzące na ciemne i wąskie podwórze, na którym Callum Beg wycierał zdrożone konie, Waverley posłyszał następujący dialog pomiędzy sprytnym giermkim Vich Ian Vohra a miejscowym gospodarzem.

- Z północy jesteś, młodzieńcze? - zaczął ten ostatni.

- Dobrze pan zgadł - odpowiedział Callum.

- I przejechałeś zapewne długą drogę dzisiaj?

- Tak długą, że łyknąłbym rad kieliszeczek.

---

<sup>252</sup> prawo salickie (inaczej frankońskie) - wykluczało dziedziczenie tronu przez kobiety lub krewnych króla po kądzieli.

- Gosposiu, przynieś chłopcu coś do wypicia.

Tu nastąpiła wymiana dostosowanych do takich chwil grzeczności, po czym oberżysta spod Złotego Świecznika - otworzywszy, jak mniemał, serce gościa tym przyjacielskim poczęstunkiem - powrócił do dalszego badania:

- Nie macie tam pewnie lepszej wódki u was za przełęczą?.

- Ja nie pochodzę z za przełęczy.

- A sądząc po mowie, jesteś góralem.

- Nie, ja tylko jadę z Aberdeen.

- A czy i pan twój jedzie z Aberdeen?

- Tak, wyjechaliśmy stamtąd razem - odpowiedział spokojny i nieprzenikniony Callum Beg.

- A kto to taki ten twój pan?

- Ja myślę, że on jest oficerem w służbie króla Jerzego: w każdym razie wybiera się na południe, a pieniędzy to ma moc i nigdy nie żałuje ani biedakowi, ani kiedy przyjdzie dać napiwek.

- Potrzeba mu konia i przewodnika stąd do Edynburga?

- Tak jest i powinniście mu to zaraz załatwić.

- Hm!... ale to będzie kosztowało drogo.

- On sobie z tego nic nie robi.

- A więc dobrze, Duncanie - czyś ty powiedział, że ci na imię Duncan, czy Donald?

- Nie, człowieku - Kuba - Kuba Steenson - już wam to mówiłem.

To ostatnie nieporównane odezwanie się wytrąciło broń z ręki pana Cruickshanksa, który - choć nie zachwyciła go ani powściągliwość pana, ani też niezwykła obrotność języka sługi - zadowolnić się musiał dodatkowym obciążeniem rachunku i należności za wynajęcie konia, co miało mu wynagrodzić niezaspokojenie ciekawości. Nie zapomniano też w rachunku o tym, że przypadał dzień świąteczny, lecz mimo to nie wyniósł on w całości wiele więcej niż dwukrotnie tyle, ile by się po sprawiedliwości należało.

Callum Beg w chwilę potem przyszedł osobiście oznajmić o zawarciu tego układu, dodając:

- Ten stary diabeł wybiera się sam jechać z *Duinhe-wassel*.

- Nie będzie to ani przyjemne, Callum, ani też całkiem bezpieczne, gdyż nasz gospodarz zdaje się być osobą wielce ciekawą; jednakże podróżny musi być przygotowany na takie niewygody. Tymczasem, mój kochany chłopcze, oto coś dla ciebie, żebyś mógł wypić za zdrowie Vich Ian Vohra.

Jastrzębie oko Calluma błysnęło rozkoszą na widok złotej gwinej, która towarzyszyła tym słowom. Pośpieszył ukryć ten skarb, klnąc na zawilosci saksońskich kieszeni w spodniach, po czym - jak gdyby mniemając, że za tę łaskawość należy się z jego strony jakieś odwdzięczenie przystąpił tuż blisko do Edwarda i wielce znacząco powiedział półgłosem:

- Jeżeli jego dostojność myśli, że ten stary zatracony wig jest trochę niebezpieczny, łatwo bym się z nim mógł załatwić i nikt by o tym nie wiedział.

- Jak i jakim sposobem?

- Poczekałbym na niego - odpowiedział Callum - kawałek drogi za miastem i zajrzałbym mu do środka moim *skene-occle*.

- *Skene-occle!* Cóż to takiego?

Callum rozpiął ubranie, uniósł lewe ramię i wiele mówiącym ruchem wskazał rękojeść małego sztyletu, z ręcznie ukrytego za podszewką kurtki. Waverley myślał zrazu, że nie zrozumiał go dobrze; popatrzył mu prosto w oczy i na ładnej, choć ogorzalej twarzy Calluma dojrzał ten sam wyraz łobuzerskiej psotliwości, z jaką w Anglii chłopak w jego wieku byłby układał plan okradzenia sadu.

- Wielki Boże, Callum, ty byś tego człowieka chciał pozbawić życia?

- A tak - odpowiedział młody zuchwalec - i myślę, że już się dość nażył, skoro chce zdradzać uczciwych ludzi, co dają mu zarobić w jego gospodzie.

Edward zrozumiał, że niczego nie wskóra perswazją, toteż poprzestał na nakazaniu Callumowi, by dał pokój wszelkim zakusom na osobę pana Ebenezera Cruickshanks, które to upomnienie giermek przyjął z całkowitą obojętnością.

- Niech tak będzie, jak sobie *Duinhe-wassel* życzy; ten stary łotr nic Callumowi nie zrobił. Ale jest tu parę słów od Vich Ian Vohra, które kazał oddać waszej dostojności, zanim wrócę.

List od naczelnika zawierał wiersz Flory o losie kapitana Wogana, którego przedsiębiorczy charakter tak dobrze opisał Clarendon<sup>253</sup>. Działał on pierwotnie w służbie Parlamentu, ale odprzysiągł się od tego stronnictwa po ścięciu Karola I; usłyszawszy zaś że hrabia Glencairn i generał Middleton podnieśli sztandar królewski w górach Szkocji, pożegnał Karola II, będącego wtedy w Paryżu, przeprowił się do Anglii i zebrał oddział jazdy w okolicy Londynu; następnie przeszedł przez królestwo, od dawna już będące pod rządami uzurpatora, marszami prowadzonymi tak zręcznie, umiejętnie i odważnie, że zdołał szczęśliwie połączyć swoją garść konnicy z stojącymi wtedy pod bronią siłami górali. Po

---

<sup>253</sup> Clarendon Edward (1608-1674) - historyk wojny domowej w Anglii.

kilku miesiącach partyzanckich walk, w których umiejętność i odwaga Wogana pozyskały mu najwyższą sławę, został na nieszczęście niebezpiecznie ranny, a że nie było w pobliżu pomocy lekarskiej, zakończył swą krótką, lecz chwalebłą karierę.

Istniały oczywiste powody, dla których naczelnik pragnął przykład tego młodego bohatera postawić przed oczy Waverleya, którego romantycznemu usposobieniu tak szczególnie odpowiadał. Jednakże list jego obracał się głównie dokoła drobnych zleceń, które Waverley obiecał załatwić mu w Anglii; dopiero przy końcu znalazł Edward te słowa: „Mam żal do Flory o to, że odmówiła nam wczoraj swojego towarzystwa, a skoro już zadaję Ci trud czytania tego listu, by przypomnieć o kupieniu mi wędki i kuszy w Londynie, dołączę zarazem wiersz jej na cześć grobu Wogana. Wiem, że ją to trochę podrażni; jeśli bowiem mam rzec prawdę, myślę, że ona darzy pamięć tego nieżyjącego bohatera większą miłością, niżby jej kiedykolwiek mogła udzielić żyjącemu, chyba gdyby wstąpił w jego ślady”.

Wiersze były zatytułowane:

#### DO DĘBU

na cmentarzu w górach szkockich  
znaczącego grób kapitana Wogana  
poległego w roku 1649.

Znaku niezłomny dawnej siły,  
Rozwijaj swe ramiona dumnie.  
Bo wiernej strzeżesz ty mogiły -  
Czci, co w przedwczesnej legła trumnie.

A ty, którego grób ten mieści,  
Nie żal się na północne nieba,  
Że wonnym kwieciem cię nie pieści  
Święta kurhanu twego gleba.

Ono w łagodne kwitnie maje,  
Rażą je słońca ostre groty,  
Jesienny chłód mu śmierć zadaje -  
Jestli to obraz twojej cnoty?

Nie! - rosło serce niezmożone,

Choć los sprzeciwiał się twej woli.  
Rozpacz spuściła już zasłonę -  
Tyś się swej szczytnej nie zrzekł roli.

Wtedy w Albynu<sup>254</sup> idąc góry  
(Gdy syny Anglii broń rzuciły),  
Surowej-ś znalazł lud natury,  
Ale opornej pełen siły.

W czas skonu - z dala od rodziny,  
Bez dzwonów, psalmów na pogrzebie -  
Piszczalek dźwiękiem Szkocji syny  
Same żegnały tylko ciebie.

Lecz tego świtu, co żałobą  
Skrył krótki byt, tak syty chwały,  
Któż by zamienić nie chciał z tobą  
Za pełen szczęścia żywot cały?

Twymi są silne te konary,  
Ten niewzruszony pień dębowy,  
Wszak taki wieniec kładł Rzym stary  
Na bohaterów swoich głowy.

Jakakolwiek była wartość tych wierszy Flory Mac-Ivor, entuzjazm, którym tchnęły, odbił się odpowiednim wrażeniem w duszy jej wielbiciela. Czytał te zwrotki raz za razem - potem schował je na sercu i znowu wydobył, odczytując wiersz po wierszu cichym i stłumionym głosem z częstymi przerwami dla przedłużenia duchowej uczty, podobnie jak smakosz lubuje się wybornym napojem cedząc go powoli. Dopiero wejście pani Cruickshanks wnoszącej obiad i wina położyło kres tej pantomimie rozkochanego entuzjazmu, skierowując uwagę gościa na sprawy bardziej przyziemne.

Wreszcie ukazała się wysoka, niezgrabna postać i szpetna twarz Ebenezera. Górną

---

<sup>254</sup> Albyn (Albany) - starodawna nazwa Szkocji.

połowę ciała, choć pora roku nie wymagała takiej ochrony, otulił obszernym płaszczem, szczelnie przepasanym na wierzchu zwykłej odzieży; całość stroju dopełniał olbrzymi kaptur z tego samego materiału, który, gdy naciągnięto go na głowę i kapelusz, a zapięto pod brodą, zakrywał twarz całkowicie. W rękę trzymał ogromny kańczug nabijany mosiężnymi ozdobami. Na cienkie nogi przywdział parę sztylp, po bokach przytwierdzonych zardzewiałymi klamrami. Tak okutany stanął na środku pokoju i krótkim zdaniem oznajmił powód swego przybycia:

- Pańskie konie są gotowe.

- Sam zatem ze mną jedziesz, gospodarzu?

- Tak jest, aż do Perth; a tam może pan znaleźć przewodnika do Embra<sup>255</sup>, jeżeli pan zechce.

To mówiąc położył przed Waverleyem rachunek trzymany w rękę, a równocześnie choć nieproszony, nalał sobie szklanekę wina i wypił w skupieniu za pomyślność podróży. Waverley ze zdumieniem przyglądał się bezczelności tego człowieka, ale że ich stosunek miał być krótki, a przewodnik był mu potrzebny, nie czynił żadnych uwag i zapłaciwszy rachunek, oświadczył, że chce zaraz jechać. W chwilę potem, dosiadłszy Dermida, wyruszył sprzed Złotego Świecznika, a za nim - opisany przez nas wzór purytanina, który - z niemałym trudem i stratą czasu - dopomagając sobie murowanym stopniem, wystawionym przed domem dla wygody podróżnych - wydzwignął się na grzbiet długiego, chudego i kościstego widma zabiedzonej szkapy niosącej już poza tym pakunek Waverleya. Bohater nasz, chociaż wcale nie w wesołym humorze, ledwie mógł powstrzymać śmiech na widok nowego swojego giermka, zwłaszcza gdy sobie wyobraził, jakie zdziwienie wywołałby w Waverley-Honour pojawiając się tam w takim towarzystwie.

Hamowana wesołość Edwarda nie uszła uwagi gospodarza spod Świecznika, który nie miał złudzeń co do jej przyczyny, zaprawiło to dodatkowym kwasem faryżejskie drożdże jego oblicza<sup>256</sup> i wzbudziło w nim postanowienie, że tak czy inaczej, ten młody Angielczyk drogo zapłaci za okazywaną mu pogardę. Callum stał także w bramie i z nieukrywaną wesołością dworował sobie ze śmiesznej figury pana Cruickshanksa. Gdy go Waverley mijał, zdjął kapelusz z wielkim szacunkiem i podszedłszy do jego strzemienia, szepnął mu przestrożę, by nie pozwolił „temu staremu wigowi z piekła rodem wyplatać sobie jakiego figla”.

Waverley raz jeszcze podziękował i pożegnał go, po czym żwawo ruszył naprzód, rad, że nie słyszy już okrzyków dzieci na widok starego Ebenezera podnoszącego się i

---

<sup>255</sup> Embro - gwarowa nazwa głównego miasta Szkocji – Edynburga.

<sup>256</sup> faryżejskie drożdże jako oblicza - w znaczeniu: obłudnie świętoszkowaty wyraz jego twarzy.

opadającego w strzemionach dla uniknięcia podrzutów powodowanych ciężkim kłusem po ulicy na pół tylko zabrukowanej. Mieścina znalazła się wkrótce o kilka mil poza nim.